





Dr. ANTONI BOHDANOWICZ

ANNA BILIŃSKA

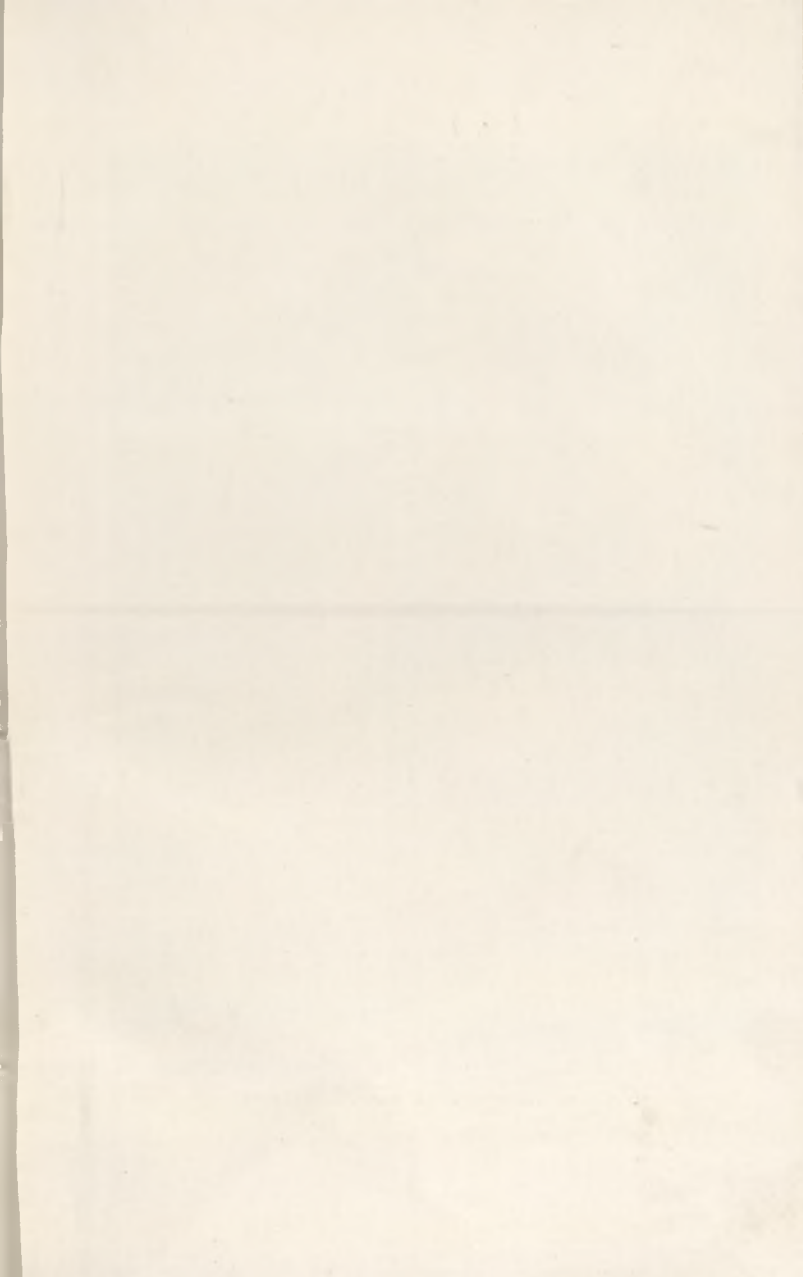
KOBIETA, POLKA I ARTYSTKA

W ŚWIETLE JEJ DZIENNIKA
I RECENZYJ WSZECHŚWIATOWEJ PRASY

1928

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”
WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY Nr. 8.

ANNA BILIŃSKA





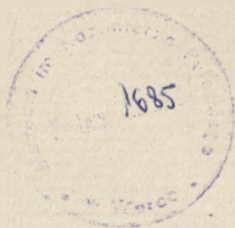
Ostatni autoportret niedokończony.

ANNA BILIŃSKA

PODŁUG
JEJ DZIENNIKA, LISTÓW I RECENZYJ
PRASY

NAKLAD ANTONIEGO Dr. BOHDANOWICZA
SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”
WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY Nr. 8.

Drukarnia
„Rola” Jana Buriana
w Warszawie
Mazowiecka 11



*Wdzięcznej pamięci Francji,
Mistrzów:
Juliana
i
Tony Rober-Fleury,
przyjaciółki —
panny Klementyny Krassowskiej*

pracę tę

poświęca

AUTOR

Prawa autora zastrzega się.

WSTĘP

Gdy z tej czarnej zawistej nademną oddawna chmury padł wreszcie grom na moją głowę, rodząc w niej bezład rozpacznych, zawrotnych myśli — w pomoc pośpieszyli mi Moskale, na nową tułaczkę na czwarty dzień po śmierci artystki wydalając mnie z kraju.

Musiałem wracać do Paryża. Lecz tam była jej pracownia, tam nasze mieszkanie — puste... Siedmnaście dni szczęścia odkupić miałem cierpieniem bez końca. Odkupiła je już ona—z mogiły Moskale wyrzucić jej nie odważyli się — została tam, w Warszawie. W tym Paryżu, w tej pracowni błądziłem teraz ja sam — ze wspomnieniami... Uciekać, uciekać! huczało mi w uszach. Byłem młody i silny — wytrzymać mogłem wiele. I wytrzymałem. Poszedłem za głosem: rok włości i pracy wśród Czerwonoskórych Meksykańskiej Kalifornii uśpił ból, stępił wspomnienia.

Wytrzymałem. Myśleć nawet mogłem, że już znowu, jak byłem przedtem. Lecz nie czytałem jej dziennika, jej korespondencji — bałem się... Kilkakrotnie brałem je do ręki — wiedziałem, że milczeć wiecznie nie mogę, że winienem jej tyle, że jeżeli nie o kobiecie, to o artystce dać znać światu muszę, przypomnieć muszę o wielkiej, o zapomnianej... Lecz pisać

to wszystko, przeżywać to wszystko raz jeszcze... Ja nie chciałem dożyć tej chwili — przeczuwałem, że dziennik ten powie mi wiele — niemożem — rzucałem dziennik — odwagi mi brakło.

I szły tak lata, i minęło ich przeszło trzydzieści od owej strasznej chwili, a ja nie znałem jej dosyć: naiwnie, prosto bo pośpiesznie notowany dziennik ten dopiero stawił przed oczyma memi strojną we wszystkie kolory tęczy, bogatą, piękną jej duszę z winy wrodzonej skromności dla mnie nawet dotąd tajemniczą — większą bowiem była, niż przypuszczać się ośmielałem — ztąd żal tem większy... Dziś widzę, że instynkt zachowawczy odsuwał ode mnie te karty: gdybym był dawniej czytał ten dziennik — niezniósłbym losu.

Nie od chwili naszego poznania rozwija się dramat — zaczął się on wcześniej. W nim należy szukać bodźca karyery artystki, a w części może i zabójczego narzędzia.

Dziś jestem starcem. To co piszę, co pozwałam raczej mówić jej samej zdziwi może niejednego. Lecz ja dziś nie wchodzę w rachubę — to nie mój dziennik — to żywot i trudy Bilińskiej. Myśl o niej, pamięć o niej jest dziś dla mnie rodzajem modlitwy. W modłach tać niewolno. Karyera jej zresztą nie należy do mnie. Dlatego dam jej tu mówić wszystko, jej i innym — obcym — sam powiem niewiele. Bo wszakże kimś była ona bezsprzecznie. Dawła sobie rady za życia — dziś z poza grobu nie okaże się mniej dzielną — nie jest z tych co umierają. Zjawienie się jej na horyzoncie efemerycznem było, jak gwiazdy spadającej. Znikła, lecz zostawiła smugę światła i nie na naszym tylko niebie — najśłabszą na naszym może.

Rozwiejmy nagromadzoną przez czas mgławicę, co blask hamuje — niech się stanie światło.

Dr. Bohdanowicz.

Tykocin, 12. Maja 1928 r.

Bilińska...

Bilińska, Bilińska... czekaj... Anna Bilińska, malarka, nieprawdaż? Bodaj nawet, czy gdzieś, czegoś nie widziałem. Aha, już mam: pamiętasz ten dziwny portret, co patrzy takiemi dużemi oczyma? No, ten, wiesz, w Sukiennicach. Stanęliśmy nawet przed nim, gdyśmy byli w Krakowie, taki prosty, pamiętasz? — nieładny, ale ma coś w sobie... Tak to Bilińska, pamiętam dobrze. To dziwne jednak, jak o niej nic się nie wie. A wisi tam, gdzie Matejko, gdzie Brandt, Chełmoński...

Umarła dawno.

Umarła!? No, to co innego.

Tak — to co innego. Tak mówi publiczność. A artyści, znawcy?

Artyści mówić nie lubią. Nie lubiła mówić kiedyś i krytyka nasza — z małymi wyjątkami. Dlatego publiczność nic dziś nie wie. Nasza jednak krytyka tylko. Obca — Francuska, Angielska, Włoska, Niemiecka nawet mówiła kiedyś o Bilińskiej dużo, arkusze całe pism, przeglądów, ilustracyj zapełniała życiorysami artystki, oceną prac jej, reprodukcjami tychże; pracownia jej przy ulicy de Fleurus 27. w Paryżu była kiedyś salonem, gdzie w „Środy Bilińskiej“ obok Polaków spotkałeś znawców i wielbicieli talentu ze świata całego — Anglika obok Yankesa, Francuza obok Ar-

gentyńczyka — wszyscy pragnęli widzieć ją na oczy własne i odchodzili pod wrażeniem dziwnej prostoty, walczącej o pierwszeństwo z wysoką kulturą i czarem obejścia, którymi ujmowała swoich i obcych.

Aż znikła nagle... przedwcześnie!

I dziś...

Dziś żyje jeszcze — żyć będzie w muzeach krajowych i zagranicznych — w tych ostatnich głównie.

Jest wśród zbiorów pozostałych po Bilińskiej mały, szkicowo, lecz śmiało i szeroko traktowany portret artystki z podpisem „Mina S.” pędzla prawdopodobnie jednej z koleżanek z akademji. Przypatrzmy mu się bliżej — powie on nam wiele: Młoda dziewczyna o byle jak przygładzonych ciemno-błęd włosach, o jasnej wydłużonej twarzyczce okraszonej lekkim chorobliwym nieco rumieńcem, w ciemnej biednej, niedbale pod wążką szyją spiętej bluzce, z małym modrym bratkiem w butonierce — miła, sympatyczna, lecz jakże nikła, biedna, onieśmielona i nic nie znacząca — dzika trochę wobec typu przeciętnej Paryżanki.

Taką była Bilińska gdy w r. 1883. stanęła na bruku Paryskim, by rzucić się w wir zawodów o uśmiech stolicy, o palmę pierwszeństwa.

„Biedna dziewczyna!” ciśnie się mimowolnie na usta. Przepraszam bardzo: 150 rs. w saczku, wyraźnie sto pięćdziesiąt otrzymanych od ojca na dworcu Wiedeńskim w Warszawie na podbój świata. I nic za nią, nic przed nią. Lecz z tém pójdzie daleko.

W trzy lata później, o tej wążkiej, biednej dziewczynie mówi cała prasa Francji i zagranicy, w cztery—według słów New Yord Herald, Bilińska jest „gwiazdą wschodzącą” pierwszej wielkości na horyzoncie sztuki.

Trzeba, zaiste, było być „Kimś” istotnie i to kimś niezwykłym, by z tym pędem przebyć taką drogę, ochoczo i dumnie rozwiewając nad bujną głową, choć

krwawiła od znoju ręka, sztandar ujarzmionej Polski w obliczu zdumionego świata.

A ręka krwawiła tymczasem... okazało się to później.

Przypatrzmy się jednak bliżej rysom tej twarzy. Nie jest to wcale twarz przeciętnie ładna, lecz niebanalna bezwątpienia. Nad energicznym podbródkiem śmiała linja ust namiętnych, nad niemi nozdrza ruchome, napięte—nozdrza młodego arabczyka; wysoko w górze dominuje nad wszystkiem szerokie, odkryte, myślące czoło, z pod którego w mroku silnie zarysowanych łuków brwi połyskują dwie duże, głębokie, zdecydowane choć smętne i wpatrzone gdzieś w dal nieuchwytną źrenice. Nie, młodziutka ich właścicielka nie jest bynajmniej tak nikłą istotą, jaką wydała się na pierwszy rzut oka; to ktoś, co wie, wierzy i dąży, na czole tém myśl, co prowadzi, w ogniu tych oczu, w wyrazie całym wola, co zdoła zwalczyć i usunąć na bok przeszkody. Starczy li tylko sił w wątłym ciele?

Ha, młoda jego właścicielka mierzyć przywykła siły na zamiary — czyli nie troszczy się mierzeniem ich wcale.

Urodzona na Ukrainie w Złotopolu w r. 1857. z rodziców Polaków, dziecinne lata spędza w Kijowie, jest, jak to często później żartem powtarza, Ukrainką. ma „duszę kozaczą“. Lubuje się w widokach rozległej dali, w melodjach, w dumkach, typach i strojach ludowych ukraińskich, odtwarza się w nich niejednokrotnie na portretach (patrz prześliczny portret pastelowy zakupiony przez Grosvenor Gallery w Londynie). Często odwiedza na Passy w Paryżu staruszka historyka Duchńskiego, słuchając z zajęciem teoryj jego i baśni o Ukrainie. Nieznaczy to wcale, aby być miała wyznawczynią tych czarno-żółtych koncepcyj Ukrainy — poronionego płodu Austryjacko-Pruskich lub Katkowowskich machinacyj. Nie, bynaj-

mniej, jest gorącą patriotką Polką, zaznacza to na każdym kroku, w pełni zdaje sobie sprawę z różnicy określeń: jej kozactwo — to tylko temperament, Ukrainizm — to prosta gra słów mająca znaczyć, że jest Polką z kresów. Faktem jednak jest niezaprzeczoną, że coś z charakteru tej ziemi zagrzęzło głęboko w duszy Bilińskiej, jakaś zaduma, smętna poezja jakaś, odbijająca się później w wyborze tematów i kolorystyce prac artystki, a jednocześnie wyjątkowa wprost w kobiecie doza samodzielności, odwagi cywilnej i, że tak powiem, tężyzny cechują każdy moment jej życia.

Sama, sama! wołać miała już dzieckiem, gdy ktoś ze starszych dopomódz jej zamierzał w osiągnięciu celu zachcianek dziecinnych. W ósmym roku życia, zaniepokojona nagłym szmerem w jednym z sąsiednich pokoi przybiegła do matki z okrzykiem: „złodziej — bierzcie kija!” Przypasawszy zaduży na nią fartuch i zgromadziwszy potrzebne materiały, przedsięwzięcie przebudowy kapryśnego pieca w 12-ym roku. W ośmnastym, na wycieczce w okolicy Grójca, widząc spadającego z kozła woźnicę, zręcznym ruchem chwyci uronione lejce, opanowywa spłoszone konie i dowozi całe towarzystwo bez szwanku do domu. W podróży po Włoszech znalazłszy się niespodzianie nocą w omnibusie kursującym między Bossano i Borgo sama wśród dwu rzezimieszków, nie traci zimnej krwi, wyskakuje z omnibusu i siada obok woźnicy rozmarzonego pięknnością nocy i całą drogę śpiewającego do księżyca. Zdumiewający zaś wprost dowód odwagi, inicjatywy i zimnej krwi wykazała artystka w ostatnich już czasach kariery swej — dowód którego autor opisu niniejszego był niejako świadkiem, czerpiąc w dniu zdarzenia relację o nim z ust zdumionego i zachwyconego zarazem concierza domu pod 27 rue de Fleurus, gdzie znajdowała się pracownia Bilińskiej. Było to w dzień otwarcia Wystawy Powszechnej na

Champ de Mars w r. 1889. Zaniedbując oficjalny akt otwarcia, zmęczona przygotowaniami od wczesnego ranka wróciła artystka do swej pracowni i, korzystając z niezwykłego o tej porze dnia spokoju, przyległa na sofce aby wypocząć chwilę. Cisza panowała niezmacona, nietylko bowiem sąsiednie pracownie, lecz budynek cały był absolutnie pusty — Paryż znajdował się cały na Polu Marsowém, by podziwiać otwarcie wystawy i hypnotyzującą tłumy Wieżę Eiffel'a. Nagle lekkie pukanie do drzwi, powtórzone za chwilę silniej, lecz pozostałe bez odpowiedzi. Chwila wyczekiwania, zgrzyt wytrycha i... przez uchylone drzwi wsuwa się głowa o badawczych oczach apasza. Na wystawie bowiem był prawie cały Paryż, prócz pracowitych włamywaczy jednak, dla których był to dzień żniwa. W jednej chwili Bilińska jest obok nieproszonego gościa, jedną ręką chwyta go za ramię, drugą z okrzykiem „ręce w górę“ grozi nienabitym wprawdzie Floberem, i zanim rzezimieszek ochłonać zdołał, strąca go przed sobą po schodach, dociera w ten sposób do concierge'a i oddaje w ręce policji. Prawda, że artystka była pokaźnego jak na kobietę wzrostu (1 metr 70 centymetrów). Mina apasza, gdy spostrzegł nareszcie, że był to tylko zwykły Flober do nauki. Upokorzonym czuć się musiał jak nigdy.

Wróćmy jednak do młodocianych lat artystki. Na wrażliwą od dzieciństwa jej naturę dwiema drogami oddziaływać zdają się najsilniej zjawiska przyrody. Drogami temi są: wzrok i słuch. Ztąd też w późniejszym okresie tym głównie zmysłom daje się powodować młoda dziewczyna w równej mierze, niezdecydowana, któremu z nich dać ma pierwszeństwo. Pracując z zamiłowaniem nad fortepjanem, pierwsze kroki w rysunku stawia pod kierownictwem Andriollego w Wiatce, gdzie praktykował ojciec jej lekarz czas pewien i dokąd zesłanym był kiedyś Andriolli. Wycho-

wanie dzieci zmusza następnie rodziców do zmiany miejsca pobytu. Wracają w Kijowskie, z kąd jednak wkrótce w celu zapewnienia dzieciom rodzimego pokarmu umysłowego matka z rodziną przenosi się do Warszawy*). Tu po uzupełnieniu zaczętego już w Rosji i Kijowie ogólnego wykształcenia, wstępuje Anna do konserwatorjum muzycznego, wślad zaś za nią pójda niebawem dwaj bracia — Władysław i Zygmunt. Środki rodziców skromne wprawdzie, starczą jednak na staranne wychowanie dzieci, dowodem czego bodaj fakt, że nauczycielem tańca Anny jest słynny podówczas baletmistrz opery i mazurzysta Popiel, lekcje którego dla mniej zamożnych nie były dostępne. Od początku zresztą, a tem więcej w dobie późniejszej pracowita i energiczna Anna pomaga sobie lekcjami, jak może, a że jest zdolna i zdobywa ludzi obęściem, udaje się jej to łatwo. Pendzle jednak i farby nie przestają kusić wyobraźni młodej pianistki. Nie mogąc uczęszczać do dwu szkół naraz, wynajmuje sobie wkrótce małą pracownię w domu pod Nr. 2. Nowego Światu, gdzie w wolnych chwilach rysuje, kopiuje obrazy olejne. Z tych to, jak sądzę, czasów datować musi mały, stary i pociemniały mocno pejzażyk przedstawiający noc księżycową nad jeziorem górskim, o którym mówiła mi jako o pierwszej swej próbie olejnej.

*) Wiadomości moje z epoki dzieciństwa i aż do wyjazdu artystki za granicę czerpane są z opowiadań luźnych rodziny jedynie, które usiłowałem tu połączyć w całość, nieładząc się zbytnio nadzieją uniknięcia możliwych zawsze w tych razach niedokładności. Od wyjazdu dopiero do Wiednia, Niemiec Włoch i Francji oparte są na źródłach pewnych — na dzienniku osobistym, listach prywatnych i odezwach wszechświatowej prasy i za wiarogodność podanych tu za ten najważniejszy mojem zdaniem peryod danych całą przyjmuję odpowiedzialność.

Autor.

Dyletanckie te prace pochłaniają młodą dziewczynę coraz więcej, dawać jej muszą więcej zadowolenia, niż żmudne ćwiczenia konserwatoryjne. Po dwu latach rozterki i zmagañ pędzel święci wreszcie pełne zwycięstwo: Bilińska rzuca konserwatorjum i zapisuje się do Szkoły Rysunkowej W. Gersona.

Tam pracuje gorliwie, szybkie robi postępy, stary, profesor Gerson bardzo ją ceni i przepowiada przyszłość. W szkole zawiera Anna liczne znajomości, wzięły trwałe przyjaźni zacieśnia z wielu koleżankami, z panią Marją Gażycz, pannami: Klementyną Krasowską, Anielą Wisłocką, Zofją Stankiewicz, Dziekońską, z dwiema pierwszymi wzięły tak ściśle i trwałe, że mimo późniejszego oddalenia zacieśniać się one zdają coraz więcej i przetrwają do końca.

Wkrótce młoda malarka zaczyna próbować szczęścia, z małej jej pracowni wychodzi „Dziewczyna z grzybami”, „Matka Boska”, sprzedane niebawem na wystawach, a „Malarz Wędrowny” zwraca na nią uwagę, objeżdża salony sztuki Kongresówki i Galicji, ma kilku amatorów pragnących odkupić go od Tow. Zachęty, które nabyło go do rozlosowania, dostaje się wreszcie do p. Patka. „Co jest wyraz pełen siły i prawdy, choć przy mniej subtelnem traktowaniu kolorystycznym — o tem świadczy „Malarz Wędrowny” Anny Bilińskiej. Jest to w prawdzie tylko studjum, lecz studjum wykazujące niepośledni talent artystki” — pisze o nim w Kłosach w r. 1882. Struwe. Furtka tedy na świat, na przestworza uchylona z lekka, pierwsze na nim kroki młodej malarki zapowiadają się obiecująco. Ocena Kłosów zaszczyt przynosi Struwemu: w pierwszej już pracy umiał dojrzeć główne zalety, które cechować mają talent artystki w pełni późniejszego rozwoju.

Niestety, sytuacja majątkowa rodziny pogarsza się znacznie szczególnie wskutek niefortunnej lokaty

oszczędności w jednym z banków rosyjskich. Natomiast okres trudności — Anna musi myśleć o sobie. Lekciami muzyki i rysunków w ciągu roku szkolnego zarabia w Warszawie; podczas wakacji na teź lekcje wyjeżdża na wieś, jak do Kobylina do p. p. Łączyńskich do Słobody na Podole do p. p. Krassowskich. Pracuje ciężko, lecz jest swobodna, wesoła, szczęśliwa, kocha małą pracownię swoją i tęskni do niej. Oto co pisze o sobie w liście do przyjaciółki — p. Klementyny Krassowskiej:

„Mam trochę dobrego, lecz więcej złego usposobienia. Muszę być niezależną, gdyż łamałabym obowiązki narzucone. Wierzę w zdolności moje i mam do tej pracy zamiłowanie. Gdybym napotkała przeszkody — znienawidziłabym je. I co wtedy? Teraz, mając swobodę, szczęśliwą jestem, jak nikt i Tobie, którą bardzo Kocham, życzę być tak szczęśliwą, gdyż położenie moje jest do pozazdroszczenia.

Warszawa, 1881 r.“

Tak mija czas nieznacznie, młodociany talent formuje się, ulepsza technikę, kształtuje myśli i serce — hartuje się w pracy. Aż nadchodzi rok 1882, gdzie Anna wezwana przez teź bogatą przyjaciółkę swą koleżankę — p. Klementynę Krassowską od pewnego czasu dla kuracji przebywającą z matką we Włoszech, Niemczech i Austrii, udaje się za granicę, gdzie będzie towarzyszką i nauczycielką młodej, niedomagającej od pewnego czasu przyjaciółki. O takim szczęściu niemarzyła nawet Anna. Wiedeń, Monachjum, Włochy — sen nieuchwytny dla wielu — dla niej nagle staje się rzeczywistością. We trzy pojedą przez doliny i góry, do krainy słońca i sztuki — będą parzyć, napawać się i malować, malować i jeszcze malować,

Nic to, że tam gdzieś, w głębi tajemniczej Ukrainy ktoś marzy o niej i wzdycha oddawna — z kijowskich jeszcze czasów. Anna ceni go wprawdzie, przyznaje mu wiele zalet, serce jej jednak dotąd wolne. Zresztą o tem potem. Teraz sztuka przedewszystkiem.

Zbiera się szybko, gorączkowo—5 Lutego 1882 r. wyjazd z Warszawy, następnego dnia o 6-iej rano — Wiedeń. Spotkanie z pp. Krassowskiemi — 7-go stają już razem w Monachjum.

Masa Polaków artystów, kolegów. Spotkania, znajomości, zwiedzanie wspólne miasta, muzeów, przybytków sztuki — Anna jest w siódmém niebie. Niestety stan zdrowia przyjaciółki wiele pozostawia do życzenia i niepokoi jej matkę. Nie jest to wprawdzie choroba ostra — rozstrój tylko nerwowy z silném połączony osłabieniem, wystarczający jednak, aby nieraz zatrzymać chorą w hotelu, strapić Annę, która drży o przyjaciółkę i stara się wszelkiemi sposobami mimowolny jej spoczynek w domu o ile można znosnym uczynić. Szczęściem stan podobny nietrwa zwykle długo i mimo przerw, dosyć jeszcze zostaje czasu na zwiedzanie i studja. Cała plejada Polaków artystów prześciga się zresztą, aby rodaczkom pobyt urozmaicić, zwiedzanie zabytków sztuki ułatwić. Ejsmunt, Axentowicz, Hirszel, Lewandowski, Wodzyński, Tański, Kurella, Sieroszewski, Szymanowski zmieniają się jak w kalejdoskopie — wszyscy są młodzi, ożywieni, uprzejmi—czas mija szybko. Na wstępie jednak Anna kupuje sobie Anatomję i książkę o Ubiorach i Strojach, aby nietracić czasu w domu.

W Monachjum bawią panie zaledwie dwa tygodnie. Już 25-go Lutego wyjazd do Salzburga i Wiednia, gdzie stają ponownie 27-go (Hotel 3. Gulden Krone) i gdzie panna Krassowska ma zasięgnąć rady Profesora Benedikta.

Tu artystów Polaków nie ma wielu. Wkrótce jed-

nak spotykają przybyłego również z Monachjum Lewandowskiego i prawie jednocześnie przypadkiem — w zbiegowisku wywołaném nagłym zjawieniem się Arcyxięcia Rudolfa, w którym Bilińskiej skradziono portfel ze 170 florenami, poznają rzeźbiarza-rysownika z zawodu, a poetę duszą — Wojciecha Grabowskiego, uprzejmie ofiarującego swą pomoc nieobytym z niemczyzną rodaczkom.

Młody rysownik, poważny, sympatyczny, bardzo zdolny zwraca na siebie uwagę Anny, jak zresztą i całego towarzystwa. Znamca sztuki, o szerokich poglądach na świat i życie, o duszy wrażliwej, współczującej niedoli — co uwydatnia się w każdym z jego tematów, zostaje nieznacznie mentorem młodej artystki w Wiedniu. Poetyczne usposobienie obojga, zamiłowania ich i wspólne na świat poglądy zbliżają ich coraz więcej. Wycieczki w okolice Wiednia do Dornbach, Schönbrunn, zwiedzanie przybytków sztuki i cenne, choć niejednokrotnie hamujące zapędy kozaczej duszy uwagi artysty zacieśniają węzły przyjaźni coraz mocniej. Panna Krassowska jak i jej matka są również zaletami serca i umysłu Grabowskiego ujęte, mówią o nim często, zapraszają go do siebie. Gdy stan panny Klementyny zatrzymuje ją w hotelu, Grabowski odwiedza przyjaciółki, rozmową pomagając do zabicia czasu. Wizyty te nie są jednak prostym stosowaniem zasady chrześcijańskiej „chorych nawiedzaj”. Mimo woli odwiedzającego przeziera z nich i więcej ludzki cel uboczny. Zalety młodej koleżanki niepozostały bez wpływu na poetę. On także, choć postępuje z wielką nieśmiałością, rozważą i taktem, zdradzać się powoli zaczyna z uczuć, jakie dla niej żywi. W dni, gdy stan przyjaciółki zatrzymuje Annę w hotelu, wyczekuje często przed domem, by choć przelotnie ją zobaczyć, proste bodaj zamienić powitanie i odejść z myślami... z myślami ciężkimi, niestety. Bo wszakże

i on jest chory, chory może beznadziejnie, a w dodatku niebogaty, jak i ona — ołówek — to cała jego nadzieja. Co zrobi, gdy ręka odmówi posłuszeństwa, gdy wyschnie myśl w mózgu i sercu? Serce to jednak — nie sługa — popycha go coraz wyraźniej ku młodej koleżance mimo te myśli złowrogie. Sytuacja zaostrza się z dniem każdym, niejasność jej staje się kłopotliwą, siłą rzeczy do jakiegoś wyjaśnienia prowadzi niechybnie, gdy nagle wszystko zatrzymuje się na martwym punkcie: stan zdrowia panny Krassowskiej pogarsza się znacznie, prof. Benedikt radzi wyjazd do kąpieli włoskich.

Przygotowania do podróży, ostatnia wspólna wycieczka do Dornbach, wykorzystanie chwilowej nieuwagi pań Krassowskich i zamiana kwiatków (konwalja, którą później znalazła artystka zasuszoną w jego albumie i rodzaj polnego dzwonka wpiętego do dziś w jedną z kartek dziennika artystki) jakoteż przyrzeczenie dawania wieści o sobie i... koniec idylli.

Odtąd tęsknota, rwanie się z nieprzewartą siłą naprzód — bo wiara i nadzieja z jednej strony; bezwład i rozpacz beznadziejna wobec stanu zdrowia z drugiej. Na tem li zczeznać mają sny złote dwu jasnych, pokrewnych duchów?

Odpowiedź gotuje fatum.

Lecz pozwólmy teraz zabrać głos Bilińskiej samej. Podoła ona zadaniu lepiej, niż ktokolwiek bądź inny i ma do tego niezaprzeczone prawo. Nieuczyniłem tego dotąd, choć dziennik jej zaczyna się z dniem wyjazdu z Warszawy. Jest to jednak podczas pobytu w Monachjum i Wiedniu suchy tylko opis wydarzeń pobieżnych, szczegółły podróży i związane z nią trudności, jakoteż wyszczególnianie rzeczy widzianych w muzeach i przybytkach sztuki. Miast powtarzać dosłownie bezkolorowe to wyliczanie, ograniczyłem się do uwydatnienia zdarzeń i wpływów pobocznych na

pierwszy rzut oka i przypadkowych może, na dalszy jednak bieg życia i kariery Bilińskiej wpływ niezaprzeczony, dominujący niejako za jej wolą, czy wbrew nawet tejże siłą niezwalczoną losu stale i niezachwianie wywierających. Dodatni? Ujemny? — pytanie, rozstrzygnięcia którego podjąć się nieośmielam. Licząc się z nastrojem szerszej publiczności, dla której szczegółowe opisy zabytków sztuki i ich ocena zbyt może okazałyby się nurzące i nie przewodziłyby podawanych zdarzeń z konieczności nadwątlić zdolne, wybierać z dziennika i nadal będą tylko momenty ważniejsze, dla charakterystyki artystki i uwydatnienia dróg jej rozwoju niezbędne, z opisów przytaczając chyba tylko zbyt silnie z całością opowiadania sprzężone i których pominięcie dotknęłoby opowiadania tego wątek. Podpowiadać nie będę — niemam nawet, tuszę, potrzeby tego — dziennik ten pisany dorywczo wprawdzie, lecz jasno, szczerze, logicznie niezniosłoby poprawek. Rolę moją ograniczę do wiązania oderwanych i zbyt luźnych czasami ustępów odpowiednimi komentarzami dla zachowania całokształtu. Spieszyć się muszę—zdążyć muszę za Bilińską, a idzie ona krokiem rażnym — skoki robi czasami — do powiedzenia ma sporo. Dla tych, kogo to interesować może, notatki artystyczne Bilińskiej i indywidualną jej ocenę zabytków sztuki choć dorywczą najczęściej podam po zamknięciu opowiadania w końcowym dodatku.

W imię tedy Boże ustępuję głos Bilińskiej.

„Rok 1882. Rok najszcześniejszy ze wszystkich przeżytych dotąd. Zaczęty w Warszawie, przewędrowany później przez Monachjum, Wiedeń, Treviso, Roncegno, Padwę, Wenecję, Triest, znów Wiedeń, Allond, Baden, Kraków, Warszawę, Berlin i skończony w Paryżu“ (napis na pierwszej karcie).

12.V.1882 r. Droga z Wiednia do Treviso. O 7-ej

rano wyjazd z Wiednia. Semmering, później Ossiah, Villach, rzeka Drawa. Odmienny charakter zabudowań, typy malownicze przypominają Słowian. Radość nieopisana z Włoch. Mijamy góry, doliny — granica włoska — Ponteba. Italia, Italia! Więc oddycham już tym powietrzem — jestem w królestwie sztuki!

Ładne uniformy wojskowych. Rzucam odkrytkę do Grabowskiego, rysuję, fotografuję, spóźniam się nieomal na pociąg. O 12-ej Treviso. Hotel — pod oknami szumi rzeka.

13.V.82. Omnibusem do Castelfranco, wesoły Włoch w omnibusie, później o 9-ej Bossano. Hotel. Schodzimy na kolację. Dużo Włochów w kapeluszach — grają w karty.

14.V.82. Powozem do Roncegno (40 lirów). Prześliczna droga nad Brentą, olbrzymie skały, lud bardzo ładny, koloryt oryginalny, przypomina stare obrazy.

Passagno — miejsce urodzenia Canovy, Primolano, Borgo z zamkiem w ruinach na górze. Roncegno wreszcie. Z gości nikogo — jesteśmy pierwsze w hotelu. Pozycja malownicza. W hotelu na dole café — jedyny towarzysz pies. W Roncegno drożyzna, lecz humor pyszny.

15.V.82. Wizyta doktora — Włoszysko ani słowa po francuzku. Spacer. Sala jadalna — kilka osób. Znajomość z córeczką gospodarza — p. Weiz — bardzo miła panienska. Fortepian. Zimno — spacer po Roncegno. Mała bardzo miścina, lecz bardzo malownicza. Wierzchołki gór pokryte szronem i śniegiem. Maluję 2 godziny, potem idę na pocztę — zamknięta.

16.V.82. O 8-ej rano Klimcia śpi jeszcze — idę na pocztę. Niema listu. Deszcz. Mleko u Włoszki (4 soldi) — duży gąrczek. O 9 i pół wracam do Klimci. Schodzimy na dół do Sala da pranzo, gram trochę na fortepianie, gawędka. O 3-ej list od mamy: mój „Ma-

larz Wędrowny“ ma dużo amatorów, od T. Z. S. P. chce go odkupić Xiążę Puzyna, a przedtem jeszcze bankier jakiś. O 3½ rysuję domek z okna. Obiad, spacer, czytanie kurjera. Wieczorem rozmowa z Paolą — córka gospodarza i jej guwernantką po włosku. Paola, bardzo ładna i miła dziewczynka.

17 Maja 82. O 9-ej na pocztę — zamknięta znowu. Udaję się znowu w stronę Borgo — znajduję ładny punkt do malowania. Zachodzę do chaty włoskiej: dosyć czysto, dużo naczyń. Na ziemi rozniecone ognisko, nad niem na łańcuchu kocioł — gotowanie polenty. W Roncegno mało ładnych twarzy — nie to co w Treviso. Po obiedzie idę do źródeł Brenty.

18.V.82. Poczta, potem nad strumień za miasteczko. Nowe studjum. Gromadka dzieci, bukietik poziomek. Apteka, po niej z Klimcią do kąpieli pierwszej. Pogoda. Wycieczka z Paolą do Borgo, gdzie rysuję ruiny zamku należącego do wuja Paoli, którego poznaję. Sympatyczny, zna nasze stosunki polityczne, historię. Śliczny zachód słońca. Powrót do domu. Towarzystwo hotelowe zwiększa się — w sali już do 24 osób. Pan Weiz, gospodarz sympatycznej powierzchowności, Amerykanin, kapitan Polak, Moskał, Olga, Signor Longo, p. Hoppenger — Tyrolczyk i inni. Idę na górę: gawędka z Klimcią i panią Krassowską, czytanie.

24.V.82. Klimci trochę lepiej. Żeby Bóg dał narzeczcie — jakie to byłoby szczęście! Idę na pocztę — list od Grabowskiego. To dobry dzień. Idziemy pochodzić z Klimcią. Spotykam śliczne dziecko — Ketty, zabieram ją do malowania. Ah, jaka ona śliczna w tem swoim postrzępionem ubraniu!... Klimcia kopjuje widok. Paola zachwycona zabiera się także do malowania. Objad. Kapitan. Irytuje mię: źle mówi po polsku i opowiada tylko o hrabiach i xiążętach — znajomych swoich — idę malować. Słońce niepewne. Kładę się

na trawie, dzieciaki niewiadomo skąd otaczają mię, śpiewają, przynoszą kwiaty — niemożę myśleć, bawię się z nimi. Wracam. Znowu list od Graba i od Maruchy (pani Maryi z Chrzanowskich Gażycz) — wyjeżdżają na rok do Algieru. Klimcia zdrowsza — maluje. Projekta szkoły kobiet. Spacer, kapitan, Signor Longo, Amerykanin, Tyrolczyk — gawędka, potem malowanie znowu. Rączki modelki Ketty podmalowane, lecz męczy się maleństwo. Będzie się nazywać „Da mi un soldo!” jak skończę.

28. Maja 1882. Poczta. Idę upatrzeć miejsce do malowania. Wracam, przyprowadzam Ketty — maluję. Ktoś zajeżdża: Amerykanin i Tyrolczyk wracają z wycieczki. Pan Hoppenger przysyła przez lokaja bukietik kwiatów Alpejskich ze swym bilecikiem — to miłe. Podobno gwałtownie uczy się po francusku, aby z nami rozmawiać. O 4-ej już cała Ketty podmalowana. Obiad, gawędka. Wieczorem wymykam się sama, aby się przypatrzeć xiężycowi. Włóczę się daleko. Muszę namalować noc xiężycową. Wracam. Spotykam p. Longo — poczcwiem zaniepokoił się, że wyszłam sama i szedł na spotkanie. W sali panowie się dziwią, że tak późno chodzę sama — nie malarze. Wieczorem śpiewanie dumek na górze.

31.V.82. Odnoszę listy na pocztę. Pan Weiz jedzie do Wenecji — proponuje nam. Zamało czasu. Za namową Klimci i pani Krassowskiej decyduję się jechać sama — one już tam były. Dziś tedy o 8-ej wieczorem. Pakuję się szybko, zabieram farby, płótna, albumy etc. Pożegnanie z Klimcią, o 5½ z Roncegno do Borgo, o 8-ej wyjazd z Borgo omnibusem. Bałam się trochę: sama i czterech Włochów. Ale strach prędko minął — wybrałam miejsce na koźle, aby lepiej widzieć. Śliczna noc. Mój woźnica, poczcwiwe Włoszysko wyśpiewywał całą drogę. W końcu ja też nie próżnuję, ale umiem po włosku jedną tylko „Marianinę”.

O 11-ej w Primolano, w poczekalni w témże Primolano jeszcze o 12^{1/2}. Obok mnie biedny obłąkany, literat widocznie, ciągle coś rozprawia i zwraca się do mnie — wszyscy go słuchają — szkoda, że nierozumiem, choć boję się waryatów. O 1-ej ruszamy. Już Środa. Zachwycające widoki. O 2^{1/2} mimo widoków zasypiam. Budzę się w godzinę — wschód słońca. Trzech Włochów towarzyszy — bardzo grzeczni. W Bossano przechodzę na dworzec, znajduję p. Weiz — jedziemy razem do Padwy. W drodze daje mi bilet do hr. Giustiniani w Padwie i drugi do Tryestu. Żegna się — spotka mię w Wenecji. Idę oglądać Padwę.

Tu następuje opis kościołów i zabytków Padwy jako też ich ocena, co zresztą, jak w Wiedniu i Monachium powtarza się w każdym mieście (patrz dodatek).

1. Czerwca 1882 r. O 8^{1/2} wyjazd z Padwy. Noc jasna, piękna, poetyczna, zmieniają się widoki nieopstrzeżenie, wkrótce w oddali Venezia, gondole, — marzenie... Wrażenie silne, oryginalne...

Pan Weiz oczekuje na dworcu. Wsiadamy do gondoli, jedziemy... na plac św. Marka, riva dei Schiavoni, Ponte dei Sospiri, odnajduję mój hotel, dziękuję i żegnam p. Weiz. Kładę się spać — jestem zmęczona, lecz o 4-ej z rana spać już nie mogę, zrywam się ciągle, biegnę do okna — patrzę: ja naprawdę jestem w Wenecji!

2. Czerwca 82. O 7-ej budzi mię muzyka i melancholijny śpiew — głos gorący południowy. To gondolieri. Czemu Bóg nie chciał, bym była takim gondoliero? Śpiewałabym mu dumki. Ale On mię i tak psuje. — ilu to ludzi życie całe nie zobaczy Venecyi! Dzięki mu i za to.

Pisanie listów do Klimci i do Graba. Wychodzę na plac św. Marka. Muzyka, gołębie, turyści. Przechadzam się trochę po tym Veneckim salonie. Kupuję blok przy sposobności. Akademia — Tintoretto, Tycyan,

Bonifacio, Pordenon. Z galeryi do kościoła św. Marka. Objad. Wycieczka statkiem na Lido. Ładny zachód słońca, wspanialszy zachód księżyc. Chodzę nad brzegiem morza, robię 3 szkice — muszę tu przyjść z farbami dla sudjów. Powrót. Znowu spacer po placu św. Marka, po mieście, mostach, pasażach, przesmykach. Powrót gondolą. Śliczna noc — pałac Dożów wspaniały, dziwny. Niedarem księżyc wytrzeszcza nań tak oczy. Największe jednak wrażenie robią w półmroku więzienie i ponte dei Sospiri (myśl do kompozycji). Próba akwarelki — popsuty papier.

3.VI.82. Śmierć Garibaldiego — miasto Dożów w żałobie, sklepy zamknięte. Błądzenie po ulicach, kanałach i mostach. Rysuję San Giorgio Maggiore, później pałac Dożów. Piękny Włoch — widziałam go już wczoraj. Czego on chodzi za mną. Wracam do hotelu. Rozmowa z gospodynią. Znowu gondola.

4.VI.82. Kawa, rysowanie z okna. Kościół San Giuliano — plan San Sovina, kościół San Salvatore, wchodzę — dziwne kosze, kobiałki raczej w których przynoszą dzieci do chrztu — dożowie mali, czy gondolieri? Nauka religii — bez posłanniictwa. Piękna Włoszka. Powrót do domu. Rysuję widok ogólny. Tu za dużo naraz do malowania. Objad. Spostrzegam Tyrolczyka — p. Hoppengera. Rozmowa, spacer, sprawniki Klimci. Pisanie listów po powrocie do 3-ej w nocy. Księżyc świeci, rozhukane fale biją o brzegi, piękne chmury, koloryt bajeczny...

6.VI.82. Jeszcze list do Klimci. Pożegnalny rzut oka na miasto. Na placu św. Marka dwie Angielki malują akwarelle nadzwyczaj szybko i dobrze. Koronki dla Klimci. Bilet do Triestu. Wieczorem w świetle cudnego księżyc gondolą na dworzec.

7.VI.82. Noc na pokładzie. Zimno, chodzę, żeby się rozgrzać. Możeby lepiej pójść do kajuty? Lecz wschód słońca taki wspaniały, morze koloru opalu,

potem fiolet, granat, złoto i t. d. od 4-ej do 5-ej zasy-
piał w kajucie. O 6-ej Triest we mgle — przystaje-
my. Inne typy kobiet, ładny strój ludu — mocno trąci
Słowiańszczyzną. Hotel, spoczynek do 9-ej. Wyjście na
miasto, rysowanie, akwarelka, typy Serbów. Lecz tłum
mię otacza — przestaję. Zwiedzanie zabytków. Wie-
czorem pocztą do Borgo. Rzezimieszki w omnibusie —
strach — wyskakuję, przesiadam się na kozioł. Woź-
nica śpiewa znowu całą drogę.

9.VI.82. Powrót do Wenecji. Burza na morzu, ko-
łysanie statku. Wychodzę na pokład — straszno, lecz
pięknie!

W Wenecji list od pani Krassowskiej — zała-
twianie sprawunków. Kawa na placu św. Marka, kar-
mienie gołębi, ostatnia jazda gondolą i pożegnalne
spojrzenie na miasto — na kopuły, koronki, maszty
i wodę... Muszę śpieszyć — Klimcia niezdrowa.

Powrotna droga do Roncegno — ostatnie etapy,
znowu nocą omnibusem na koźle dla widoków. Zmę-
czenie — dobrze by wypocząć, lecz noc zbyt piękna.

10.VI.82. Powrót do Roncegno o 7-ej rano. Wszy-
scy śpią jeszcze i ja, niebudząc Klimci, spać idę także.
O 11-ej powitanie. Chora biedna. Gawędka, opowia-
danie. Objad, potem czytanie, spacer i gra w krokietą.
Powrót do hotelu, fortepjan, przeglądanie pism.

11.VI.82. Klimci nie lepiej — we Wtorek, zdaje mi
się, wyjeżdżamy. Zrana idę po Ketty — chciałabym
skończyć moje studjum. Maluję do 1-ej. O 3-ej znowu
wołam Ketty — pracuję do 6-ej — zmęczone biedne
dziecko. Klimcia gdera na egoizm artystyczny — mo-
że ma i rację. Mycie pendzli i palety podług zasad p.
Grabowskiego. Paola i p. Weiz proszą nas na dół na
tombole, lecz nie idziemy, gdyż Klimcię to nuży. Czy-
tanie Self Help Smiles'a, Eli Makower Orzeszkowej.

12.VI.82. Sprowadzam Ketty, lecz nie maluję —
nie mam czasu na skończenie. Wiozę tedy ją i Paolę

do Borgo, aby tam w słońcu odfotografować przynajmniej. Kupuję dla niej i jej siostry na fartuszki — radość dziecka. Pani Krassowska proponuje mi, żebym została dla wykończenia robót, ale ja się nie zgadzam — w drodze mogę się im przydać. Idę z Klimcią do parku kończyć przynajmniej akwarelkę. Ludzie otaczają nas, dziwią się — zachwyty przy każdym pociągnięciu pędzla — wrażliwy lud. Wieczorem czytanie, potem pakowanie od 12-ej do 2-ej.

13.V.82. O 7-ej wstaję trochę niewyspana. Piszę do mamy i do Grabowskiego. Dziwi mnie, że od dwu tygodni nie mam listu. W ciągu ranka kończę portret Paoli, o 2-ej wyjeżdżamy. Pożegnanie, wiwaty gospodarzy i gości.

14.VI.82. Stare bramy Bossano, widok na Brentę — robię akwarelkę. Doskonałe owoce. O 11-ej w drogę do Udine przez Castelfranco, Citadella, Treviso. Okolice monotonna równina.

Orzą czterema parami wołów, ziemia czerwono-brunatna. Zachód słońca i Udine.

15.VI.82. Ratusz w Udine w gościu pałacu Dozów. Rysuję, kupuję sandały, czy koturny drewniane włoskie. O 11-ej wyjazd na Judenburg do Sr. Michael, gdzie nocujemy.

16.VI.82. St. Michael — osada fabryczna w pięknej górskiej okolicy. Robię dwie akwarelki, lecz wiatr silny. Różnica miasteczka włoskiego i niemieckiego ogromna: tam malowniczość i wrodzony smak estetyczny przebija nawet w kształcie oberek i zabudowań gospodarczych; tu porządek, symetria. O 4-ej przez Semmering do Wiednia. Stajemy w Wiedniu o 10-ej w Hotelu Austrjackim.

17 Czerwca 1882. Wiedeń. Klimcia zmęczona. Idziemy z panią Krassowską do apteki. Czytanie Elí Makowera i ustępów z Tygodnika Illustrowanego. Sprawunki. Spotykam p. Lewandowskiego, od którego

dowiaduję się o wyjeździe Wojciecha Grabowskiego przed dwoma tygodniami. Powrót do domu, herbata, gwałtowne bicie serca.

18.VI.82. Za radą Benedikta co rano spacer w Stadt-Parku z Klimcią. Dziś wystawa w Kunstvereinie. „Jaskinia Piratów” Siemiradzkiego, Lipiński, Benedyktowicz, Eljasz, Rybkowski, moje dwa obrazy. Ładne kompozycje Kray'a. Poczta, potem Stadt-Park znowu, gdzie rysuję drzemiących Niemców. Gorąco, lody, sprawunki, powrót, czytanie. Klimcia ciągnie ka- bałę — niewesołe wróżby. Nierozumiem dlaczego nie- mam listu.

23.VI.82. Szukam innego mieszkania — niema odpowiedniego. Umawiam się w tym samym, co po- przednio hotelu, choć smutne wspomnienia. Prze- chadzka z Klimcią. Spotykamy p. Andrzejkowicz i p. Drużbacką. Przedstawienia. Pani Drużbacka pyta mię, czy nieznam Anny Bilińskiej. Klimcia objaśnia, że to ja.

25.VI.82. Pani Krassowska z Klimcią idą do Stadt- Parku. Ja zostaję — jestem chora — bicie serca. Od- poczywam nieco, później decyduję się odszukać je w parku. Wracamy razem. Zastaję list od Graba z Przemyśla. Po objedzie do „Ogniska” po książki. Wracając słyszymy muzykę — rozkoszuję się nią. Dziś dają Flick i Flock. Żałuję niezmiernie, że niewie- działymy o tem wcześniej — ostatnie przedstawi- nie — a ja tak pragnę jakiegokolwiek muzyki! Klimci przydałoby się to również.

26. Czerwca 1882. Dziwnie smutne myśli dręczą mię od pewnego czasu. Dlaczego mam te bolesne prze- czucia? Że pisuje rzadziej. To rzecz zrozumiała: jest w kraju, pracuje, ma przeszkody w znajomych... Lecz czy tylko te przeszkody? Chwilami bardzo jestem nie- spokojna. A wszak przed dwoma miesiącami byłam tak bez troski, tak prawie szczęśliwa! Lecz czyż mam

prawo narzekać? Jak we wszystkiem pojęcia nasze się zgadzały — poglądy na sztukę, na życie. Słuchając go, zyskałam niemało. Gdyby nie materyalne warunki — moglibyśmy być szczęśliwi. Wiem ja, jak troski powszednie zabijają człowieka, a szczególnie artystę. Niemożliwym byłoby, ażeby on dźwigał na sobie wyłączny obowiązek materyalnego zarobkowania i to z mego powodu. Gdyby moja praca mogła dopomóc mu choć w części! Ha! trzeba pracować, wyrobić sobie stanowisko. Dotąd sztuka była jedynym mym celem — stanie się nadal i środkiem, niestety. Co ten stary profesor plecie, że mam jakieś chroniczne podrażnienie nerwów serca! To nie dla mnie takie rzeczy.

8.VII.82 Rano po doktorze idziemy z Klimcią do Café de l'Opera, pierwszy raz od powrotu z Roncegno. Nie poszłabym tam była sama i gdyby nie chęć Klimci przejrzenia pism... Dziwne bo też są te mury, przypominające nam minione chwile, osoby których już nie ma tu... Kąpiel w Diana bad. Spacer. Wieczorem w Stadt-Parku miałyśmy z Klimcią bardzo interesującą rozmowę. Ona jest bardzo wierząca. Otóż dla stwierdzenia, czy sprawdzą się jej przepowiednie, mamy się koniecznie spotkać za lat dziesięć gdziekolwiek byśmy były, t. j. w r. 1892. Wracając z parku zgubiłam mój albumik, ażem się rozplakała, przekonawszy się o stracie — każda kartka zawierała dla mnie tyle miłych wspomnień.

9.VII.82. Rano odnajduję albumik w biurze tramwajów.

16.VII.82. Na poczcie nic. Sprawunki. O 11-ej z Klimcią do kąpieli, potem Stadt-Park, czytanie Smiles'a i Estetyki Lemke. Szkice drzemiących Niemców. O 2-ej u D-ra Benedikta dla zaradzenia się o mnie: zapewnia, że nic niebezpiecznego z mojem sercem. Znowu do Stadt-Parku, gdzie czekamy na p. Krassowską. Przychodzi pani Mazowiecka i brat jej. Jutro mam ry-

sować u niej małą dziewczynkę. Bardzo jestem z tego rada, tak się już stęskniłam za pracą. Ah, jakbym już pragnęła wrócić do mojej kochanej pracowni, do zaczętych płócien!

24.VII.1882. Klimcia chora. Dr. Benedikt zaleca nam wyjazd do Föslau, lecz tam nie sposób znaleźć miejsce. Pojedziemy zapewne do Baden, lub gdziekolwiek, gdzie znajdziemy mieszkanie — tu za gorąco. Co gorzej i Grabowski również niezdrów. W dzisiejszym liście przyznaje się, że się czuje zmęczonym, słabym. Wszak i tu kaszał mocno. Podejrzewam, że tam znacznie gorzej być musi. Co tu począć?

Jak widzimy troski zaczynają powoli obsiadać umysł młodej dziewczyny. Szczęściem zaprzątnięta myślą o przyjaciółce, nie może ona oddawać się zbyt długo rozpamiętywaniom sytuacji własnej. Po bezowocnych poszukiwaniach mieszkania w okolicach Wiednia, decyzya zapada na wyjazd do Allond, dokąd udają się 11-go Sierpnia. Las poblizki jest tam jedynym urozmaiceniem przeszło miesięcznego pobytu. Często też przebywa w nim Bilińska z przyjaciółką i jej matką, lub błądzi po nim sama z myślami.

20. Sierpnia 82. Spacer w lesie. Nie masz, jak natura — ona jedna w stanie uspokoić człowieka. Tak mi dobrze w lesie, tak miłe myśli i wspomnienia snują się po głowie. Co też tam porabia Wojciech? Jak to wszystko przyszło nieznacznie — teraz nie jestem już nigdy sama — anim się spostrzegła, jak już nie byłam sobą — panią mej woli. A jednak nie gniewam się za tę niewolę mimo kozaczej natury mojej. Dziś rano byłam u tutejszego proboszcza prosić o mszę świętą w imieniu p. Krassowskiej. Stary Paulin, siwy jak gołąb chodził po ogrodzie otoczonym murem dokoła. Jaki tam spokój! Burze życia zostały za tym murem...

27.VIII.82. Mam wreszcie list od Wojciecha: jest takim, jakim był zawsze. Ma mu być lepiej nieco. Inną

też jestem dziś zupełnie: jakoś wszystko jest piękniejsze, lepsze. Modeluję Balladynę w chwili zabicia Aliny. Pracuję dwie godziny z istotnym zapałem — po skończeniu zaćmiło mi się w oczach.

Jakbym pragnęła powrócić już do kraju — do mojej pracowni. Muszę dużo, dużo pracować, a przy zdrowiu wszystko da się zrobić! Gdyby tylko i Wojciech był zdrow! Śni mi się od dni kilku. Czas jednak pomyśleć o obiedzie. Wczora kupiłam liści do zakwaszenia ogórków — gospodaruję tu zawzięcie — od dzieciństwa lubiłam gospodarstwo — życie czynne miało dla mnie zawsze wiele uroku. Objady przyrzadzam na spirytusie. Rada jestem, że potrawy zgotowane przeze mnie najlepiej smakują Klimci i p. Krasowskiej.

6. Września 1882. Pan K. donosi mi z Warszawy, że pracownia moja na Nowym Świecie 2 dotąd niewynajęta. Chcę koniecznie mieć tę pracownię — pisałam do niego o to — będzie moją nadal. Ale kiedy ja się do niej dostanę! Nieraz rozpacz mię ogarnia na myśl, że nie mogę pracować, nic nie postępuję. A jednak inaczej być niemoże: gdybym się sobą zajęła, ta biedna dziewczyna, której tyle jestem obowiązana i którą tak kocham, byłaby w swej chorobie pozbawiona i tej ulgi jaką stanowi obecność moja i rozmowa ze mną. Toż i na studia chodzić niepodobna, gdyż ona niema sił towarzyszyć mi. Jaka ona biedna przy całej swej dobroci i bogactwie!

13. Września 82. Miałyśmy zabawić w Allond kilka tygodni jeszcze. Lecz Klimci nic nie lepiej. Wyjeżdżamy tedy. Jeszcze kilka dni Wiednia i Krakowa, a potem one wracają na Podole, a ja do Warszawy. I cieszę się z tego, i smutno mi zarazem.

20.IX.82. Wiedeń. Poczta — list od Wojciecha. Odczytywanie na ulicy — rozbijam głowę o jakies rusztowanie. Nic to. Zdrowszy chwała Bogu. Mój „Ma-

larz Wędrowny" już w Przemyślu. Pisze mi Wojciech, że z twarzy, sposobu malowania i wyrazu jest zadowolony, niepodoba mu się tylko zbyt realistyczne traktowanie brudnego surduta. Jest to jednak studyum tylko, gdzie chciałam dokładnie oddać naturę.

28.IX. 82. O 8½ przybywamy do Krakowa. W Hotelu Drezdeńskim niema miejsca — szkoda. Musimy zatrzymać się w Saskim — popsuty humor, gdyż nie będziemy miały Rynku Panny Maryi przed oknami.

29. Września 1882. Wuj G... mówi mi, że mogę korzystać z rad Matejki, lecz w Akademji niema miejsca — musiałabym tedy mieć pracownię własną. Korzystać z rad Matejki! Czy tylko jestem dostatecznie przygotowana na to. Ah, trzeba będzie przesadzać trudności!

30.IX.82. Byłam już prawie zdecydowana na Kraków — może też czasem zobaczyłabym tu i Wojciecha... Aż tu przychodzi list od mamy, w którym donosi, że mogłabym z pp. Stankiewicz jechać do Paryża! Naraz dwie tak korzystne, a tak różne drogi. Niewiem co wybrać: rysunek, technikę mogłabym posunąć w Paryżu — brak ich przeszkadzać mi może później w tem, do czego dążę — w kompozycyi, która jest moim ideałem. Staram się mieć na względzie malarstwo jedynie, gdybym bowiem pójść miała za podseptem serca — decyzja byłaby prędką. Głowa mi pęka. Bardzo późno piszę do Wojciecha.

2.X.82. Rano kupuję ziarna dla gołębi i sypię im je na placu Maryackim. Setki tych skrzydlatych biesiadników zleciały się po chwili, lecz nie są bardzo oswojone. Czemu jednak niemamy mieć gołębi Maryackich, jak Wenecya ma gołębie św. Marka? Wolałabym je, niż innych pasożytów, których tu taka massa. I jakby to pięknie było. Bo wszakże to wszystko razem naprawdę piękne. Wieczorem szczególnie, przy xiężycu kościół Maryacki, Sukiennice, Wawel, Floryańska bra-

ma, hejnał — to wszystko bardzo, bardzo piękne. Boddaj, czy nie wolałabym zostać w Krakowie...

Wieczorem idę do wuja G... Ten mi przedstawia różne trudności i niepodobieństwa — zniechęca mię i denerwuje. Wracam przygnębiona — nie śpię noc całą. Muszę poradzić się samego Matejki.

10.X.82. Niema Matejki! wyjechał do Lwowa. Dziś rozstałam się Klimcią, nie wiem na jak długo.

Idę z cicią do Urszulanek odwiedzić Linę. Nie lubię klasztornego wychowania. Co za dziki zwyczaj klękania przed przełożoną. Rysuję z okna Bramę Floryańską. List od mamy: ojciec przyjeżdża do Warszawy na krótko — zobaczę go tedy wkrótce. Przychodzi wuj G. z malarzem jakimś — panem H... Nalega, abym przy nim malowała głowę. Dobry zastępca Matejki!... Wieczorem idę jeszcze raz do wuja przez Planty. Cudowny widok Kopca Kościuszki przy zachodzie słońca. Przez Rybaki ponad Wisłą dochodzę do Stradomia. Ten Wawel! Z taką dumą chodzę do koła — wiem, że stąпам po własnej ziemi. Doznawać tego może tylko ten, kto wraca z dłuższego pobytu na obczyźnie.

12.X.82. Po bezsennej nocy z rankiem wróciła mi energja: tu niema co robić—trzeba starać się koniecznie wyjechać do Paryża. O modele do aktów dla mężczyzn podobno trudno, cóż dopiero dla nas!

Przybył do Akademji jakiś uczeń z Wilna. Niema biedak ani centa. Chce iść w służbę, by w ten sposób zdobywać utrzymanie i naukę. Wyjdzie na ludzi.

16.X.82. Jadę do Warszawy. Rozmyślam, co zyskałam, a co straciłam w tej naszej podróży: pomimo, że straciłam dużo drogiego czasu, że pracując mogłabym była przez ten czas dużo więcej się nauczyć, porównywując jednak korzyść odniesioną — zyskałam dużo.

17.X.82. W Warszawie zastałam już ojca. Kochany — dobrze wygląda, zdrowo, ale zmartwiony, smut-

ny: Bank Skopiński, w którym złożył oszczędności — zachwiany — wypłaty zawieszono. Niema pewności, czy uda się wycofać pieniądze.

18.X.82. Całą noc nieśpię — myślę o wyjeździe. Rano do p. Stankiewicz dowiedzieć się o warunkach podróży. Potem do pracowni — porządkuję na przybycie ojca. Roboty moje, które wydawały mi się niezłemi dawniej, teraz są szkaradne. Patrząc na nie niemożę obojętnie. Radam bardzo, że jadę do Paryża. O 3-ej przychodzi ojciec z panem S. Kompozycje podobają im się. Pan S. mówi mi, że pan Lucyan L. dawny przyjaciel, jest w Warszawie i że bardzo wypytywał o mnie. Wieczorem ojciec wypytuje mię, ile już mam i ile mi jeszcze potrzeba. Daje mi 140. rs. po powrocie do domu ma mi przysłać więcej. Z tém dam sobie rady...

20.X.82. Idę z ojcem na wystawę. Przychodzi pan Lucyan. Był u nas, lecz dowiedziawszy się, że jesteśmy na wystawie, odnajduje nas u Krywulca. Niepoznałam go, tak dobrze wygląda. Doskonale mu się powodzi. Łazimy. Zmęczeni trzema wystawami wracamy do domu. Po objedzie rozmowa, odczytywanie notatek z podróży, wreszcie gram z Władziem. Wieczorem czuję się dziwnie rozstrojona i smutna. Ojciec obawia się bym w Paryżu nie tęskniła za kimś. Poczciwe ojczyisko, prosi, abym mu otwarcie napisała — na drodze mi nie stanie. Oh, ja o tem wiem oddawna, ale nie mam śmiałości powiedzieć mu wszystko!

21. października 82. Dziś w pracowni maluję portret z fotografii. Wracając do domu, spotykam p. Mazaraki i p. Sułowską. Ta ostatnia wita mię przez połę: zdziwienie moje — winszuje mi zamążpójścia. Zkąd im coś podobnego przyszło do głowy?

Wieczorem przychodzi p. Bądz... i pan Lucjan. Pan Lucjan otrzymał spadek — jest bardzo bogaty. Zajmuje się moją osobą od pewnego już czasu. Teraz

tak wyraźnie daje mi poznać swe zamiary... Gdybym chciała być bogatą dziedziczką — mogłabym. Ja go lubię, jest przystojny, zacny, ma wiele szlachetności charakteru... Cóż kiedy.... Oh, pieniądz ma wielką wartość, lecz jako środek tylko. Gdybym nie była wyjeżdżała zagranicę, niepoznała Wojciecha — mogłabym teraz rozporządzać sobą. Lecz dziś czy myśl podobna może przyjść mi do głowy?

21.X. 82. Pracownia. Malowanie nie idzie. Tak nudno malować z fotografii osobę nigdy nie widzianą. Muszę to jednak zrobić dla ojca. Przychodzą właśnie ojciec, mama — gawędka, wspomnienia dawnych czasów. Wychodzą po chwili. Mycie pendzli, układanie płócien. Głowa mi pęka od myśli — niewiem co mam robić. Czemuż ten nieznośny W. od tak dawna niepisze!

Idę do Chrzanowskich. Pan Ch. bardzo zmieniony po stracie żony. Mania pewno także pojedzie do Paryża. Pan Ch. powiada mi, że jakiś duch niepokoju pędzi mię naprzód. Słyszał, jak utrzymuje, że mam być bardzo „poetyczna“. Czemu? Dowiaduję się, od nich, że moja „Matka Boska“ sprzedana. W samą porę. Idę do sklepu — prawda. Dostaję 60 rs. Wracając widzę w oknie Orgelbranda reprodukcję rysunku mego „Siostra Miłosierdzia“ w Tygodniku Ilustrowanym. Biorę jeden numer i kilka dumek ukraińskich, muszę je wziąć do Paryża — bardzo lubię melodje ukraińskie. Po drodze spotykam Micię Deryng — bardzo ją lubię — zawsze taka serdeczna, choć to prawdziwy demonik. Jutro gra Ofelję, lecz nie zobaczę już jej na scenie — idzie zamaż. Wieczorem przegrywam dumki, jestem sama. Niezmiernie lubię muzykę, tak się już za nią stęskniłam. Niewiem, co się ze mną dzieje... Wreszcie wraca ojciec, Władzio. Znowu muzyka. Władek odgrywa wybornie kilka trudniejszych rzeczy Beriota, Heidna, Kreutzera. Później rozmowa z ojcem: astronomja — Saturn, Xiężyc, forma-

cje, teorje Heckla, kataklizmy... Najgorszy, że ojciec jutro wyjeżdża.

7 listopada 82. List od Wojciecha. Z każdego słowa wyczuwa się żal, że tak dawno nie pisał. Nie mógł — nie jego wina! Ale w każdym razie muszę go ukarać za to: nie napiszę, aż z Paryża. Idę do Gersona. Co to za dobry, serdeczny człowiek, tak po ojcowsku cieszy się z mego wyjazdu do Francji. Chociaż powiada, że i w Warszawie mogłabym zajść daleko, teraz jednak nie wątpi, że w krótkim czasie dojść muszę do czegoś. Przestrzega, żebym nie zmieniała szerokiego malowania mego. Po południu wizyta u Dra Sommera. Bardzo długo wysłuchuje serce moje, powiada wreszcie, że jest daleko lepiej, niż dawniej. Ja to czuję sama. Wieczorem u Maruchy. Pan Chrzanowski ma wykład historjozofji: trzy światy — fizyczny, duchowy i moralny i t. d. Wracam do domu koło 1-ej dopiero. Zastaję pana Lucjana — czeka od 7½. Żal mi go... Obiecuje przyjechać do Paryża. List od Klimci. Jutro w drogę do Paryża, daj Boże szczęśliwie!

Tu kończy się okres dzieciństwa niejako artystki. Od tej chwili zaczyna się perjod życia najciekawszy — perjod walki, zmagañ, sukcesów i sławy, lecz zarazem trudności i cierpieñ, niestety.

8 listopada 1882. Wyjazd z Warszawy o 7-ej rano. Sama sobie nie wierzę, że jadę do Paryża. Rok temu było to tylko marzenie. Jadę pełna wiary. A jaki będzie powrót? Passażerowie zmieniają się. Często urywam zaczęta przez nich rozmowę — niema do niej ochoty. Wreszcie zasypiam, jak w domu. Śni mi się natarczywie pan Lucjan. Co się przebudzę i usnę znowu — ciągle tylko on. A na jawie rzadko o nim myślę.

9. XI. 82. Berlin. Wychodzę na miasto. Deszcz. Ulice szerokie, chmurne. Na końcu alei „Pod Lipami” dużo gmachów olbrzymich, lecz wydaje się, jak

gdyby je kto tymczasem tylko na kupę złożył — żadnego gustu. Muzeum królewskie — wspaniałe zbiory, rzeźby szczególnie. Idę do Akwarjum, potem, nie chcąc, trafiam do Panopticum. Bardzo przykre wrażenie tych woskowych figur, niemogę na nie patrzeć, do tego jakaś licha muzyczka — jestem zdenerwowana, wracam na dworzec — dalej w świat! Smutno jeździć samej.

11. XI. 82. Kolonja. Katedra, ale nie mogę jej widzieć — pociąg zatrzymuje się zbyt krótko. Na inny raz. Od Vervier (granica Belgijska.) śliczna okolica, góry, dotąd tylko równina monotonna. Od wszystkich słyszę tylko Paryż i Paryż, a mimo to nie wierzę, że się to dzieje na jawie. O 7½ staję w Paryżu.

12. XI. 82. Rano dopomagam pani Stankiewicz— Zosia trochę cierpiąca. Potem p. S. odprowadza mnie do omnibusu — jadę do Louvre'u. Olbrzymie muzeum. Venus Milońska cudowna — inne Afrodyty wyglądają przy niej, jak kucharki. Spieszę do domu piechotą, aby przyjrzeć się miastu. O 1-ej przychodzi państwo Kalkstein i razem z p. Stankiewicz idziemy na miting jakiś pod przewodnictwem najtęższej głowy Republikanów — Clemenceau. Pan de Pauly— przeciwnik z trudnością przychodzi do słowa, wreszcie ustąpić musi. Socjaliści mieli podobno rzucać bomby, ale nic. Mam teraz pojęcie, co to jest takie zebranie.

13. XI. 82. Dziś pierwsza lekcja w Akademji Jullian'a. Pędzę. Modela jeszcze niema. Przypatruje się tymczasem koleżankom moim i ich pracom. Co dwa miesiące są tu konkursy na medal srebrny. Model. Zaczynam rysować głowę, lecz nie idzie. Zupełnie tu inny sposób rysowania. Ale nie tracę nadziei. Przychodzi pan Jullian — wskazał mi błędy, ale dodał: „c'est fait avec beaucoup d'intelligence”. dobre i to na pierwszy raz.

Rzeczy moje nie przyszły dotąd—nie mam potrzebnych gratów.

14. XI. 82. Rano szkoła. Opłata za naukę 400 frs. na pół roku. Wieczorem jedziemy z p. Stankiewicz do pp. Duchieńskich na Passy. Jest kilka osób. Pan Duchieński, staruszek, zapalony Rusin, Panna Jabłonowska, Kazia Dziekońska, Anielka Wisłocka i jakiś pan, Polak z Grecji. Z tém wszystkim dosyć nudno. W domu list od Klimci i od W. G.

15. XI. 82. Są tu podobno kursa wieczorne, modelowania. Muszę się na nie zapisać, — wieczorami nie robię dotąd nic — czas się traci.

16. XI. 82. Tak niema nic do zanotowania! Codzień to samo: od 8 rano do 5 popołudniu szkoła. Potem wracamy — przyrządzanie obiadu, odpoczynek, gawędka i spać. Dziś w szkole zachorował model. Zanim znaleziono drugiego, pozowała panienska ze szkoły — robiłyśmy szkice. Mój sposób podobał się koleżankom, mówiły: „c'est merveilleux!”

17. XI. 82. Ośm godzin rysowania w szkole i trzy w domu. Spieszyłam zrobić kompozycje na zadane temata — te same co w Ecole des Beaux Arts: „Deux pigeons s'aimaient d'un amour tendre”, podług bajki Lafontaine'a i „Jakób otrzymujący suknie Józefa”. Moje „pigeons” posadziłam w Młodym Majowym lasku, a na powrót jednego z nich mam zamiar zrobić jesień i deszcz.

18. XI. 1882. Był dziś w szkole Tony Robert-Fleury. Całą uwagę zwracać kazał na oddanie charakteru, aby roboty nie były banalne. Znalazł, że mam już pewną technikę i że postępy robić mogę. Panu Juljanowi pokazywałyśmy kompozycje. Zadał dwie nowe: „Wąż miedziany” i „Herkules wydzierający śmierci Alcestę”. Zbieram się napisać do Wojciecha, lecz nie mogę znaleźć chwili spokojnej. Nie dałam mu dotąd adresu i nieodpisałam na ostatni list. Co też on sobie pomyśli.

19.XI.82. Raniutko maluję kompozycje. O 11-ej przyjeżdżają z pensji dzieci znajomych—Polacy. Gawędzę, potem jedziemy na koncert Lamoureux. Znakomita orkiestra. Symfonia włoska Mendelsohna i Wagner zachwyciły nas najwięcej.

25.XI.82. Oczekiwanie w pracowni na przybycie Robert-Fleury. Przychodzi. Bardzo sumienne uwagi. Mówi mi, że staram się robić modele ładniejszymi, niż są, a należy ściśle naśladować naturę — charakter i wyraz. I na to każe zwracać najwięcej uwagi. O 4-ej przychodzą po nas pp. Kalkstein i Anielka. Wstępujemy do Grands Magasins du Louvre — największe w świecie. Potem kościół Notre Dame — koronka, a jednocześnie ogrom taki. Niewiem odczego zacząć...

27.XI.82. Dziś zaczynamy rysować głowę konkursową. Ciekawam, kto dostanie medal. Chciałam powiedzieć sobie, że bez medalu nie wyjadę z Paryża. Lecz tym sposobem niewyjechałabym może nigdy. A jednak dostać go muszę!

List od Maruchy Gażycz i od Klimci.

2.XII.82. Roboty konkursowe skończone. Oddałam i ja swoje. Na przyszły raz mocniejszą już będę. Czuję, że nieumiem nic, a przynajmniej zupełnie inaczej, niż trzeba.

Pokazywałyśmy dziś kompozycję „Wąż Miedziany”. Moja bardzo się profesorowi podobała, nie miał jej nic do zarzucenia — okazała się najlepszą. Daleko łatwiej zrobić kompozycję z kilkudziesięciu osób, niż z jednej lub dwu.

Co się tam z Wojtkiem dzieje. Niewiem nic.

3 Grudnia 1882. Niedziela. W Luwrze pierwszy odczyt o sztuce. Byłam. Po odczycie od 10-ej do 4-ej chodzę po galerii. Zmęczoną jestem, ale obeszałam cały Louvre. Postanawiam przychodzić tu co Niedziela, robić notatki i szkice. W domu rysuję. Piszę do mamy prosząc o przysłanie notatek moich o Ubiorach i Stro-

jach. Ani sposób komponować bez tego, jeżeli chce się utrzymać w charakterze epoki.

31.XII.82. Miesiąc prawie niezapisywałam codziennych zdarzeń, nie miałam czasu, a często i chęci—wszystkie prawie dni przechodzą podobnie.

Kompozycje mamy zadawane co tydzień. Muszę powiedzieć, że moje wypadają najlepiej. Za dwie ostatnie miałam pochwały od p. Juliana. Zatrzymał je nawet u siebie, aby pokazać w szkole męskiej—utrzymuje, że żaden z mężczyzn nie zrobił tak jasno i dobrze, jak wypadły moje. Bardzo jestem rada, ale martwi mię, że w rysunku daleką jestem od pierwszych. Teraz idzie mi trochę lepiej, mówi mi to nawet Robert-Fleury, trudno mi jednak nałamać się do tego sposobu rysowania.

Od dwu tygodni chodzimy z Zosią na rysunki wieczorne do pp. Kalkstein. Zbiera się tam nas do 12 osób, w tej liczbie kilku uczni. Rysujemy w albumach szkice figur każdy swoim sposobem. Monachijczycy żadnej niezwracają uwagi na podobieństwo, na charakter modelu — robią, co im do głowy przyjdzie: rysując chude dwunastoletnie kurczątko, robią z niej Rubensowskich kształtów kobietę. Robert-Fleury zupełnie inaczej każe patrzeć i chwytac jeżeli nie fotograficzne podobieństwo, to indywidualny charakter nieodzownie, inaczej robi się, jak powiada „de chic, banal“, wynikiem czego jest w końcu zmanierowanie się.

W tym miesiącu kilka wieczorów spędziłam u znajomych. Byłam u pp. Mickiewiczów, u panny Julii Jabłonowskiej. Ta ostatnia była, podobno, piękną kiedyś i bogatą. Dziś gdzie to wszystko! Bardzo jej żałuję. Choć biedną dotąd nie jest ona wcale. Byłam także u koleżanki mojej — Signoriny Coradossi. Włoszka całą duszą. Bardzo ją lubię, ale chora biedaczka podobnie jak Klimcia. Byli też u niej p. Kalkstein i p. Fleury-Basza — również koleżanka, w dodatku p. J.

Szczawiński, hrabia podobno i jeszcze paru panów. Przyjęcie było bardzo eleganckie, tańczono nawet trochę i mój mazur — jedyny jaki umiem napamięć bębnił w uszach wszystkich przez pół godziny. Byłyśmy również u innej koleżanki Angielki — Miss Moor. Prócz nas byli tam jeszcze pp. Lentz, Pochwalski, Motty i hr. Szczawiński. Bawiono się wybornie. Pierwszy to jednak raz spędziłam święta Bożego Narodzenia nie w kółku rodzinnem — było mi bardzo smutno. Gdybym mogła choć na chwilę widzieć Wojciecha, kilka bodaj słów z nim zamienić! Nieprzypuszczałam, żeby on był mi tak potrzebny do szczęścia, do spokoju. Długi czas niezdawałam sobie sprawy z tego stanu i tak nieznacznie pogłębiło się uczucie. W Wigilię pisałam do niego, podając dokładny adres. Czy tylko dostał list?

Od Mani Gażycz miałam liścik: pocziwa, niezapomina o mnie i tak serdeczną jest zawsze. Na nią i jej przyjaźń liczyć mogę zawsze.

W Wigilię Nowego Roku otrzymałam od ojca 300 rs. Biedne, kochane ojczyisko, ma zmartwień, kłopotów tyle, a jednak niezapomina, przysłał mi tyle! W ten sposób zabezpieczoną jestem aż do Maja i jeszcze zostanie mi trochę.

Paryża jako miasta nieznam dotąd wcale, ale z tego, co o nim słyszę, niepodoba mi się: co za brudy! z całą bezczelnością mówią tu o rzeczach najhaniebniejszych. Jest tu zepsucie ogólne!

Byłam raz w teatrze na „Mères Ennemies”. Rzecz z czasów konfederacji Barskiej. Typ matrony polskiej przedstawiony z taką siłą i prawdą, że niepodobna słuchać tego obojętnie. Spłakałam się też ogromnie, aż do bólu głowy, tak że na drugi dzień rano nie mogłam być w szkole.

Dziś jest ostatni dzień roku. Co też on mi przyniósł? Oh, bardzo wiele: przyniósł mi to, o czem się marzy życie całe! Co jednak czeka mię w tym Roku

Nowym? Strach mi, niespokojną jestem. Czy nie za-
dużo szczęścia doznałam w tym roku? Wiary nie stra-
ciłam i chociaż wierzę inaczej może, niż wielu, mam
jednak nadzieję, że Opatrzność czuwać nademną bę-
dzie i nadal, że dobroczynna i wszechmocna Istota
kierować i opiekować się i nadal będzie mną i moimi
ukochanymi.

Spis kompozycji

zadanych w ciągu dwu ostatnich miesięcy przez Tony
Robert-Fleury w Akademii Jullian'a.

1-o Oddanie Jakóbowi sukien Józefa; 2-o Deux pi-
geons s'aimaient d'un amour tendre; 3-o Herkules
wydzierający śmierci Alcestę — żonę Admesa; 4-o
Wąż miedziany wystawiony na puszczy przez Moj-
żesza; 5-o Odnalezienie zwłok Karola Śmiałego; 6-o
Rolnik składający ofiarę bogini Ceres z owoców swej
pracy; 7-o Priam błagający Achillesa o zwrot ciała
syna swego Hektora; 8-o Wyniesienie z Kapitolu
zwłok Juljusza Cezara przez trzech niewolników.

1 Stycznia 1883. Dziś Nowy Rok, daj Boże szczę-
śliwy! Szkoła nieprzerywa prac. Bardzo ładny Włoch
model. Podoba mi się — będę go malować. Tu zupeł-
nie inny mają sposób, szczególnie zaczynania.

Wieczorem przychodzą po nas pp. Kalkstejn —
idziemy do nich. Jest kilku panów, pan Lentz, Cora-
dossi, przyjeżdża Abbema — znana malarka. Robi
trochę wrazenie maski. Pan Lentz opowiada, żartuje,
dowcipkuje — ożywienie, zabawa idzie, tańce. Na in-
tencję p. Abbemy tańczą czardasza, kozaka, mazura.
Ona na wszystko: „c'est charmant”. Zdawkowa mo-
neta. Aż mię to gniewa, lecz ona taka sympatyczna
i lubi Polaków. Prawda, że nasze tańce trochę zbyt
hałaśliwe dla Francuza. Ja mimo bicia serca i zakazu
doktora tańczę również. Oj, ten mazur! jak posłyszę

muzykę — niemogę wytrzymać na miejscu. Szczególnie mazur i galop — niepanuję wprost nad sobą — tańcząc zapominam o wszystkim.

W domu list od ojca. Dobre ojczyisko. A tak krótko go widziałam.

4.I.83. Szkoła kończy się dziś o 2-ej, gdyż od 12-ej do 5-ej wolny wstęp dla oglądania ciała Gambetty. Zdawało mi się, że Arc de Triomphe jest blisko od Place de la Concorde, idę więc pieszo — bez końca. Przybywam wreszcie zmęczona — niepodobna się dostać, trzeba stanąć w ogonku złożonym z kilkunastu tysięcy ludzi.

6.I.1883. Z powodu pogrzebu Gambetty dziś w szkole korekta wczesna. Robert-Fleury powiedział mi, że widzi pewien postęp, lecz rysunek i konstrukcja mają jeszcze braki. Idziemy na pogrzeb. Za 2 frs. udaje mi się zdobyć krzesło, na którym utrzymując jako tako równowagę stajemy z Zosią. Wszystko widać jak na dłoni: tłum korporacyj, setki wieńców, fraki, cylindry, szarfy, gwiazdy, uniformy, szesze, broje, hełmy, sztandary... Porządek zadziwiający. Przez trzy godziny przesuwa się tak przed nami pochód zdążający do Panteonu.

7.I.83. Niedziela — pozwoliłam sobie wypocząć dłużej. Notre-Dame — zawsze imponująca, cudowna. Potem Panteon. Freski Puvis de Chavannes'a, Jean Paul Laurens'a i Cabanela. Laurens'a najładniejsze. Ceremonja błogosławieństwa w kaplicy św. Genowefy — niepodoba mi się. Idę do podziemi: pomniki Voltaira i J. J. Rousseau. W Panteonie zwłoki licznych mężów stanu i znakomitych Francuzów. Z Panteonu idę do Musée Cluny. Prześlicznie i wybornie utrzymane ruiny Rzymskie. Spotykam pp. Kalkstejn — idziemy razem na kazanie du Père Loison. Ma to, podobno, być najznakomitszy dziś mówca-reformator.

8 Stycznia 83. Nowy model. Będę tylko rysować. Pokazywałyśmy dziś kompozycje: „Wyniesienie

zwłok Cezara" dobre, prócz niefortunnego wyciągnięcia nogi jednego z niewolników, całość Tony bardzo chwalił; w „Herkules wydzierający śmierci Alcestę” znalazł postać Herkulesa bardzo zręczną, elegancką i silną; „Priama” znalazł mniej jasnym. Nowe temata: „Aniołowie oznajmujący pasterzom narodzenie Chrystusa” i „Święte Niewiasty u grobu Chrystusa”.

9.I.83. Szkoła do 5-ej Po objedzie wstępujemy do p. Jabłonowskiej, aby pójść razem na imieniny p. Duchińskiej. U p. Jabłonowskiej panna Rakowska kładzie kabałę. Mówi mi rzeczy dziwne — tak wiele prawdy, że zmartwiłam się seryo: jakiś brunet, z którym myślimy o sobie nawzajem, jest bardzo chory!... Rozsądek zabrania mi wierzyć, a jednak jest mi nad wyraz smutno... U pp. Duchińskich mnóstwo osób — panie postrojone, jak na prowincjonalnym odpuszcie.

10.I.1883. Byłam dziś w usposobieniu szczególnem. Wszyscy myśleli, że jestem naprawdę wesoła. A co się w duszy dzieje... taki ból, smutek taki! Ah, ta niepewność! Sama niewiem, co robię, a im więcej się śmieję, tem silniej ściska się serce. Żadnych wiadomości od Wojciecha, a od ojca tylko smutne. Wieczorem rysuję kompozycję „Aniołowie zwiastujący pasterzom...” lecz myślę Bóg wie o czem.

13.I.83. Korrekta Robert-Fleury: bardzo źle! proporcje fugur fatalne, kompozycya niejasna — jednem słowem źle wszystko.

Ze zmartwienia idę na wystawę studjować Bastien Lepage'a i innych.

14.I.83. Niemyliły mię przeczucia: Wojciech był chory i jest. Sam jeden, bez żadnej opieki!... Cały dzień o nim tylko myślę: gdybym miała środki... ptakiem poleciałabym do Lwowa.

Rysuję w domu dzień cały. Postanawiam wszystkich sił użyć na sumienne rysowanie. Już dwa miesiące, jak tu jestem, a skorzystałam niewiele. Otworzyły

mi się oczy na wiele rzeczy — jaśniej widzę, rozumiem, ale wykonać niepotrafię jeszcze.

16.I.83. Nowy temat: „Dalila ucinająca Samsonowi włosy”. Po szkole na rysunki do p. Kalkstejn. Wieczorem Zosia gra bardzo ładnie. Taką mam miłą chwilę... Dziwna jest potęga muzyki. Jest to wszechwładna pani — robi z człowiekiem, co zechce, przynajmniej ze mną.

19.I.83. List do Maruchy i znowu do Wojciecha. Mam jakąś nadzieję, że z nim nie jest może tak źle, abym była tam potrzebną, w przeciwnym razie nie powstrzymałoby mnie nic od podróży do Lwowa. Dopiero gdybym zobaczyła go znowu zdrowym i silnym — odjechałabym cichaczem. Dużo się mówi o miłości, a gdy nadejdzie chwila okazania jej — niema siły.

26.I.83. Pokazywałam kompozycje p. Julian'owi. Podobała mu się Dalila — powiada że mam dużo fantazyi.

27.I.83. Robert-Fleury zaleca mi rysować więcej naiwnie. Szerokie rysowanie zależy na rozszerzaniu światła i unikaniu szczegółów. O rysunku moim powiada, że jest lepiej, że jednak mam za dużo wprawy i jeżeli zmuszę się patrzeć na naturę, to wówczas dopiero technika moja przyda mi się bardzo.

Popołudniu zostaje tylko kilka panien. Dokazujemy. Projekt balu kostjumowego. Zanim co będzie, ja z włosów robię sobie wąsy, zarzucam niedbale na ramiona palto, robię minę, kapelusz na bakier i pozuję tak na stole. Panny zachwycone, rysują mię przez dwie godziny.

28.I.83. Rano rysuję zadaną kompozycję „Ofiara Ifigenii”, ale niemożę nic zrobić — trudny przedmiot. Z rozpaczy idę na koncert de Colonne do Chatelet. Program bardzo obiecujący: Mendelsohn, Wagner, Beethoven. Niezmiernie lubię muzykę. Dzień prześlicz-

ny — wiosna prawdziwa. Wieczorem listy do mamy i Klimci.

29.I.83. Klimcia przysłała mi sto rubli jako pożyczkę. Powiada, że na pieniądzech pewno mi niezbywa. Co to za dobra dusza... Jak ja się jej wywdzięczę? Zaprasza, żebym koniecznie przyjechała na wakacje. Sama niewiem, jak zrobić: takbym pragnęła popracować tu jeszcze, a wiem, że raz wyjadę — to wrócić będzie trudno.

2.II.83. Dostałam dziś pochwały za rysunki. Pan Julian mówił: „cette jeune fille marche très bien, elle a un avenir”.

Byłam zaproszona na dziesięwszy wieczór do panny Moor, lecz wymówiłam się. Zrobiłam za to szkic do albumu Heleny Modrzejowskiej: Ukrainkę stojącą i wpatrzoną w odjeżdżającego mołojca, który ginie w kłębach kurzu i promieniach zachodzącego słońca. Ale niewiem, czy to zostawię.

3.II.83. Robert-Fleury powiedział dziś, że w rysunkach moich jest dużo dobrego — więcej prawdy i natury. Dla kogoś innego uważałby to już za bardzo dobre, ale odemnie wymaga więcej. Nienależy rozszerzać bardzo półcieni, bo to robi rysunek brudnym. A więc on mię za coś ma chyba?

Niewiem co mam narysować dla Modrzejowskiej. Zdaje mi się, że się zdecyduję na Jaskółki, wracające do domu.

4.II.83. Cały dzień w domu. Kompozycya „Józef wydany przez braci”. Zadowoloną z niej jestem. Czytanie poezyj, dorabiamy z Zosią muzykę do poezyi Lenartowicza — rozśpiewane jesteśmy. Prześliczny wieczór. Tu zimy niema. Karnawał wre.

Od jakiegoś czasu snuje mi się po głowie cykl kompozycyj. Tytuł — „kobieta”. Chciałabym przedstawić ją w różnych fazach życia ze strony dodatniej i ujemnej: obowiązki kobiety i jej rola w rodzinie i społeczeństwie. Niewiem, czy to może mieć wpływ

jaki, gdyby mi jednak udało się chociaż jednej kobiecie w rozterce pomódz, wskazać drogę — byłabym z tego niewymownie szczęśliwa. Powiadają, że sztuka istnieje sama dla siebie. Ja trochę innego jestem zdania. Pożytek pięknu nie przeszkadza. Niema na świecie nic bez celu dobra ogólnego, chociaż jednostki cierpieć niekiedy mogą. Dlaczegożby sztuka miała być tak egoistyczną? Dziwnym też jest obecny kierunek sztuki. Zdaje im się, że odtworzenie natury starczy za wszystko. Mnie to niewystarcza w zupełności.

1.II.1883. Helenka Mickiewicz wybiera się dziś na koncert. Mamy iść i my. Ale p. Sandos przynosi bilety do Theatre Français. Dramat Racin'a „Britannicus”. Munet-Sully gra Nerona. Co za artysta!

13.II.83. Dostaję ogromne pochwały od p. Juliań'a za kompozycyę. Nawet zatrzymuje jedną dla siebie. W pracowni jego wiszą prace lepszych uczni, z damskich jednak moja będzie pierwsza. Ho, ho!... Zatrzymał zresztą wszystkie moje kompozycyę, aby je pokazać profesorom, którzy jutro sądzą konkurs. Jestem bardzo szczęśliwa. Gdyby jeszcze i ze strony najwięcej mię obchodzącej mogło zabłysnąć słońca trochę... Niestety, zawsze jakieś „gdyby”.

14.II.83. Konkurs rysunków osądzony: Zosia dostała medal. Muszę się przyznać ze wstydem i boleścią, że przez jakiś czas zazdrościłam jej. Ale po chwili przyszłam do równowagi — wymogłam na sobie zmianę i teraz z dumą i tryumfem patrzę na siebie. Rada jestem, że ona — przyjaciółka i rodaczka ma tę nagrodę.

Niespodziewałam się, że tak brzydką mam naturę. Wprawdzie to dopiero drugi dowód: raz na wystawie w Wiedniu przy spotkaniu pięknej kobiety, a drugi raz teraz. A jednak to dosyć, abym była zagniewana na siebie.

Listu jak niema, tak niema. Jestem bardzo niepokojna...

Po południu w Akademii szkice olejne z modela przebranego za Kapucyna. Wszystkim bardzo się podobał. Gdyby tak można było sprzedać i od czasu do czasu zarobić coś!

18 Lutego 83. Muszę koniecznie zostać w Paryżu na dłużej. Chciałabym znaleźć maleńki pokój, by móc pracować u siebie, na swoim gospodarstwie. Żadnych wieści od niego — co się tam dzieje?... Ma być u nas p. Chełmoński. Ciekawam, co powie o kompozycjach, które zwrócił mi już p. Julian.

22.II.83. Chełmoński chwalił bardzo kompozycje, szczególnie „Niewiasty u grobu Chrystusa”. Radzi koniecznie namalować obraz naturalnej wielkości i dać do Salonu.

26.II.83. Model w średniowiecznym stroju. Zaczęłam duże studjum. Pan Julian patrząc powiedział: „Elle fera un tableau de n'importe quoi”. Tylko mówi, że zaprędko robię, zamało zwracam uwagi na podstawy, a w końcu dodał: „vous êtes artiste, mais il faut vous retenir”.

Zbliżenie się z panią Bonheur. Znajomość zaczęła się kwiatami. Matka jej zaprasza mię do nich na wieś.

Wynajęłam wreszcie pokój na rue de la Tour d'Auvergne 19 na 5 piętrze za 250 frs. rocznie. Puszczam się na bystrą wodę. Ale trudna rada — muszę dać sobie rady — potrafię przecie coś zapracować.

3.III.83. Studium moje nieskończone, lecz Robert-Fleury chwalił bardzo i wskazał, co mam poprawić, jeżeli chcę kończyć. Dotąd nigdy nikogo nie pytał, czy chce kończyć studjum — ztąd wnoszę, że chyba moje ma jakąś wartość.

Jestem bardzo zmęczona — maluję 8 godzin dziennie stojąc.

18. III. 83. Dziś, jako w rocznicę Komuny miały być zaburzenia. Ciekawość moja nie została zaspokojona — niebyło nic. Mamy nowy temat: „Śmierć

Sokratesa". Cały dzień czytam, co tylko było w książkach naszych w tym przedmiocie.

25. III. 83. Niedziela. Czytam sobie Biblię od rana i wiele znajduję w tem pociechy i ukojenia. Co to za głęboka prawda! W kościele Notre-Dame długie bardzo nabożeństwo. Po kościele wstępujemy do Morgi. Pięć trupów. Jeden robi szczególnie przykre wrażenie: młody, z otwartymi oczyma, z wyrazem ironii, ze śmiechem na ustach. Nigdy tego nie zapomnę. Po objedzie jedziemy do pp. Chełmońskich. dużo osób, tańce.

Jutro konkurs.

27. III. 83. Od wczora zaczęłyśmy pracę konkursową. Niemożę zdecydować się na wybór miejsca do malowania. Żarty koleżanek. Mam szczęście do nich. Lubią mię wszystkie. I rzecz dziwna, ja, co już niebardzo lubię Żydów, mam bardzo życzliwą koleżankę Żydóweczkę—pannę Leh... Oryginalne usposobienie — dużo zalet. Pani Bonheur wróciła ze wsi. Wieczorem rysuję w jej albumie.

28. III. 83. Mój rysunek dotąd idzie. Wszyscy to znajdują, koleżanki przepowiadają mi medal. Nawet p. Julian chwalił. To by było szczęście, gdybym dostała medal! Ale nic z tego niebędzie.

31. III. 83. Konkurs skończony. Wszystkie koleżanki twierdzą, że dostanę medal. Ale ja już niewierzę. Nie jestem zupełnie zadowolona z mojej pracy — zaczynając, myślałam, że zrobię ją lepiej.

2 Kwietnia 83.

Oj dana, oj dana,
Dolaż moja kochana!

Czekajmy!

3 Kwietnia 83.

Wesoło, wesoło i dzionek i noc —
Choć chmurno wokoło, choć bieda, to hoc!

Wesoło, wesoło, choć ciemno i mrok,
Choć boli mi serce, a Zosię znów bok,
Tej biedzie, niedoli nie dajmy się w moc,
Wesoło, choć boli, choć bieda, to hoc!

5. IV. 83. Mama niespokojna, że sama nadal będę mieszkać. Ale trudna rada — muszę się czegoś nauczyć. Powiedziałam sobie, że tylko z medalem wyjadę. Może nań długo przyjdzie się czekać... Model konkursowy drugiej pracowni zachorował, niemożną skończyć. Przyjdzie się może i nam drugi raz robić. O Wojtku niewiem nic...

10. IV. 83. Wieczór u panny Coradossi. Towarzystwo przeważnie polskie, pani Moor z córkami i panną Hawkins—bardzo ładną Amerykanką. Jest p. Marcinkowski, zdaje się, że to będzie kiedyś tęgi rzeźbiarz. Coradossi bardzo gościnna, serdeczna. Wesoła.

11. IV. 83. Medal dostałam! Co za radość! Prawdziwa dla mnie niespodzianka po czterech zaledwie i pół miesiącach pobytu w Paryżu. Telegram od p. Woron... z powinszowaniem.

14. IV. 83. Wczora pakowanie się i mycie sprzętów na wielką skalę. Dziś przenosimy się do własnej chaty. Bardzo mi się podoba mój malutki pokoik. Czysto i bardzo wygodnie. Wprawdzie z okien widać tylko kominy, a przy wielkiem wychyleniu się zaledwie ostatnie piętro przeciwległego domu, okienka bowiem mam w suficie skośnym, jak zwykle na poddaszu. Za to malować można wybornie! Zosia przychodzi po mnie — idę do nich na objad i zostaję na noc.

16. IV. 83. Dziś zaczynamy pracę na wielki konkurs. Biorą udział wszystkie cztery pracownice: dwie męskie i dwie nasze. Nagroda — medal honorowy i sto franków. Ja maluję: tak mię zachwyca koloryt modelki, że choć wiem, że narysowałabym lepiej, niemo-

gę oprzeć się chęci malowania. Ciekawy ten konkurs. Wszystko byłoby dobrze, gdybym miała częstsze od Wojciecha wieści.

19. IV. 83. Niepodoba mi się malowanie moje — myślałam, że lepiej potrafię zrobić.

23. IV. 83. Pan Julian kazał mi podpisać mój rysunek: odda go do oprawy. Za kilka dni otrzymam już medal. Ciągłe mi powtarza, że dużo ma prawo wymagać odemnie, gdyż jestem w stanie zrobić wiele i spodziewa się, że z czasem sławę przyniosę szkole jego. Oh, komplement francuzki!

24. IV. Zmęczona jestem — Zaspałam dziś dłużej. Wstawszy pisałam listy — do szkoły przychodzę dopiero o 4-ej. Ztamtąd na lekcję Anatomii do Ecole des Beaux Arts. Wykład prof. Cuyer. Pierwszy raz widzę odpreparowanego trupa — okropne wrażenie! Ciągłe mam go przed oczyma — nic jeść niemożę. Pani Stankiewicz zabiera mię na noc — bardzo jestem rada.

27. IV. 83. Koncert w Trocadero przeważnie na organach i skrzypcach. Po koncercie chodzę po ogrodzie: Zachwycający widok na Paryż, muszę koniecznie namalować. Cudowne powietrze, cisza. Wieczorem rysuję górala polskiego dla Miss Curray, potem piszę listy — nazbierało się — już dochodzi 3-cia w nocy.

I oto jeden z tych listów:

Paryż, 27 Kwietnia 1883 r.

Kilka dni temu, jeszcze przed rozpoczęciem konkursu powiedziałam sobie, że dopiero wtedy napiszę do Pana, gdy otrzymam medal. Było to postanowienie za śmiałe, waryackie — stawiałam na kartę wszystko, musiałam więc dostać medal. Staralam się i... dostałam. Teraz z zupełnie otwartem czołem stoję przed Panem, tłumaczyć się z długiego milczenia niemaam już potrzeby.

Medal ten jednak przypisać muszę szczęściu swe-

mu tylko, bo zupełnie nierysuję tak, jak osoba nagrodzona medalem rysować powinna. Chciałam jednak i musiałam go dostać.

Do komitetu przysądzającego medal należą: Bougreau, Lefebvre, Cot, Boulanger i Robert-Fleury. Zdarzały się konkursy, na których medalu nie otrzymywał nikt, to znaczy, że dają go nie za rysunek najlepszy, lecz za rzeczywiście dobry. Może Pan sobie wyobrazić, z jakim niepokojem oczekiwałam wyroku i z jaką radością zobaczyłam wnoszony do pracowni rysunek mój z napisem „Prix”. W owej chwili niewiedziałam, co się zemną dzieje — byłam zupełnie oszłamiona. Bo do tego trzeba jeszcze dodać powinszowania i oklaski koleżanek, a Francuzi ich nie żałują.

Gdyby nie wielka przyjemność jaka mię spotkała, mogłabym się bardzo gniewać na Pana: jak można było dotąd niezawiadomić mię choć kilku słowy o sobie! Doprawdy, dnia niebyło, żebym niemyślała o Panu, nie niepokoiła się o zdrowie, a codzień, wracając do domu łudziłam się nadzieją, że zastanę ów pożądany list. Dni po dniach mijały jednak, a oczekiwanie było daremne. Gdyby wola miała siłę nieograniczoną, gdyby ofjary skutecznymi być mogły — wszystkoby oddała i zrobiła wszystko, ażeby tylko Pan był spokojny i szczęśliwy. Cóż, kiedy są sytuacje, w których najmocniejsza wola nic zdziałać nie jest w stanie. Dziwna rzecz, znałam tylu ludzi, a nikt mię nigdy tak nie obchodził, jak Pan. Ale to wszystko byli ludzie zwyczajni, niebyło między nimi żadnego z prawdziwie artystyczną duszą.

Niechże mię Pan zawiadomi i zaspokoi koleżeńską ciekawość moją opisem nowych prac swoich. Czy kompozycje, od opowiadania projektów których datuje bliższa znajomość nasza, są już skończone? Nad czem się teraz pracuje?

Pamiętam, że Pan mówił o trudnościach dostania we Lwowie dobrego papieru w dużych arkuszach. Pro-

szę mi napisać w jakim gatunku i jakich potrzeba od-
cieni, a tu najłatwiej można będzie polecenie to wy-
pełnić.

Od dwu tygodni przeniosłam się na moje nowe
malutkie mieszkanie. Jestem zupełnie sama i jest mi
bardzo dobrze: cały dzień w pracowni a wieczorem
po zagospodarowaniu się siedzę jak w celi: cicho,
spokojnie, nikt mi nie przeszkadza w pracy i myśle-
niu, aż miło. Nawet widok z okien przyczynia się do
tego, gdyż widzę same kominy i dachy. Czasem kot
przeleci, lub nieszczęśliwy wróbel, uciekający przed
samotrzaskiem zaświegoce nad oknem i przypomni, że
to wiosna i że są strony, gdzie ptaki przynajmniej
swobodnie latają.

Jak długo zabawię w Paryżu — niewiem sama,
zapewne kilka miesięcy.

Adres: Paris. M-lle Bilińska Anna

19 rue de la Tour d'Auvergne 19.

30. IV. 83. Chrypka, brak apetytu. Idę jednak
do Salonu na otwarcie (Vernissage). Wieczorem go-
rączka silna. W głowie się mąci...

3. V. 83. Czuję się bardzo słabą. Dreszcze ja-
kieś... Ledwie mogę utrzymać ołówek. A dziś roczni-
ca najszcześniejszego dnia w życiu — Dornbach, roz-
mowa z Wojtkiem, projekta nasze, zamiana kwiatków.
Gdzie to wszystko! Może to już mój koniec? Szkoda
jednak życia — nic nie zrobiłam jeszcze. Ah, to osła-
bienie! Złe chorować samej. A niechcę, żeby wiedzieli:
napiszą do wszystkich i odeszłą mię. A mój biedny
Wojtek zawsze sam i chory...

5. V. 83. Jest mi lepiej. Zrobiłam trochę porząd-
ku w moim pokoiku, ale, zmęczona, położyłam się
znowu.

Przychodzi pani Bonheur. Ciągłe zaprasza mię
na wieś, a tak serdecznie. Skorzystam raz i pojedę
do nich.

Zośka i Anielka odwiedzają mię często. Ale już wstanę.

7 Maja 83. Wizyta w pracowni Perolt-Bonheur. Pierwsze prace Rozy Bonheur, jej fotografja: prześliczna głowa, ale zupełnie męzka. Medali, orderów mnóstwo. A najpiękniejsza gwiazda na szyję. Gdyby to taką dostać!...

Wracając jedziemy z Zosią do Hôtel des Invalides. Kostjumy, zbroje od najdawniejszych czasów. Sztandarów las. Grób Napoleona w złocie promieni witraży. Tam, w dole on sam, on — tytan!...

W domu list od Wojtka. Zdrów już. Jakam szczęśliwa!

11. V. 83. Idę do szkoły. Serdecznie mię witają koleżanki. Pani Lacroix — aktorka — malarka, bardzo inteligentna, przeziła, serdeczna, bardzo dużo rozmawia, opowiada. Jadą do Algieru, chcą mnie zabrać. Algier... Ba, gdyby to nie tak drogo...

Pan Julian przynosi mi medal. Jestem bardzo kontenta.

Siedzę do 3-ej w nocy — kończę notatki o stylu.

19. V. 83. Zosia z matką wyjechały wczora. Dowidzenia! Cały dzień wczorajszy porządkowanie w moim pokoiku, ale też z gruntu: podłoga wymyta, wszystko ułożone, porozmieszczane prace. Zrobiłam się bardzo porządną. Ale też ślicznie wygląda mój pokoić. Aż żal pomyśleć, że może wkrótce trzeba będzie zrujnować to wszystko.

Miałam list od ojca: jestem zupełnie szczęśliwa— wszyscy zdrowi, Wojtek ma się prawie dobrze, praca moja idzie, zdrowie wróciło i mogę pracować, jak przedtem, nic mi obecnie niebrak. Ale myślę ciągle o Wojtku, z nim rozmawiam, dobrze mi tak: z nim, z moimi szkicami, płótnami, akwarelkami żyję myślą.

Sennym różom śpiew uroczy
Znów słowiku dzwoń.

A ty zmrzuż tve czarne oczy
I sny złote goń...
Bo nie wróci raj stracony
Choć powróci Maj.
Więc korzystaj z każdej chwili
I sny złote goń,
Goń sny złote, goń!

24. V. 83. Prosiłam p. Julian, żeby mię zapisał do pracowni męskiej. Za nic nie zgadza się. Oni tam mają inne modele, professor dwa razy na tydzień i pracują inaczej. Co robić. Byłam tedy w pracowniach Carolus'a Durand i Olivier Merson'a — niemożę czasu tracić.

Carolusa niezastałam. Pan Merson przyjął mię bardzo uprzejmie. Seryo traktuje rzeczy. Zachęcał mię gorąco, abym u niego pracowała, aż musiałam wykręcać się trochę, bo przecież p. Juliana nie porzucę — jestem mu tyle obowiązana. Będę pracować tu i tam. Z powrotem zaszłam do Miss Elli na Pola Elizejskie. Niezastawszy usiadłam na wschodach, aby poczekać. Jacy ci Francuzi grzeczni: każdy mijając uchyla kapelusza. Przechodząc nazad przypatrywałam się ruchowi: co za przepych, elegancya, jakie bogactwa, stroje! W głowie się mąci... Wiele pięknych kobiet. A ile między niemi nieszczęśliwych. Dziwne medytacje opanowały mię patrząc na to wszystko: przepych, blask, a w gruncie może... błoto.

25 Maja 83. Rozwieszam roboty i kostjумы w moim pokoiku. Co za swoboda mieszkać samej. Tylko, że wracając z moimi płótnami, rozsypałam kartofle kupione po drodze. Deszcz. Z biedą dowlekłam się na moje piętro.

Przychodzi Ella — gawędka o Warszawie, znajomościach, gotowanie klusek. O 2-ej jadę do Musée Cluny, gdzie mam pozwolenie kopjować.

26. V. 83. Uwagi p. O. Mersona podobają mi się,

ale nie tyle, co uwagi Tony Robert-Fleury. Zapisuję jedne i drugie na odwrocie kartonów. Po pracowni idę do Trocadero. Spotykam pp. Andriollich i Anielkę. Chodzimy razem, poczem oni udają się do Bois de Boulogne, ja zaś na rue de Seine, na objad do Sałackiej — głodna jestem, chociaż zawsze po restauracyi Sałackiej czuję się niedobrze. Po objedzie jadę do Jardin des Plantes. Rysowanie szkieletu — rzecz to nie łatwa. W domu pisanie listów do późna.

7. VI. 83. Odebrałam list od Klimci i zaproszenie na Ukrainę. Koszta podróży bierze na siebie. Bardzo jej jestem wdzięczna i bardzo kontenta, lecz przykro mi, że sama kosztów tych ponieść niemożę. Może zaczepiłabym o Kraków, zobaczyła Wojtka... Ale o tem niechęć nawet myśleć. Klimcia biedna ciągle niedobrze. Zawiadomić jednak Wojtka muszę.

Tu pozwalam sobie przytoczyć nowy list do W. Grabowskiego, list bez daty, lecz niezawodnie w tym pisany czasie:

Sama niewiem, dlaczego tak się spóźniłam z odpowiedzią. Chciałabym, by list ten niezastał już Pana we Lwowie, by Pan już oddychał powietrzem wiejskiem wśród przyjaznych mu osób. Jeżeli Pan niewyjechał dotąd, niech Pan usłucha tak przyjaznej propozycji i rusza w drogę do Rymanowa. Samotność dobra dla ludzi zdrowych i silnych, którzy mogą nieustannie pracować i nie mają czasu na rozmyślania, człowiek zaś osłabiony silną ma fantazyę i skłonny jest do poddawania się smutnym myślom. Przekonałam się o tem na sobie..

Wypocząwszy w Rymanowie może by Pan narysował kilka jakich obrazów rodzajowych, typów ludowych, może jakie charakterystyczne głowy szkicowane akwarellą lub ołówkiem. Gdyby Pan mi je przysłał, postarałabym się umieścić je u jakiego handlarza obrazów: pełno tu Amerykanów, Anglików, którzy szukają nowych, nieznanych im typów. Jestem pew-

na, że łatwo udałoby się sprzedać. Niech Pan na próbę przysze — niewiele będzie z tem kłopotu. Tu zrobi się ramki niedrogie, a ładne. Warto spróbować. Wszak Paryż to największy targ na te rzeczy.

Ja zabawię tu jeszcze miesiąc. Potem jadę na jakiś czas na Ukrainę. Miałam projekt zostać we Francyi przez wakacye, wyjechać gdzieś w odludny zakątek nad morze i zamieszkać u rybaków. Myśląc jednakże, że rok jeszcze będę na obczyźnie, straszno mi się zrobiło. Odebrałam jednocześnie zaproszenie od Klimci. Wiem, że zrobię jej tem wielką przyjemność. Z drugiej strony egoizm mój powtarza mi ciągle: „cóż ci z tej podróży, kiedy będziesz w zupełnie innej stronie, niż byś pragnęła”. I tak niewiem, czy smucić się, czy cieszyć na myśl o tej podróży. Może Pan śmiać się ze mnie czytając te brednie. Ale nie dzielę się tu myślami z nikim, więc korzystam z Pańskiego cierpliwego i wyrozumiałego usposobienia. A teraz życzę Panu wesołej i szczęśliwej drogi. Gdybym znała panią P. prosiłabym o oświadczenie jej mego szacunku i uwielbienia, a tak proszę na moją intencję uściskać jej rękę a małą M. ucałować. Proszę mię prędko uwiadomić, czy mam adresować tak samo?

Anna.

9. VI. 1883. Wysłałam wcześniej ze szkoły, żeby zobaczyć p. Cot'a. Mówił mi dużo o moich kompozycjach, zachęcał do ciągłej pracy w tym kierunku. Na wsi zalecił robić studja ogólne, stosunki kolorystyczne — niewykończyć ogółu nigdy, lecz robić starannie studia pierwszego planu i to w cieniu, gdyż w słońcu zbyt szybko się zmienia i niepostrzeżenie robi się z pamięci. Nigdy dłużej jeden pejzaż niż godzinę. Lepiej wracać dni kilka.

Wracając zaszłam na rue de Sèze na Wystawę Międzynarodową. Śliczny pejzaż Munkacsy'ego. Bar-

dzo mi się podoba studjum Madrazo naturalnej wielkości. ...ski figuruje na tej wystawie jako przedstawiciel malarstwa rosyjskiego! Jak mógł pozwolić na to!

30.VI. 83. Robert-Fleury przejrzał dziś z uwagą moje szkice kompozycyjne. Pochwałami zachęcał na seryo do pracy w tym kierunku. Gdy się dowiedział, że powrót mój do Paryża niepewny i że zamierzam starać się o stypendjum, troskliwie zajął się tą myślą i powiedział, że sam napisze do Prezesa Zachęty w Warszawie.

5. VII. 83. Są na świecie ludzie szczęśliwi i ja nią jestem w tej chwili: jadę na Kraków, Lwów...

Cały dzień pakuję. Kupiłam sobie nawet kostjum w Luvrze (45 frs. suknia i bluzka) — muszę przecie mieć coś na drogę i dla pobytu wśród ludzi. Wieczorem przychodzi Helenka M., gawędka. Napisałam do Wojciecha. Tak mi to trudno było — boję się tego spotkania — czy nie zobaczę w nim zmiany? A razem tak pragnę go zobaczyć!...

Jadę na Avenue Clichy po kupca na meble.

Ostatnia noc w moim pokoiku. Żal mi go! Jutro przenoszę się do Anielki Wisłockiej.

16 lipca 83. Dziś wyjeżdżam z Paryża. Przejeżdżam przez ten ocean szafu i pracy, lecz ja naprawdę nieznam jeszcze tego Paryża wcale. Jutro już tego nieobaczę.

17. VII. O 8-ej rano Strassburg. Katedra. Rysuję. W pośpiechu zapominam scyzoryk i gumę.

18. Lipca 83. Ulm. Zwiedzanie katedry: piękna i wspaniała budowa. Różnica wielka między witrażami starymi i dorobionymi.

19. VIII. 83. Monachjum. Spotykam Tańskiego na wystawie. Potem przychodzą ten miły Ejsmunt, Rejchan, Koniuszko, Grocholski i inni. Co za różnica pomiędzy obrazami Niemców i Francuzów!

20. VII. 83. Dojeżdżamy do Salzburga. Rysuję.

Nocuję na dworcu. Smutne spostrzeżenie — niemam medalu. zgubiłam go, lub zostawiłam u Anielki. Prześliczny wschód słońca, więc wychodzę po 4-ej — robię kilka szkiców.

21. VII. 83. Wiedeń. Wystawy. Prof. Benedikt i sprawunki dla Klimci. Muszę tu zabawić dni parę.

25. VII. 83. Kraków. Sukiennice, spacer przed Wawelem. Wystawa w Akademii — kompozycje ładniejsze niż w Wiedniu. Spotykam Pochwalskiego, który odprowadza mię na kolej.

26. VII. Nigdy nie była tak szczęśliwa, jak dzisiaj: cały dzień przepędziłam z moim najpiękniejszym, najdroższym Wojtkiem. Czekał na mnie na dworcu, chociaż nie był pewny przyjazdu. Powitanie, życzenia — to dziś imieniny moje. Odwozi mię do hotelu Angielskiego. O 1½ przychodzi znowu — idziemy na kawę. Jego roboty prześliczne, tyle uczucia w każdej postaci! a takie nasze, polskie! Niewyobrażałam sobie, że ma taką technikę.

Objad. Wycieczka na zamek, ale wiatr, deszcz, zimno — wracamy. Uciekamy przed dżdżem w podwórze jakiegoś kościoła, potem do cukierni na kawę. Gawędka. Taki piękny ten Wojtek! ale mizerny biedak — niezdrów.

Ma przyjść jutro rano o 10-ej.

27. VII. 83. Przychodzi koło 10-ej. Idziemy na targ. Ciekawe ubiory włoścjan. O 12-ej rozchodzimy się — idę po owoce. O 3-ej powraca znowu. Idziemy do Muzeum Ossolińskich, potem na cmentarz — Grób Grotgera. Powrót pieszo i znowu do cukierni. Siedzimy, rozmawiamy, śmiejemy się, przypominamy Wiedeńskie czasy, lub milcząc patrzymy na siebie i dobrze nam tak — przynajmniej mnie. Mało kto jest tak szczęśliwy, jak ja. Wojtek w dobrym humorze, co u niego rzadko się zdarza. Ale wszystko się kończy. Tak trudno z nim się rozstać, a przecie do jutra tylko. Jutro mam go czekać w oknie, aby nie-

męczył się po schodach. Muszę zrobić jego portret. Ah, tak prędko ten czas leci, już 8-ma — odchodzi.

28. VII. 83. O 10-ej widzę go z okna. Mimo to wchodzi na piętro. Przeglądanie albumów — rysuję go. Umawiamy się, kiedy będę mogła obejrzeć jego pracownię. — Dziś po południu. A już 1-sza. Idziemy tedy razem. Ja wchodzę z jakimś strachem. Bardzo ładną ma pracownię, a on w niej tak ładnie wygląda! Przeglądam wszystkie jego prace i albumy, w jednym z nich znajduję zasuszoną konwalję — dałam mu ją w Dornbach 3-go Maja — nierzucił!... Ah, ten czas tak leci! dziś ostatni dzień, a przedostatnie pożegnanie. Jutro już będę daleko!

29 Lipca 83. Godziny jak chwile lecą. Wojtek odprowadza mię na dworzec. Kiedy się zobaczymy? Czy będzie mógł przyjechać do Paryża? Byle tylko był zdrowszy... Czemu niemożemy jechać razem... Ah, kiedy się zobaczymy! — niewiadomo...

30 lipca 83. Wołoczyska, Wołkowiniec, Bar — ten stary Bar — dziś żydowskie miasteczko. Wojtek już daleko!... O 9-ej przyjazd do Słobody. Co za dobra ta Klimcia.

3 Sierpnia 83. Pp. Kazimierzostwo Krassowscy bardzo uprzejmi. Pozycja Słobody ładna, mniej jednak, niż niektórych wiosek, przez jakie przejeżdżałam koleją. Śliczny las. Trudności z pocztą.

5. VIII 83. Rano cerkiewka, jazda na sumę. Typy prześliczne. Wspaniały las. Cóż, kiedy mi tu kogoś brak. Goście na objedzie. Próbowałam koni na dziedzińcu — znajdują że dobrze jeżdżą.

7. VIII. 83. Znowu cerkiewka — komunja chorego. Bardzo ładny pop, wschodnia głowa, w kłębach kadzideł jak w obłokach stał. Mam już tu kilku jasnowłosych zamurzanych przyjaciół, ale mi się wciąż z nimi trudno rozmówić.

9. VIII. 83. Spacer konno we czwórkę: p. Kazimierz, p. Szaniawski, Kazio i ja. Bardzo lubię jeździć

konno, ale najlepiej sama. Powiadają, że jeżdżę dobrze, a ja tylko tem biorę, że jeżdżę śmiało. Zawsze tu jest ktoś z sąsiadów. Ale niema tego, co trzeba.

12. VIII. Lud tu piękny, dorodny i malowniczo ubrany, ale dziki. Sprowadziłam dziewczynę w ubiorze wiejskim. Ładna. Chciałam malować — za nic! boi się nawet iść ze mną. Ze strachem spoglądają na mnie, gdy maluję, pytają, co ja takiego robię, bo jeszcze „takoj panny niewidali.” Mówię, że robię „Ikony”, aby ich uspokoić. Byłam tu na pogrzebie: kobiety przyniosły ogromne miski pierogów i rozdawały je ubogim i dzieciom. Dowiedziałam się, że to zwyczaj— gdy ktoś umrze, w ten sposób rozdają jałmużnę.

15. VIII. 83. Cały ranek przesiaduję z Klimcią pod Lipami. Pokazuję jej niektóre prace moje i Wojtka. Rozmowa o Wojtku, plany na przyszłość, co to za zacna dziewczyna! ona mię naprawdę kocha i myśli o mnie. Chce, żebym na przyszłe lato przyjechała do niej do Żywotowa, gdzie ma zamiar zaprosić także i Wojtka. Wieczorem spacer z Klimcią, plany moje założenia na wielką skalę szkoły malarskiej dla kobiet w Warszawie. Dążeń u nas jest dużo, a kształcić się niema gdzie. Trzeba ułatwić tym, co mają przyszłość istotnie. Czyje zaś zdolności nie obiecują wiele — temu odrazu otworzyć oczy, aby niemał zawodu.

16. VIII. Panowie jadą nocą na objazd lasu — leśniczy zachorował. Tak bym chciała pojechać z nimi, ale im tego niepowiem, a sami się niedomyślą. Za to wieczorem, gdy już wszyscy spać poszli, wyskakuję oknem do ogrodu przejść się trochę — taki piękny wieżyc.

17. VIII. 83. Nierobię nic — zadługo już odpoczywam, muszę się wziąć do pracy. Tylko, że ani blejtramów, ani sztalug, ani nawet prostej deski. Gdybym była została w Paryżu, skorzystałabym więcej, a tak nic mi nie przybywa do głowy.

List od Wojciecha — niezdrów biedny, niejedzie nawet na wieś — muszę go namawiać. Co on tam nocnie sam jeden. Ja dotąd widzę się obok niego — razem zwiedzamy wystwę, słyszę głos jego w Dornbach dający mi pytania; gdy zamknę oczy zdaje mi się, że czuję go blisko, że milcząc rozmawiamy ze sobą, że pytania i odpowiedzi wymawiamy w jednym spojrzeniu. Ah, ja go kocham duszą całą jak człowieka, jak artystę i jak mężczyznę! Myślałby kto, że ja jestem tylko artystką. A ja jestem tylko zwyczajną sobie kobietą. Ludzie się użalają, że niema prawdziwej miłości. A przecie p. Lucyan bardzo bogaty, a o mnie biednej dziewczynie od tak dawna pamięta; ja jednak wolę znów nic nie mającego Wojtka, chociaż panu Lucyanowi przyznaję wszystkie jego zalety i boleję nad tem, że tak muszę, ale Wojtka jednego kocham...

19. VIII. 83. Jadę do miasteczka na jarmark. Rysuję trochę starych lirników. Wieśniaków niepodobna rysować tu dłużej — za prędko ruszają. Gdybym tak mogła kupić lirę...

Kilmcia przysłała mi objad — zjadam go pod bóżnicą, kupuję kostyum cały, zapaskę, dzban i lirę.

26. VIII. 83. Muszę to w części przypisać lenistwu, że nic nierobię. Ale do objadu jestem z Klimcią na przechadzce, potem w pokoju lub ogrodzie razem. Rada jestem, że sił jej choć nato starczy. Czasem idę do mego pokoju i czytam, lecz za ten czas robię sobie wyrzuty, bo powinnam być z nią jaknajwięcej. Niepolepsza się jej nic, niestety.

Przyjechał nowy gość — p. Han... podobno bardzo inteligentny. Pytał mię, czy gram, gdyż jak wszłam miało mu podobno zarz przyjść do głowy, że muszę uprawiać jakąś sztukę. Powiedziałam mu, że tańczę solo i improwizuję. Żarty na ten temat. Klimcia nazywa mię panterą. Prosił mię o portret. Może

i będę go malować. Jest także od dni paru p. J. I. Kra-
szewski.

1 Wrzesień 83. Ah, jak ciężko idą te dni... Klimci
nielepiej. Chociaż niezawsze klei się rozmowa, lecz
zawsze jestem przyniej. Uważam to za obowiązek —
tyle mam dla niej długu wdzięczności. Ale zato nie-
robię nic. No i brak mi ochoty, gdy ona chora. Jak
to ciężko nic nierobić! Czuję, że tracę humor i staję
się milczącą, nudną.

2. IX. 83. Niedziela. Idę do cerkiewki, potem
z włościjką do jej chaty. Czysto, porządnie. Kupu-
ję u niej cały ubiór kobiecy. Przebieram się za chłop-
kę, biorę wiadro i idę po wodę. Kazio dał mi swo-
je buty, było kilka osób gości — niechciałam poka-
zać się boso. Przedefilowałam w ten sposób przed
gankiem — nie poznał mię nikt, prócz p. J. I. Kra-
szewskiego, a i ten nie odrazu.

4. IX. 83. Jurcio chory, a że ma nową, nienawy-
kłą niańkę, więc my go niańczymy. Niezmiernie lu-
bię dzieci i z największą przyjemnością noszę, bawię
i kołyszę Jurcia, spiewając mu dumki. Niańka słu-
cha. Dowiedziałam się od niej, że mię na wsi nazy-
wają „myłaja panna”. Cieszy mnie to, bo i ja ich
także lubię. Ale są dzicy. Pan Han... bardzo dobrze
gra na fortepianie. Czas płynie, ale niewesoło.

I znowu list do W. Grabowskiego, dowodzący
przedsiębiorczości i rozległych planów młodej ar-
tystki.

Słoboda, 6 Września 1883.

Tam u Pana niepogoda i zimno. My tu od przesz-
ło miesiąca najpiękniejszy mamy czas, a jeśli spadnie
deszcz, to tylko jakby dla odświeżenia zieloności. Ża-
den nawet żółty listek nie przypomina zbliżającej się
jesieni. A ona taka straszna — zawsze przedstawia
mi się w boleści tej nieszczęśliwej kobiety z Pańskie-
go obrazu. Oh, taka jesień po wiosnie i lecie! No wi-
dzi Pan, zarzuca mi Pan, że do moich kompozycyj

obieram same smutne temata. A co Pan lepszego robi? Oto człowiek w najlepszym usposobieniu jak przypomni sobie ową jesień — najsmutniejsze myśli obsiadą mózg jego. A kto to wywołuje? Artysta — Idealista. Tak, tak, mój Panie.

Mimo pięknej pogody nierobię nic. Ot tak od rana do wieczora pędzę życie roślinne. Ale nie jest to moja tylko wina, lecz także i warunków. A przytem ani sposób sprowadzić kogo do malowania, choć tyków mnóstwo.

Zabawimy tu jeszcze kilka tygodni, a może i dłużej, potem zaś prawdopodobnie na jakiś czas do Kijowa. Cieszę się, że poznam stolicę mojej Ukrainy i miasto, w którem dzieciństwo moje spędziłam. Z Kijowa wybieramy się do Warszawy, a potem pewno wkrótce udam się do Paryża. Po powrocie zaś z Paryża mam śmiały zamiar: chcę założyć w Warszawie szkołę dla kobiet. Potrzeba nam jej koniecznie, bo dotychczas niema żadnej możliwości uczenia się seryo, a chęci i nawet zdolności, jak wszędzie, dużo. Moja szkoła będzie urządzona na wzór Paryskich, z szerszym jednak daleko programem, bo i nauki pomocnicze będą wykładane. Mam nadzieję, że to pójdzie, a oprócz moralnej satysfakcyi, że dopomogę rodaczkom moim, które niebędą zmuszone wyjeżdżać za granicę, bo początki przynajmniej będą mogły znaleźć u siebie gruntowne, będę mieć nawet i korzyść materialną. Pana zamawiam sobie już naprzód na profesora — spodziewam się, że mi Pan nieodmówi. Powagi professorskiej niebrak Panu wszakże, a o kwalifikacyach przecie nie może być mowy — gdzie znajdę lepsze? Teraz trzaba tylko myśleć o zdrowiu, żeby mój pan professor nie opuszczał lekcyj i żeby nasza szkoła zyskała szeroką i dobrą sławę. Ciągłe mam myśl szkołą tą zajętą, układam program, wyliczam, co utrzymanie i prowadzenie kosztować może, jak się trzeba urządzić.

Co Pan zamyśla robić zimą? A co słychać o Paryżu? Klimcia dziękuje Panu za pamięć i nawzajem zasyła uszanowanie. A ja kończę jak zawsze prozbą o wyjazd na świeże powietrze.

Anna.

30. IX. 83. Trzy tygodnie nierobiłam notatek. Postaram się przypomnieć coś z minionego czasu — kiedyś będę to może odczytywać z ciekawością, jak zawsze rzeczy minione.

Jeden z epizodów naszego wiejskiego życia było poznanie p. Han... Zainteresował mię do pewnego stopnia, intelligentniejszy od wielu, dosyć sprytny, niezłe grający i lubiący muzykę; lecz może największą jego zaletą w moich kobiecych oczach jest fakt, że wiem, że mu się dosyć podobała. Jak to kobiety są próżne, nawet ja, co niemam do próżności żadnego prawa, a jednak widzę ze smutkiem, że nie jestem wolna od tej wady. Pan H. opowiada podobno sąsiadom, że znalazł mię sympatyczną i szczerą, jak dotąd żadnej niespotkał. I zjeżdżają się sąsiedzi by to dziwo oglądać! Trwać to już na szczęście niebędzie długo, bo wkrótce mamy jechać do Kijowa, inaczej, gdybym w dodatku była wolną, mogłoby mi się przewrócić w głowie.

5 Października 83. Dziś opuszczamy Słobodę. Od Wołkowiniec jadę sama, aby w Kijowie przygotować mieszkanie. W Żmerynce widzę kilka kobiet z krótkimi włosami. Jak potwornie wyglądają te kobiety. Wprawdzie i ja niedawno jeszcze miałam ucięte włosy, było to jednak nie dla fantazyi, lecz po tyfusie.

14. X. 83. Odebrałam dziś list od mamy. Jestem nim zgnębiona: stan interesów ojca rozpaczliwy — cały kapitał stracony! Nawet im nic już niemoże przysłać. A ja teraz również nic niemam.

Biegałam dziś z bransoletkami od sklepu do sklepu — dają tylko wartość złota. Sprzedałam wreszcie jedną za 25 rs., lecz co to znaczy. Ah, te pieniądze to wielka rzecz: muszę pracować, aby mieć ich tyle, ile potrzeba mnie i moim. Oh, marzenie, marzenie...

25. X. 83. Zwiedzanie Peczerskiej Ławry. Popi wyglądają malowniczo, świętych mnóstwo, a takie to niemiłe robi wrażenie... Było nas sześć osób, a p. Krasowski z rewolwerem: okropności opowiadają o nadużyciach tych popów. Już to te zakony to rzecz podejrzana.

Wracając idziemy na mogiłę Askolda. Widok na Dniepr cudowny.

4 Listopoda 83. Co za straszne przeczucia gnębią mię dziś od rana — serce zamiera, w głowie się mąci, stać niemożę na nogach, a po mózgu same straszne obrazy się snują. Ojciec mój drogi, kochany! tak jakbym słyszała głos twój w tej chwili wypowiadający straszne te słowa: wszystko stracone! Biedna matczko moja, wszyscy wy — ukochani moi, czy wy żyjecie? czyście zdrowi? co wy porabiacie w tej chwili?... Nie, niemożę sobie dać rady! Boże, Boże, zlituj się nad nami! Co ja mówię, co myślę w tej chwili — niewiem, niewiem... Chciałabym stanąć wśród nich lotem ptaka, może się na coś przydam.

Muszę już jechać, muszę!...

5. XI. 83. I znowu ta Klimcia moja dobra, moja droga przyjaciółka i opiekunka, w tych ciężkich dla mnie chwilach przychodzi mi z pomocą — nam wszystkim! A mnie wysyła nazad do Paryża! Biedny mój ojciec. Gdyby choć chłopcy stali już na nogach! Ah, ten pan Lucyan! gdyby miał instynkt i nawinął się w tej chwili... O, nie, za nic Wojtku mój, zanic ja cię nieopuszczę... Pomyśleć nawet straszno — pogardziłby mną i odtrącił.

Siły, siły, wytrwania!...

8 Listopada 83. Wczora zapytywałam telegraficznie w domu. Dziś dostałam odpowiedź: „Wszyscy zdrowi“. Bez podpisu. Co to znaczy?

11. XI. Wczora p. Krassowska wręczyła mi 350 rs. na drogę i pobyt w Paryżu. Tak się tem czuję upokorzona, takem się spłakała. A niewziąć niemożę, bo co bym zrobiła ze sobą? A one takie dobre dla mnie, tak po przyjacielsku to wszystko robią. Sama nie wiem, za co mię Klimcia tak serdecznie pokochała. O, bo to Klimcia. I czy ja będę w stanie wywdziękzyć się jej kiedy? Oh, trzeba teraz w dwójnasób pracować w Paryżu. Byle by tylko mój Wojciech był zdrow. Lecz teraz o niego też niejestem spokojna.

Miałam jutro jechać, lecz pewno przewlecze się to jeszcze dni parę.

12. XI. 83. List od mamy — dzięki Bogu wszyscy zdrowi, a tylem się namartwiła.

Przed wyjazdem poszłam zwiedzić Sofijską Cerkiew. Oryginalna budowa zewnątrz, mnóstwo kopuł, przybudówek, szkoda tylko, że na biało wymalowana. W środku zato tak ciemno, że z trudnością mogłam się kierować. Ściany pokryte mozaikami i freskami, słupy, filary malowane w geometryczne ciemne desenie, strop przeważnie złotony. Najstarszy grób Xięcia Jarosława — sarkofag marmurowy kształtu romańskiego, a więcej jeszcze przypomina bazyliki. Po cerkwi poszłam do kościoła i do pp. Krzyżanowskich.

17. XI. 83. Przez Brześć do Wysokiego Litewskiego, gdzie z trudem dostaję konie do Siehieniowszczyzny. Marucha znajduje we mnie wielką zmianę. Powiedziałam jej o Wojtku wszystko, jak i Klimci — im jednym. Pokazałam jej fotografie — bardzo się jej podobał. Ale nazwiska niepowiedziałam.

19. XI. 83. Oczekuję w Brześciu pociągu do Warszawy. Bardzo jestem rada z odwiedzin u Mani. Na-

gadałyśmy się przez ten czas. Ona mię rozumie. Lecz ona sama cierpi...

Na tem kończy się rok 1883. Za Grudzień notatek niema, podany tylko spis tematów kompozycyj, zadawanych w Akademii Julian'a, który tak się przedstawia:

U Julian'a 1-o Aniołowie oznajmujący pasterzom narodzenie Chrystusa; 2-o Święte niewiasty u Grobu Chrystusa; 3-o Dalila ucinająca Samsonowi włosy; 4-o Ofjarowanie Bogom Ifigenii przez ojca jej — Agamemnona; 5-o Józef sprzedany przez braci kupcom Egipskim; 6-o Chrystus kuszony od djabła; 7-o Satyr i przechodnie (Bajka Lafontaine'a); 8-o Ruth i Boas; 9-o Józef w więzieniu tłumaczy sny; 10-o Śmierć Sokratesa; 11-o Odnalezienie Edypa; 12-o Tulia uciekająca z pałacu.

U Mersona (tematy wakacyjne): 1-o Dzieciństwo Jupitera; 2-o Porwanie Prozerpiny; 3-o Wenus przy trupie Adonisa; 4-o Św. Jan i Chrystus nad Jordaniem; 5-o Zaparcie się Św. Piotra; 6-o Ś-ty Zosym grzebiący Maryę Egipcyankę; 7-o Achilles na dworze Lykomeida, króla Scyros; 8-o Kaligula każe oddawać sobie cześć bożką; 9-o Śmierć Nerona.

W styczniu 1884 r. znajdujemy Bilińską już w Paryżu z powrotem. Karty jednak dziennika za Styczeń pozostały białe. Zapełniają się one dopiero z początkiem Lutego. Za Styczeń został tylko interesujący list do Grabowskiego, który też tu zamieszczam:

Paryż, 18 Stycznia 1884 r.

Od 2-go Stycznia jestem na nowém mieszkaniu i napróżno codziennie wyglądam listonosza. Bardzo jestem niespokojna, nieraz niemożę wysiedzieć w szkole — wychodzę wcześniej, bo mi się zdaje, że zastanę list w domu, i jak dotąd, zawsze napróżno. Eh, jest Pan rzeczywiście rozpuszczoném, a zatem i upartém

dzieckiem — niechce słuchać ni szczerých przyjacielskich rad moich, ni próżb, nigdy nie odpowiada mi Pan na zapytania, a na listy każe czekać długo. Muszę wymyśleć jakąś karę, ponieważ jednak na jej wybór zdecydować się niemogę, więc wybór zostawiam pod sądnemu, a tymczasem korzystam z chwili wolnej i ćwiartki papieru.

Jeżeli Pan odebrał pierwszy numer „Prawdy”, to zapewne kwestya wyboru wystawy została rozstrzygnięta na korzyść Krywulta. Sprytna to i dowcipna sztuka ten pan Segetyński; chociaż galopuje nieco w swoim wyrokowaniu, trzeba mu jednak przyznać, że w wielu względach ma rację. Krytyka nowego Warsz. Tow. S. P. udała mu się wybornie, czytając niemogłam wstrzymać się od śmiechu, choć pośrednio dotyka ona i mnie, gdyż pomiędzy obrazami zakupionymi do rozlosowania jest i moje płótno, a także i parę innych studjów moich upiększa gościnne salony przytułku S. P. Ale trudna rada, nie mam jeszcze prawa do drażliwości artystycznej, zresztą muszę sobie osłodzić jakoś gorzką pigułkę.

Ciekawam, coby też pan Sygetyński powiedział o otwartej tu obecnie wystawie prac Ed. Monet. Jest to wódz, naczelnik, mistrz i król Impresyonistów. Dotąd słyszałam tylko o tych cudakach, a teraz przekonałam się na własne oczy o ich idyotyzmie. Trudno sobie coś bardziej śmiesznego, dziecinnego i niedołęznego przedstawić. Żadnego rysunku, żadnego koloru. Niby to malują tak, jak widzą, czyli jak im się wydaje, a trzeba przyznać, że wydaje im się oryginalnie: jeżeli twarz jest różowa, to on ją wymaluje z pewnością mieszaniną karminu lub cynobru z białą farbą bez żadnych odcieni. Ciemne oczy oddaje zapomocą dwu plam kwaczem zmoczonym w czarnej farbie bez żadnego rysunku, zawsze krzywe i zezowate. Do ciemnego połysku włosów z pewnością użyje czystego kobaltu

i t. p. Spojrzeć na chwilę mimochodem na taki obraz niezatrzymując się na jedną nawet sekundę — może to i robi jakie takie wrażenie natury, lecz przypatrzeć się bliżej — niech Bóg strzeże — śmieszy tylko, a bardziej jeszcze gniewa. Widoki na takim traktowaniu tracą raczej. Zyskały by może na świeżości i prawdzie koloru, gdyby panowie Impresyoniści niewpadali w przesadę i niepragnęli odznaczyć się naiwną oryginalnością, robiąc liście drzew szafirowe na pierwszym planie, ziemię fioletową biskupiego koloru, a niebo trawiaste. Tego samego Monet'a dawniejsze roboty są wcale dobre, a jegomość z fajką i kuflem to arcydzieło swego rodzaju. Cóż, kiedy im późniejsze płótno, tem większe dziwadło, a dotego co tylko najtrywialniejsze sceny i twarze. Niedarmo jest przyjacielem Zoli. Z tem wszystkim ma dużo zwolenników, a najwięcej między „wiele obiecującą“ młodzieżą, której niechce się nic robić.

Pozatem niemam nic zajmującego. Dni wszystkie jednakowo lecą. Czas się dzieli między szkołą, lekcją publiczną wieczorem, gospodarstwem, komponowaniem zadanych tematów, nauką anatomii, ale proszę niemyśleć, żeby przytem nieznało się trochę czasu na myśli i dąsanie się na milczenie jednego kolegi. Byłam raz u Chełmońskich. On był tego lata we Lwowie przejazdem tylko wprawdzie dni kilka. Rejchan zagniewany na całą Galicyę. Ale widzę, że zaczynam ploteczki, więc kończę.

No proszę być dobrej myśli i niezapominać o

Annie.

Wracamy znowu do przerwane go dziennika.

4 Lutego 1884 r. Niewiem sama dlaczego tak dawno, bo od czasu powtórnego przyjazdu do Paryża nic nienotowałam. Ale tak jakoś się składało. Od Wojciecha miałam parę listów. Oj, niewesołe!

W jednym z nich donosi mi, że jest mocno chory, niebezpiecznie nawet podobno, a w każdym razie, że choroba długa. Decyzja moja była prędką: zapytałam, czy zgadza się, abym przyjechała. Postanowiłam porzucić Paryż — może mogłabym mu coś dopomódz tam na miejscu. On nie zgadza się! Odelegrafował, że nigdy na takie poświęcenie nie pozwoli. Biedny mój, szlachetny zawsze... Co to za poświęcenie? Nie wie on co to jest być tak daleko, męczyć się, niewiedzieć, niemódz nic... Gdyby wiedział, nie mówił by o poświęceniu. I już nic w ostatnim liście nie pisze mi o chorobie, a to mnie jeszcze więcej niepokoi. Nie wiem doprawdy, co mam począć.

Mimo to praca idzie. Za kompozycje mam zawsze pochwały od Robert-Fleury — moje są zawsze pierwsze. W Sobotę skończyłyśmy pracę konkursową. Wszyscy przepowiadają mi znowu medal. Muszę przyznać, że moja i Amelii są najlepsze — między temi dwoma wybór.

Umówiłam się o lekcje — 5 frs. raz na tydzień. Dobrze i to, ale trzeba będzie biegać daleko, bo aż koło Arc de Triumphe.

25. II. 84. Mama się niepokoi, że moje zapasy pieniężne musiały się już wyczerpać. Niewyczerpały się, ale już niedaleko od tego: mam 125 frs. i to wszystko — nic w perspektywie. 125 frs. to przy największej oszczędności, wydając tylko na najniezbędniejsze produkta do utrzymania życia, może starczyć na 2 miesiące.

Dni tymczasem lecą. Z wielu z nich, jeżeli niezapomnę, niezostanie nic, nic. A przyjemnie będzie przypomnieć sobie kiedyś obecne życie artystyczno-studenckie. Zawsze z tymi dwoma wyrazami łączy się pojęcie niedostatku przy szczęśliwem i pełnem nadziei usposobieniu. Tak też ma się i ze mną. Obecnie niedostatku już nie mam, ale żyję, jak zakonnik. Pew-

na jestem dwu miesięcy, a co dalej? Ale to mię nieprzestrasza. Za mieszkanie płacę tylko 10 frs. miesięcznie, a jednak mniej jak 65—70 frs. na miesiąc wydać niepodobna. Liczę trochę na to, że może sprzedam coś z robót. Ale co to za marna płaca: wczora sprzedałam głowę, za którą miałam pochwały Robert-Fleury za 6 franków, wyraźnie sześć! Za podobną cenę mam dać jeszcze inną głowę kobiety. Jednocześnie otrzymałam zamówienie na dwa jeszcze płótna za 25 frs. — martwa natura. Dziś właśnie malowałam jedno z nich u siebie. Pocięszam się wprawdzie, że widocznie nieśmiano wprost ofiarować mi tej ceny, tylko pytano, czy nieznam kogoś, ktoby się podjął. Ja też nastęrczyłam sobie ku widocznemu, jak się okazało, zadowoleniu klienta. Wten sposób dwie martwe natury i kilka głów utworzą prawie cały miesiąc życia!

W Niedzielę po lekcyi anatomii, by wydychać to anatomiczne powietrze i nabrać do płuc świeżego, poszłam do ogrodu Luxemburskiego — tuż obok mego terazniejszego mieszkania pod 27 rue de Fleurus w podwórzu. Mnóstwo było dzieci prześlicznych i prześlicznie poubieranych. Jacyś państwo zatrzymali wzrok mój na długo: szli pod rękę, a obok nich biegła — fruwała raczej jak ptaszyna dziewczynka mała. Tak szczęśliwi wydali mi się ci ludzie! Nieładne każde z osobna, a tak piękne razem. Szczęście spokojne, prawdziwe, upiększa wybranych swoich. Długo szłam za nimi. Jak bym chciała poznać ich bliżej... lecz poco? Dopatrzyłabym się może plam na tém piękném jasném niebie. I miło i smutno mi było. Myślałam o Wojciechu: mybyśmy wypięknieli również, czyli również moglibyśmy być szczęśliwi. A czemu być niemożemy? Czemu każde z nas osobno tuła się po świecie? I czy zejdziemy się kiedy, by iść dalej razem?

27. II. 84. Pokazywałam profesorom dawne kompozycje moje z czasów Warszawskich jeszcze. Bardzo ich zainteresowały, chwalili wszystkie, a „Dołę” p. Julian radził wykończyć w większym formacie i dać do Salonu. Powiada, że tem zwróciłabym na siebie uwagę odrazu. Wiedząc, że nie mam gdzie malować, pozwolił sprowadzić modela do jego pracowni. Cóż, kiedy i na modela nie mam. Pewno też nic z tego nie będzie. A żałuję bardzo.

Małeńki mam pokoik — zaledwo $2\frac{1}{2}$ metra długości, a 2 szerokości. Toż aby malować moją martwą naturę muszę się brać na sposoby. Najpierw musiałam złożyć łóżko — dało mi to prawie metr kwadratu wolnego miejsca. Pod ścianą, na przewróconym małym łomoczkuzi usiadłam sama, mając na piecyku żelaznym po lewej ręce, na kartonie rozłożone farby; po prawej, przed łóżkiem, gdyż siedziałam bardzo nisko, również farby i pendzle; niedalej zaś nad jeden metr przedemną, na worku z koksem panoszyła się „martwa natura” — przepych koloru! Ów piękny kwiat, kupiony jeszcze w Wiedniu za 8 guldenów (umyślnie wypisuję cenę, która teraz mię przeraża) ciemno pąsowy na zieloném adamaszkowém tle, deska przykryta szafirowo-seledynowym axamitem, na to rzucona czarna koronkowa chustka i cekiny złote. W opisie wydaje się to papuzio nieco, a jak pięknie odcienia te harmonizują w naturze!

Przedemną w równej dla braku miejsca odległości z przedmiotem malowanym stało płótno, ale jak: nie mam sztalug, wysunęłam tedy skośnie stolik, o który prostopadle oparłam deskę od paki, służącą mi obecnie za stolnicę; pod deską — wiadro z wodą pokryte płaskim ręcznym łomoczkuzi, na niem zaś dopiero płótno. Czyż nie skomplikowane sztalugi.

Rozpisałam się, a już kwadrans na czwartą ra-

no. Pora spać — za niespełna cztery godziny trzeba już wychodzić z domu. Dobranoc!

(Na kartce dziennika zawierającej ten opis artystka umieściła z boku drobny ręczny rysunek piórem przedstawiający scenę i ją samą zajętą malowaniem. Kartkę tę wyciąłem z dziennika i wkleiłem do albumu, złożonego w Bibliotece Jagiellońskiej. Przypisek autora).

8 Marca 1884. Wszystkie koleżanki, które miały prace przygotowane do Salonu, przedstawiały je dziś p. Robert-Fleury. I ja, ośmielona przykładem, zapytałam, czybym nie mogła dać jednego z rysunków szkolnych. Wybrał głowę konkursową i tę mam postać.

Narysowałam dziś pracownię naszą z koleżankami przy pracy. Pierwszy raz robiłam taki szkic węglem. Chciałabym dojść w tych rysunkach węglem do pewnej doskonałości: są one łatwe, ładne i świeże. U nas niewidziałam nigdy podobnego sposobu.

18. III. 84. Rano do pracowni przychodzi Anielka Wisłocka z zaproszeniem na wieczór do pp. Chełmońskich. Idę. Dużo osób, bawią się wesoło, tańczą na zabój. Jak się ja mocno odmieniłam! Kilka lat temu nie lubiłam tańczyć, w towarzystwie byłam nieśmiała, nieszczęśliwa nie do uwierzenia. Dziś lubię towarzystwo, przepadam za tańcem i nawet mężczyzn się już nieboję, jak dawniej. Śmieszna to była, dziecinna obawa.

Teraz długo bardzo nieruszałam się z domu, siedziałam, jak pustelnica. Toż dziś, znalazłszy się wśród życia i gwaru, byłam podniecona, ożywiona, wesoła prawie. Lecz myślą z nim byłam ciągle, żałowałam że go niema, że mnie niewidzi. — kokieterya kobieca — wiedziałam, że wyglądam lepiej, niż zwykle.

21. III. Mówi mi Anielka w pracowni, że jeden z artystów, obecnych na zabawie u pp. Chełmońskich — rzeźbiarz opowiadał jej, że doskonale wyglądam, że tańczę, jak żadna, i że ogólnie się podobałam. Niemyliłam się więc. Już to chyba niema kobiety, któraby nie czuła, kiedy się podoba.

Dziś zapłaciłam za ramy 16 frs. Szkoda będzie, jeżeli praca niebędzie przyjęta do Salonu.

13 Kwietnia 84. Wielkanoc — niema lekcji anatomii. Po kościele tedy siedzę w domu, porządkuję, czytam, odpoczywam, wreszcie idę z książką do Ogrodu Luxemburskiego.

Cały Wielki tydzień pracowałyśmy zawzięcie, wczoraj skończyłyśmy konkurs kwartalny. Z tego tygodnia zrobię sobie prawdziwe święta, wypoczynek. Wieczorem porobię zaległe oddawna wizyty u Mickiewiczów, Duchieńskich, pojedę na dni parę do p. Bonheur. 21-go zaczyna się drugi i bardzo ważny konkurs — trzeba się przewietrzyć.

Dziś wieczorem byłam u p. Jabłonowskiej. Był pan Ochorowicz. Próbował, czy hypnotyzm ma wpływ jaki na mnie. — Żadnego. No bo przecie ja tam to nie żadna Fruzia. Na Fruziach próby wypadają świetnie.

Przytoczę tu list do W. Grabowskiego z tej epoki, interesujący poglądami artystki na prace niektórych z naszych mistrzów. Poglądy te są śmiałe, krytyka surowa często może, zważywszy szczególnie, że dotyczy dzieł wielkich istotnie, uznanych mistrzów dla których z kądinąd miała Bilińska wiele uznania. To też krytyka ta tu jak i zawsze jest szczerą, niezawistną, najlepszym dowodem czego fakt, że na innem miejscu ci sami mistrze wywołują ze strony artystki słowa uznania i zachwyty.

Paryż 13 kwietnia 1884 r.

List i fotografię otrzymałam — za jedno i drugie serdeczne dzięki. Widzi Pan, nietylko „Kazanie” ale nawet i w tych czasach skończonego „Wernyhore” widziałam w oryginale. Podług mnie bodaj czy nie „Kazanie” jest najznakomitszem dziełem Matejki. Potem niewiem cobym postawiła, czy „Sejm”, czy „Unię” którą widziałam dawno, a przytem znałam się na malarstwie mniej jeszcze, niż dziś. O „Grunwaldzie” muszę powiedzieć stanowczo, że prócz kilku szczegółów nie lubię go zupełnie. Słyszałam tam, że „Hołd Pruski” ma być wystawiony w tegorocznym Salonie. Jestem go bardzo ciekawa, bo skończonego niewidziałam jeszcze, a także jakie to robi wrażenie przy innych obrazach i jak się podoba Francuzom. Co do „Wernyhory” to porównywując z fotografią to, co przypominam, sędzę, że musiał Matejko poczynić zmiany. Widziałam ten obraz zaczęty tylko i nawet byłam świadkiem niejako katastrofy, jakiej uległ, spadając ze sztalug i przecinając się na dwoje.

Nielubię chłopaka na pierwszym planie — wygląda jak postać umieszczona w żywych obrazach dla zapełnienia miejsca, lub zakrycia jakiegoś pjeostału. Niebierze on żadnego udziału w scenie, a trudno przypuścić, żeby chłopiec w jego wieku, znajdując się obok konającego i (nieczytelne) starca mógł tak bezmyślnie patrzeć w dal. Chyba że jest tu jakaś ukryta, filozoficzno-kaulbachowska myśl, której ja nie mogę odgadnąć — trzeba by się chyba uciec do znakomitych objaśnień pana G. Zdaje mi się jeszcze, że gdyby ów chłopiec spróbował wstać — byłby to olbrzym o krótkich rękach i małej główce. Niech tedy lepiej już siedzi.

No proszę mię teraz dobrze wyłajając, że śmiem tak czelnie zdanie moje wypowiedać, to się może na in-

ny raz poprawię i będę rozsądniejsza. Muszę zresztą dodać, że oprócz tego chłopaka, łysej głowy, która się tak wpakowała pod łokieć Wernyhorze i, zdaje się, perspektywicznych braków w proporcjach — całość woryginalie robić musi wrażenie znakomite. Czy tak?

No, dosyć już o sztuce. Teraz rubryka rzeczy bieżących, z których zresztą nie mam nic interesującego do doniesienia. Ja tak teraz czuję ważność rysunku, że dotąd prawie wyłącznie rysowałam. Ale teraz Robert-Fleury kazał mi więcej malować, wracając od czasu do czasu do rysunku.

Dałam do Salonu „Portret kobiety”, rysunek, i został przyjęty. Bardzo byłam niespokojna o los pierwszego kroku mego, bo liczba przyjętych jest ograniczona, odpalonych przynajmniej dwa razy tyle. Niezmartwiłabym się była jednak zbytnio w razie odmowy, gdyż nierobiłam rysunku tego z zamiarem wysłania na wystawę. Było to tylko jedno ze studjów szkolnych, do którego potem dorobiłam jakieś tam ubranie, aby miało pozór portretu, gdyż studjów nieprzyjmują.

Pokazywałam tu niedawno professorom dawne kompozycje moje. Za te zawsze zbieram pochwały wielkie i rokowania przyszłości.

Mam się wytłomaczyć, dlaczego Pana prześladowałam Monet'em. Chciałam dać nawet fotografie największych jego straszyleł, ale był tak sprytny, że niekazał ich fotografować. Posłałam więc to, co dostałam. A jego „Bon-bock” posłałam jako zaprzeczenie słów korespondenta Gazety Lwowskiej, utrzymującego, że Monet nigdy nie miał najmniejszych zdolności.

Oto i koniec papieru. Proszę dbać o siebie, być dobrej myśli i niezapominać o

Annie.

Wracam do przerwane go dziennika.

14. Kwietnia 1884. Znowu tańce u pp. Chełmońskich. Osób niewiele, lecz powoli liczba wzrasta i ożywienie też. Wkońcu tak się rozochociono, że tańczono do 4-ej. Zapóźno było wracać, zostałam tedy na noc. Młody bardzo zdolny malarz p. A... pomagał pani domu w urządzaniu mojej sypialni i płatał figle. Naśmialiśmy się niemało. Tak miło po tém kawalerskiem życiu znaleźć się w rodzinie — obcej bodaj. Wybawiałam się i wytańczyłam do upadłego.

16.IV.84. Cały dzień w domu. Wieczorem u pani Moor. Liczne towarzystwo, tańce. Wymykam się niepostrzeżenie — nie lubię tych angielskich tańców. Zupełnie inaczej wygląda towarzystwo angielskie. Annie bardzo żałowała, że nikogo z Polaków nie było: „oni zupełnie inaczej prowadzą zabawę, nietak, jak nasi Anglicy“, powtarzała mi parokrotnie.

20.IV.84. Ostatnia lekcya anatomii. Rada jestem z tego — już mię to zmęczyło, a ten wstręt do mięsa zaczął nawet działać na zdrowie.

Dostaję list od ojca, polecony, ważny... Co ja pocznę! Niepozostaje, jak wyjść za L... A Wojciech? Ah nie, niemożę, ja bym go tem zabiła!...

25.IV.84. Dziś skończyłyśmy pracę na roczny konkurs (wszystkie cztery pracownie). Pan Juljan przeglądał wszystkie i moją znalazł najlepszą. Powiada, że gdybym to posłała do Salonu, byłabym pewna przyjęcia i dobrego umieszczenia.

30.IV.84. Dziś „Vernissage“ czyli otwarcie Salonu dla artystów. Jutro dla wszystkich. Dużo wybornych rzeczy. Jak dyabelnie ci Francuzi malują!

„Hołd Pruski“ Matejki. Nasza sława, nasz Matejko zawiódł moje oczekiwanie! Co za szkaradny żółto-czerwono-rdzawy koloryt, taki nienaturalny i taki niemiły! A szczególnie obok robót francuskich, które tchną taką prawdą i prostotą. Gdyby Matejko nie tak ciągle siedział w Krakowie, gdyby od czasu do czasu

przewietrzył się trochę zagranicą, gdyby choć trochę tej natury, tej prawdy w tych potężnych jego obrazach było — wówczas nicby mistrzowi temu zarzucić nie było można.

Patrząc zdaleka na jego obraz, nieodróżnia się nic — żadnych planów, żadnych mas ogólnych, tylko olbrzymie płótno zasmarowane jednym rdzawym kolorem. Te genialne postacie, mistrzowskie wykonanie, stają się zupełnie niewidoczne. A z bliska niesposób objąć wzrokiem tego olbrzymiego płótna. Prawda że nie mało się do tego przyczynia krótki wzrok artysty, ale też i lekceważenie natury.

Obraz ten na fotografii czyni wrażenie niezmiernie, ale, niestety, tylko na fotografii.

3. Maja 84. Dowiedziałam się stanowczo, że z T. Z. S. P. niepodobna nic dostać — wszystko idzie na budowę gmachu. Ha, trudno.

Jak to szybko czas leci! Od Mani Gażycz miałam list — nieprzyjedzie do Paryża. Szkoda wielka dla mnie i dla niej. Tak mi brak z kim pomówić szczerze, otwarcie.

Zawsze mi się trudno wybrać z domu — najprzyjemniej być z sobą, z myślami i... z fotografjami. Co też dziś porabia Wojtek? Wiem, że o dniu dzisiejszym niezapomni. Wszakże to rocznica wymiany kwiatków. Już dwa lata!

5.V.84. Pan Julian prosi mnie i pannę Magnan do swej kancelaryi. Długa gawędka. Słyszę znów przytem bardzo pochlebne o mnie zdanie.

W Journal des Arts również pochlebna wzmianka o rysunku moim.

10.V.84. Nowy przegląd kompozycyj przez p. Robert-Fleury. Bardzo zainteresowały go moje. Ma mi wskazać tytuły dzieł, gdzie zapoznam się z epoką pierwszych Chrześcian. Trzeba wiedzieć, że p. Tony Robert-Fleury bardzo jest wymagający. To jego zain-

teresowanie wskazuje, że istotnie z czasem będę mogła coś porządnego zrobić.

12.V.84. Fundusze moje są na wyczerpaniu. Wydatki ogromne. Z dwu franków dziennie zesłałam już na jeden, ale i to niewiele pomoże. Jak to będzie?

Wczoraj skończyłam drugą martwą naturę dla p. Magnan. Ale co za bajeczna cena — za dwa płótna 25 frs.

17.V.84. Szkic mój dobry — p. Robert-Fleury chwali. Przynajmniej nienapróżno wczoraj w nocy pracowałam.

Przytoczę tu teraz jeden list do panny Klementyny Krasowskiej i jeden do W. Grabowskiego. Podaję je głównie dla zanotowania poglądów artystki na współczesne przejawy sztuki, poglądy, które mogą interesować znawców. Następnie nadużyję cierpliwości czytelnika raz tylko jeden zamieszczając z tych samych względów jeszcze jeden — ostatni list do Grabowskiego.

Paryż, 26 Maja 1884 r.

No Klimuś, udało mi się: na naszym wielkim konkursie dostałam Nr. 2.

To coś znaczy, bodaj czy nie więcej, jak przeszło-roczny medal, bo w tym konkursie brali udział wszyscy uczniowie i męskich szkół, a są między nimi bardzo mocni — tacy co już byli odznaczani na wystawach i konkursach rządowych. Mnie się tym razem udało zrobić lepiej od wielu. Z kobiet prócz jednej jeszcze Angielki (Nr. 6) nieutrzymała się żadna. Mówili mi później professorowie, że gdyby zalety malarzkie równe były rysunkowym miałabym z pewnością medal, gdyż niewiele do tego brakowało — trochę tylko tonów świeższych i prawdziwszych w cieniu. Ale dobre i to — jestem bardzo zadowolona.

Żebyś wiedziała, jak mi tu głowę zawracają i to kto? — professorowie. Ciągłe mi mówią o moich kompozycjach. Pan Julian (dyrektor Akademji) przepowiada mi świetną przyszłość. Szczególnie podobają mu się kompozycje moje. Radzi teraz coś obmyśleć do przyszłego Salonu — jakąś kompozycję z niewielu, jak najmniej osób złożoną, któraby miała dużo „du sentiment“, ale niebyłaby taka grobowa, jak wszystkie moje własne — robione nie na zadane temata i żeby wszystko w niej można było wykonać z natury. On wierzy, że ja potrafię coś podobnego dobrze wykonać, a wówczas, powiada, wszystko dobrze pójdzie. „Votre debut, m'oi, doit être triomphant“. Bodaj te jego słowa sprawdziły się. Zobaczymy.

Jak Ci zdrowie służy? Doprawdy tak mało szczegółów o sobie donosisz, że niewiem, jak się teraz czujesz. Już to Ty zawsze tylko o drugich myślisz, chociaż się do tego przyznać niechcesz, moje kociątko. Ot naprzykład Twoje plany. Chociaż przy obecnych warunkach nie są one wykonalne, dowodzą jednak jakie masz poczciwe serduszko. Co do mnie, wiele rzeczy, w które dawniej mocno wierzyłam, dziś wydają mi się nie do wykonania. Co jest tego powodem — nieumiałabym odpowiedzieć — jakieś *découragement*. Eh, lepiej dajmy temu pokój. Może to i znerwowanie skutkiem późnej godziny, bo już jest po 2-ej w nocy, a chcę koniecznie wysłać list rano; mam w dodatku pisać jeszcze do Gersona. Na inny raz pogawędka, a teraz całuję Cię najserdeczniej.

Anna.

List z Czerwca 1884 r. (bez ścisłej daty).
do W. Grabowskiego.

No sama niewiem, jakim się to stało sposobem, że dotąd jeszcze nieodpisałam. A miałam o czem pisać.

Konkurs wypadł dla mnie nadspodziewanie świetnie — dostałam Nr. 2. Pierwszym jest Anglik jakiś, potem ja, następnie kilka jeszcze panów i Angielka jedna Nr. 6. Z kobiet więcej żadna, a stało mnóstwo, bo 4 pracownie.

Ten tydzień jestem zmęczona Salonem. Jutro zamykają. Odkładałam zwiedzanie do wolnego czasu, nareszcie musiałam opuścić cały tydzień ten dla przypatrzenia się obrazom. A jest czemu. Co tam pięknych, doskonałych rzeczy! Myśli może brak trochę często, za to Francuzi niesłychaną mają technikę, dużo dowcipu, sprytu, dzięki czemu malują obrazy, na które patrzy się z zadowoleniem. W wielu bardzo jest dużo uczucia. Jeżeli są złe płótna, to prawie zawsze tak zwanych „Hors Concours” czyli posiadaczy dawniejszych medali, którzy już niepodlegają ocenie wstępnej. Większość tych współczesnych znakomitości spoczywa na zdobytych laurach i niezadaje już sobie trudu. Inna rzecz z młodymi. Ci przechodzą przez bardzo surową kontrolę, a chociaż protekcja gra i tu czasem pewną rolę, jednak co przyjęte do Salonu, to z pewnością ma zalety.

Tego roku za malarstwo nikt nie dostał „Medaille d'honneur” ani „première médaille”. Głosy wotujących rozrzucone były — nikt nie miał większości.

Z Polaków, niestety, nikt się niewyróżnił na tym międzynarodowym wyścigu. Portret Ro... stracił wiele na przypatrzeniu się. Axentowicz jest niezmiernie zręcznie malowany, dobrze upozowany, koloryt przyjemny — dużo zalet. Nierozumiem, dlaczego nie dali mu nawet „Mention honorable”. Ale przynajmniej wisił w pierwszym rzędzie. Chełmońskiego „Kulig na wsi” wcale mi się niepodoba i nikomu: wszystko rude i konie, i ludzie, i sanie, a tem gorzej, że na niebieskim śniegu. Nieudało się tym razem temu wielkiemu malarzowi, ale tylko tym razem. Brandt'a wyborny obra-

zek: Bryka trójką koni zaprzężona i trójką szlachty wyładowana spędza do rowu i błota biednego chłopaka wiozącego ciężar. Chociaż z powodu pstrokacizny trudno się tam czegoś odrazu dopatrzeć, ale życia i ruchu dużo. Bardzo wdzięcznie malowany obrazek Łosika: matka w średniowiecznym stroju karmiąca dziecię przed kominkiem wspaniałym w równie średniowiecznej komnacie. Widziałam jeszcze jakiegoś Ciesielskiego, zdaje się: widok na brzeg lasu brzozonego — niezły. Prócz tego panna Aniela Wisłocka — pastel i panna Dziekońska — portret (głowa) olejny — obie Polki i obie od lat już kilku tu pracujące. To i tyle z naszych. Prawda, że „nebohadźko“.

Wspominałam Panu, że była tu niedawno wystawa dwu obrazów Munkaczy'ego: dawniejszy „Chrystus przed Piłatem” i odpowiedniej wielkości, lecz, niestety, nie zalet, niedawno skończony „Chrystus na krzyżu“.

To dziwne i dla niego samego przykre zapewne widzieć, że drugi obraz tak jest daleki od pierwszego. Ani układ, ani kompozycja, ani koloryt, ni rysunek, ni nawet sposób malowania nedorównywa pierwszemu. Wszystkie postacie tak niemile odbijają od ciemnego nieba. Chrystus ma wyraz — eh, wolę niemówić, bo się boję Pana. Matka Boska klęczy w teatralnej pozie Św. Jan stoi z boku, jak słup. Ani uczucia w tym obrazie, ani wyrazu. W tłumie oddalającym się od krzyża jest kilka doskonałych postaci, ale co to znaczy wobec głównych i wobec wielkiego talentu Munkaczy'ego, od którego ma się prawo wymagać bardzo wiele.

Co Pan powie na to, że się z Matejką przeprosić muszą! po wpatrzeniu się, a raczej po oswojeniu się z kolorytem „Hołdu” widzi się mnóstwo pierwszorzędnych zalet. Niektóre postacie znakomite, choć równie

jak i Pan, nie lubię pierwszego planu. Zawsze Matejko jest Matejką — to darmo!

Ciekawa bardzo była tu wystawa portretów wymalowanych za ostatnie 100 lat: (.....nieczytelne) Ingres'a i innych współczesnych. Setki malarzy następują po sobie, aż stopniowo dochodzi się do świetnych, pełnych natury i prawdy współczesnych portretów.

Od kilku miesięcy bawi w Paryżu Andriolli. Ma tu ogromne obstalunki — ilustruje dzieła w następstwie po Gustawie Doré. Posyłam tu na próbę kawałek papieru, który mi bardzo zalecał, gdyż można na nim wydrapywać światła. Andriolli rysuje na nim tuszem, zaczyna pendzlem, a kończy piórkiem, ostatecznie niektóre drobne światelka wydrapuje nożykiem. Bardzo ładnie rysunki wyglądają, jak miedzioryty. Arkusz jest wielkości zwykłej (65—50 centym.). Sądzę, że papier ten najodpowiedniejszy do rysunków drobnych.

Zapytuje mnie Pan, czy znam Chełmońskiego. Doskonale. Zdawało mi się, że o tem już pisała. Bardzo on sam i dom jego cały sympatyczne. Zbiera się tam cała kolonja polska malarzy często, znakomicie się bawi, gdyż gospodarze bardzo gościnni. Ja byłam na zabawach tych kilka już razy. On sam musiał się zmienić, bo niepodobny do opisów. Jeździ wprawdzie i teraz od czasu do czasu za miasto, żeby tam, jak powiada, „wyleżeć się na trawie”. Prace swe sprzedaje prawie wszystkie przed ukończeniem. Opowiadał mi, jak poznał Pana w Monachium: siedział Pan w sieniach Akademii pod lwem i zwrócił uwagę jego burką i czapką.

Na papierze do węgla robią się, jak Pan mówi, plamy. To prawda, lecz tylko wtedy, gdy się mocno rozciera. A właściwością rysunków węglowych jest, że się rozciera jaknajmniej. Nigdy fiszorkiem skórzanym, tylko specjalnym papierowym i to zaledwie dotyka-

jąc. Najprzyjemniejsze tony otrzymują się równając palcem. Do wybierania światel używa się chleba, lub skruszonego fiszorka, który doskonały jest do rozjaśniania. Czasami używa się do tego i pendzli, lecz wtedy często rysunek wypada włniasto. Niewidziałam nigdzie tak dobrych rysunków węglowych, jak tutaj, a widoki węglem znakomicie wychodzą. Pamięta Pan zapewne ten duży widok z Wystawy Wiedeńskiej, który nam się tak bardzo podobał — te drzewa nad wodą? Niepamiętam dziś nazwiska autora, lecz porównując z tem, co tu widzę — musiała to być robota Allongé'go. On tylko rysuje widoki węglem. Zaś sceny rodzajowe najlepiej rysuje Lhermite. Chciałabym choć w połowie tak jak on władać węglem!

Przeszłą Niedzielę przepędziłam w polskiej rodzinie na wsi. Dzień był prześliczny i las taki piękny, i po trawie można było chodzić, cóż kiedy mi tam ciężej było na sercu i duszniej, niż w pracowni. I kwiaty były same żółte, więc ich niezrywałam. No, proszę prędko dać znać o sobie.

Anna.

Wracamy znowu do dziennika:

31. Czerwca 1884 r. Długo się dziś zastanawiałam, jak mało dotąd korzystałam z pobytu mego w Paryżu. Z jego osobliwości nie znam nic, ze zbiorów mało. Prawda że cały dzień jestem zmęczona i zresztą o tej porze wszystko zamknięte. A w ciągu dnia żal mi opuszczać malowania. Nic jednak nie stracę poświęcając na zwiedzanie jeden dzień w tygodniu. To tak uczy, rozwija umysł i wyobraźnię, a w tym względzie zaniedbałam się bardzo odkąd jestem we Francji — nieprzybyło mi nic, a więc cofam się. Dawno zresztą wiedziałam, że źle jest pracować tak jednostronnie.

21.VII.84. Byłam u pani Merwart: mam dostać pracę jakąś — kolorowanie fotografii. Cena 2 frs. za

sztukę, ale, jeżeliby było ze sto sztuk, zawsze to coś znaczy.

22.VII.84. Dziś imieniny Mani. Tak wesoło przechodził nam dawniej ten dzień za jej panięńskich czasów. Dziś ten dzień wesołym dla mnie nie jest. Pamiętam, jak ten biedny zakochany cierpiał wtenczas, a mnie go było serdecznie żal i tak bolałam nad nim, że aż zaszkoziłam tem sobie. Jak to trzeba być ostrożną z każdym pozorem nawet: myślano, że ja się w nim Kocham. Zabawne. A gdyby nawet tak i było — wszak kochać to nie grzech. Tylko że on niemógł być ideałem moim, bo miłość prawdziwa to harmonia. Ale ja wtedy pojęcia nie miałam, co to jest miłość: zdawało mi się, że wystarczy wymarzyć sobie coś idealnego, choć nieznanego wcale — i to będzie miłość. Tak wtedy to były marzenia same. Dziś została rzeczywistość, niepokój i smutek tylko...

24.VII.84. Z polecenia Tony Robert-Fleury zadałam dziś w szkole mój temat do kompozycji: „Kat oczekujący na swą ofiarę“. (Wiek średni). Jutro pokazujemy kompozycje.

25.VII.84. „Kat“ mój dobry. Otoczenie, tłum, tłum podobały się Robert-Fleury'emu. On sam tylko zbyt tragicznie wygląda — trzeba go zrobić spokojniejszym, obojętnym.

26.VII.84. Biedny mój tato nieżyje!...

Nie, to niepodobna, niemogę sobie przedstawić, że go już niema. I ja niewiedziałam nawet na czas o tem, niemogłam go pożegnać! — pożegnać nazawsze jego, który mię tak kochał... W tym dniu właśnie robił mi zawsze prezenta, niespodzianki — jego już niema.

Pierwszy to dzień imienin moich taki okropny, nieszczęśliwy. Rok temu byłam we Lwowie, byłam tak spokojna, szczęśliwa, pełna nadziei, a dziś... Tatusiu mój drogi, coś się ty namęczyć w ty mroku musiał i jak ciężko musiało ci być przy śmierci — sam jeden, bez

rodziny, bez dzieci któreś tak kochał, tak bardzo kochał. Ah, to okropne, straszne!...

27.VII.84. Pani Chełmońska była u mnie dziś dwa razy — chciała zabrać mię ze sobą. I dobra Dulębianka starała się mnie namówić, żebym z nimi spędziła wieczór. Ale mnie zawsze, a szczególnie dziś, najlepiej w domu.

29.VII.84. Poczciwy pan Julian! Zwalnia mię od wszelkich opłat za studja. Jednak to zacni ludzie ci Francuzi. A przecie on bardzo dba o swoją kieszeń. Tem to większa zasługa.

Byłam dziś tak zmęczona, że niemożłam wiele pracować i nie tak jak trzeba. Czuję, że powinnam odpocząć po ośmiomiesięcznej, moję powiedzieć, sumiennej pracy bez przerwy.

1 Sierpnia 1884. Tak się ciągle czuję zmęczona, że już ten tydzień nie pójdę do szkoły. Nic mi nieidzie robota: co namaluję, to muszę zeskrobać — zanadto jestem rozbita. Muszę koniecznie odpocząć, wyjechać gdzieś na wieś. Byłam na ulicy St. Médard zamieszkałej przeważnie przez modeli. Bardzo biedna dzielnica. Mnóstwo Włochów, kobiet, dzieci — o tej godzinie odpoczywają sobie na ulicy. A jakie piękne typy! Jednak wieczorem nie ryzykowałabym przejść tamtędy sama. Muszę skończyć tego „Kopciuszkę“, który już prawie sprzedany. Tylko że od trzepania, czyszczenia, prasowania czarnej sukni boli mię ręka, prawem ramieniem niemożę poruszyć, zaledwie zdołałam się ubrać. Od łokcia jednak swobodnie ręką poruszać mogę. Pół dnia dziś szyłam, więc i malować chyba będę mogła.

Wieczorem idę do pp. Mickiewiczów. Helenka gra dużo rzeczy. Jak ja żałuję, że fortepian zupełnie zaniedbała. Jak tylko będę mogła — biorę się do grania.

6.VIII.84. Zdecydowałam się na wyjazd do Sannois. Helenka i Kazia też mają jechać. Umawiamy się

na Sobotę rano. Byłam u p. Merwart. Nic z tej roboty nie będzie. Do modelki posłałam telegram — z powodu bólu ręki niepodobna kończyć „Kopciuszka”. Strasznie mię dziś boli głowa, zaczęła pod wieczór dopiero. Może dlatego, że niejadłam objadu — nie miałam apetytu.

8.VIII.84. Rano zajęcia gospodarskie. Po południu byłam w kilku domach z pożegnaniem. Byłam i upp. Chełmońskich — zatrzymali mię na objad. Ponieważ miałam czem zapłacić objad w restauracyi — zostałam. Niezostałabym nigdy, gdybym nie miała za co kupić sobie objadu — upokarzałoby mię to i nie byłabym w stanie takiego objadu przełknąć. Jest to śmieszne i może nawet nierozsądne, ale tak jest.

U Kazi Dziekońskiej poznałam jej sąsiada z Bulwaru St. Michel — pana Boursay. Bardzo zdolny malarz, niemłody już. Bardzo mi się podobał dlatego może, że trochę przypomina Wojciecha. Byłam nawet w jego pracowni — śliczne ma rzeczy, miedzioryty głównie — istne muzeum. Udziela się mało, nikt o nim nie wie. Jutro z Kazią i Helenką jedziemy do Sannois, pod Fontainebleau.

11 Sierpnia 84. Sannois. Wynajęłyśmy duży pokój o dwu oknach za 60 frs. — po 20 frs. na miesiąc od każdej. Las tuż obok. Jaka dziwna cisza w tym lesie... Zdaje się że „głos Litwy doleci” jak powiedział poeta, a do mnie głos Rusi. Nagadałyśmy się przez dzień wczorajszy — do 6-ej rano. Dziś chodziłyśmy na jarmark do miasteczka, potem do lasu. Zawędrowałyśmy na „Roches” (kamienie). Na samej górze wysoka wieża, z której widok bardzo rozległy. Dogląda jej jakaś biedna rodzina z Fontainebleau. W lesie pustka. Gorąco. Położyłyśmy się na trawie, pozdejmowałyśmy nawet staniki, narzucając je tylko na ramiona—w tym dużym, przepięknym lesie ani żywego ducha, ptaszków

nawet nie słyhać. Co za cisza, swoboda. Helenka tylko szczebioce jak ptaszek.

2 Września 84. Odprowadzam Helenkę i Kazię do omnibusu — jadą na dni kilka do Paryża. Będę teraz sama. Dziś rano, w łóżku jeszcze, odebrałam list od Wojtka. Smutny jest biedny mój Wojtek: kłopoty, szczegółów których mi niedaje, dręczą go nieustannie. Żebym też już jak najprędzej dojść do czegoś mogła, bo ciężkie to życie. Niewiem co odpisać. Jak tu pocieszać, samej potrzebując pociechy i wzmocnienia...

3.IX.84. Co tu pisać siedząc na wsi. Chociaż dla kogoś, kto umiałby pisać, tematów by nie zbrakło. Dośćby opisać ten wielki, piękny las, te dęby olbrzymie, te buki rozłożyste. A co za kolor t! Cóż, kiedy ja tego niepotrafię ani piórem, ni pendzlem... Chodzę, patrzę, podziwiam i myślę o moich... nieznośnych. Z początku niepodobała mi się ta cisza, ten zupełny brak ptactwa. Nierozumiem, z jakiej przyczyny, lecz prócz jaskółek, niewiadać tu żadnych innych ptaków ni na wsi, ni w lesie. Ztąd cisza tu nieprzerwana. Czasem nawet szmeru liści niesłyhać i to ma jakiś właściwy sobie urok. Dziwnie wówczas wyglądają te olbrzymie silne, świeże w kolorze, a milczące i martwe zupełnie. Stoją jak skamieniałe i zdają się wsłuchiwać w najskrytsze myśli. Ja im też wszystkie moje tajemnice opowiadam, wiedząc, że nie zdradzą. Czy one co czują? — Niewiem, ale jest mi z nimi dobrze: jestem zupełnie panią w lesie, wiem, że prócz mnie i tych olbrzymów w obwodzie kilku wiorst niema żywego ducha. Jak to miło czuć się tak samej, a nie osamotnionej, bo mój daleki przyjaciel, rad czy nierad, wszędzie mi towarzyszy.

7. IX. 84. Kazia i Helenka wróciły. Z nimi przyjechał p. Boursay. Byłyśmy z nim wszystkie w lesie, potem na jarmarku (fête) w miasteczku. Bał w rotundzie na placu wyglądał bardzo przyzwoicie,

nikt by nie przypuszczał, że to sami chłopi: ani krzyków, ani pijaństwa. Pamiętam święta w Rosyi — przejść przez ulicę niemożna było z obawy potknięcia się o leżących pijaków.

I oto ostatni zapowiedziany poprzednio list do W. Grabowskiego.

9 Października, z Paryża.

Co się z Panem dzieje, że od tak dawna nie mam wieści, żebyś Pan wiedział, jak jestem niespokojna, to byś niekazał tak długo czekać. Kilka dni temu miesiąc minął od ostatniego listu. Może mój list uraził czem Pana? Lecz urazić nie chciałam. Pewno coś za dużo zgadłam. Czem zawiniłam?

Dawno już chciałam pisać, lecz od powrotu z Sannois chwili wolnej nie mam: oprócz zajęć w szkole pracowałam jeszcze nad jednem studjum, które spodziewałam się sprzedać, do wykończenia tedy brałam modelkę.

Czy otrzymał Pan numer „Monde Illustré“ z rysunkiem Lhermite'a? Widać w nim choć trochę sposób rysowania węglem na takim właśnie papierze, jakiego próbkę posłałam kiedyś. Dziś posyłam kilka papierowych fiszorków, jakich pewno niema we Lwowie i kawałek hubki do wycierania.

Świat artystyczny Paryzki nieożywił się jeszcze. Z wystaw oprócz kilku dawniejszych otwarta tylko jedna, dosyć interesująca, a na niej owa sławna „Salomée“ Regnolt'a. Chociaż wszyscy uważają ją za najlepsze jego dzieło, ja jednak wolę bez porównania jego „Portret Generała Prim'a“ od którego oderwać się niemożę, ile razy jestem w Louvrze. Ale na co na tej wystawie patrzałam z przyjemnością, to na Leibl'a portret młodej dziewczyny. Jak to znakomicie, szeroko, pełno i tłusto namalowane! A jak rysowane! W późniejszych robotach jego została tylko

precyzja w rysunku, bo sposób malowania haniebny. Jest tam także dosyć dawniejszych robót Bonnat'a z przed 20-tu lat. Znać jeszcze na nich dawniejszą szkołę — jeszcze rudy koloryt przeważa, tła ciemne, brązowe reflexa, ale rysunek sumienny.

Meissonnier'a kilka cacek, ale tego trzeba raz widzieć, aby się zachwycać, gdyż potem aż do znużenia te same postacie, te same temata (gra w kości, lub czytanie w bibliotece) te same tła i urządzenia z przestawieniem tylko mebli i przełożeniem książek z górnej półki nadół i t. d. A jak to skończone! Znać poszarpaną oprawę, kariki, zdaje się nawet, że można przeczytać tytuł na pół centymetrowych xiążkach. Im mniejszych rozmiarów obrazek, tem większe arcydzieło. Była tu przed kilku miesiącami wystawa samych tylko dzieł jego, można się więc było napatrzeć, nadziwić — i to wszystko. Bo na mnie prócz podziwu innego wrażenia on niewywołuje. Jest to minjaturzysta niezmiernego talentu i w swoim rodzaju zalet niezrównanych. Najważniejszą jest szerokie malowanie przy subtelnem wykończeniu postaci, nieprzechodzących najczęściej dwu cali. Ktoś dowcipnie powiedział o jego obrazach, że robią wrażenie, jak gdyby się patrzyło na naturę przez odwróconą lornetkę. I to jest określenie trafne.

Wyobraź Pan sobie w jakim jestem kłopotcie: niewiem co dać do Salonu. Mam dość tematów i szkiców, ale p. Julian, dyrektor Akademii chce, żeby to był temat oryginalny i koniecznie zajmujący tutejszą publiczność — coś, coby zwróciło ogólną uwagę, przytem, aby wszystko zrobione było z natury. Wszystkie te warunki ogromnie utrudniają, a poddać się im muszę. Chciałabym się zastosować do jego rad i życzenia — jestem mu tyle obowiązana, wiem przytem, że mi dobrze życzy. Czy wie Pan, że pracuję w jego szkole bezpłatnie? Sam zaproponował mi zwolnienie

od opłat, obiecując jeszcze dopomódz w sprzedaży prac. To jego zainteresowanie napawa mię otuchą. Jest to dobry człowiek, lecz dba jednak i o swoją kieszeń. Widocznie więc liczy, że mogę coś zrobić. Zobaczymy.

Oto i dojechałam do końca kartki. Należy więc kończyć gadaninę, załączając przyjacielskie pozdrowienie i prozbę o rychłą odpowiedź.

Anna.

20. X. 1884. I znowu Paryż. Co to za wesoły naród ci Francuzi: wracając ze szkoły spotkałam całą kawalkadę — uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych — cała ulica. Śpiewali, żartowali, płatali figle idąc jeden za drugim w „monomie” — śmieli się i cieszyli, jak dzieci. A byli wśród nich ludzie nawet wcale już niemłodzi.

Szczęśliwy humor!

27. X. 1884. Klimci już niema — nieżyje! I ona! Oh, jak to smutno... Cios za ciosem na moją głowę... Biedne moje kochanie... i tak niespodziewanie... Co ona nacierpiała się, biedactwo! i za co to wszystko? Oh, jak niesprawiedliwe to życie! Przecie to takie dobre było, niewinne. Biedna moja Klimusia... ucałować Cię nawet niemogłam jak i mego biednego tatkę — sama tu, daleko. Co, wy tu chcecie zostawić mię samą?... I gdzie ty teraz, dobra moja, czy jesteś tam, gdzie mówiłaś? w tem życiu, w które wierzyłaś tak gorąco? Ja niechciałam odbierać Ci nadziei, lecz wątpiłam często sama: gdyby światem tym rządzić miała ta wielka, dobra istota — inaczej by się na nim działo. Za lat 10, pamiętasz, dałyśmy sobie słowo w Wiedniu — za lat dziesięć — ośm już tylko teraz spotkać się mamy razem, gdziekolwiek byśmy były. Gdzie się spotkamy?

24. XII. 84. Północ. W tej chwili dzwonią na

Pasterkę. Dziwnie mi się zrobiło na dźwięk tych dzwonów — muszę użyć całej siły woli i rozsądku, aby panować nad sobą, żeby niemyśleć o tem wszystkim, co mię w tym roku spotkało. Ciężki to był rok. Tatusiu mój drogi, jak ci musiało być ciężko! a ta biedna Klimcia, dobra taka, taka szlachetna, ta doskonałość prawdziwa — za co wyście się tak męczyli? Ale wy już odpoczywacie. Czy rozumieć i ocenić spokoj ten możecie?...

Mama czeka powrotu mego. A ja tymczasem inne snuję plany: połączenie się z Wojtkiem i powrót na pracę do Paryża. On jest zdolny. Jam mu dotąd nie napisała nawet, że dzięki mojej szlachetnej Klimci los mam zapewniony. I chłopcom będę mogła dopomódz i o Jadwini pomyśleć — wydać ją zamaż.

Nielubię emancypantek — tych z krótkimi włosami, co udają mężczyzn i brawurą osiągnąć szczęście myślą. Mylą się bardzo, bo nie w aulach uniwersyteckich przebywa ono. Wysokie wykształcenie kobiet pożyteczne bezwątpienia, lecz ono nie jest wszystkim — o tem zapominać nam niewolno. Pojęcia moje uległy zmianie pod wpływem życia i... Wojciecha. On to nieznacznie uwagami swemi otwierał mi oczy na rolę kobiety w rodzinie i społeczeństwie. Miałabym do pisania na ten temat, lecz jestem zmęczona — odłożę na inny raz. Trzeba iść spać, a jutro rano o zwyczajnej godzinie do szkoły. Bo tu dla żadnych świąt wyjątku niema. Może to i dobre. Tylko praca i praca jedynie jest w stanie zająć, oderwać umysł od ciężkich myśli. Bez niej przykre byłyby święta.

Na tych rozmyślaniach kończy się rok 1884 a z nim i mniej lub więcej regularne prowadzenie dziennika.

Nad głową artystki zawisła ciężka, gromami brzezienna chmura. I grom z niej padnie najstraszliwszy,

najboleśniejszy, bo ugodzi w serce. Ni praca, do której uciekać się zwykła, jak pod niezawodny dotąd puklerz, ni sukces, ni poprawa materialnego bytu wyroków surowego losu uchylić niebędą już w stanie: w dniu 2 czerwca 1885 r. umiera we Lwowie na suchoty Wojciech Grabowski.

Stało się, co się stać miało.

Odtąd dziennika nieprowadzi już Bilińska. Mały o czarnej okładce zeszyt, różny od poprzednich rozmiarami i formą zawiera kilka już tylko rzuconych bezładnie w paroxyzmach rozpacz i cierpienia notatek.

Oto one:

Pourville-les-Bains (Normandya) 28 Sierpnia 1885. Co tu pisać?... Wszystkie moje skarby i wszystkie nadzieje!... postawiłam wszystko na jedną kartę, i... przegrałam — on odszedł... sam... niema go!...

A teraz co?

Pourville 5. IX. 85. Ciągłe płaczę, jak dziecko — niepomaga i obecność dobrej Maruchy. Wyciąga mię ona z domu, lecz widoki, zieloność, morze — wszystko źle dziś wpływa na mnie, bo wszystko stawia mi przed oczyma ciebie, mój jedyny, ciebie, którego niema!...

Oh, jak pusto, jak straszno na świecie... ciemno, bo zaszło słońce życia...

Pourville 6. IX. 85. Tatusiu mój, Wojtku mój jedyny, moja droga Klimciu, czy wy mię słyszycie!? Czemuż niemogłam oddać ci, dobra Klimciu, zdrowia mego, jak ty oddałaś mi pieniądze twoje? cóż mi po nich — zapóźno! Ah, ty mię ubiegłaś: to moje tam miejsce obok Wojtka. Lecz ja znalazłam sposób — ten mały, ostry, błyszczący — ja cię dopędzę! Co mam robić z życiem jałowem, straszmem, rozpaczmem? Cięży mi ono... Tam w świetle xiężyca połyskuje odpowiedź, obiecuje, nęci...

Proszę i zaklinam na wszystko tych, co się będą pogrzebem mym zajmowali, żeby mię pochowano obok Wojciecha. Kwiatków nasypcie nam dużo, dużo — bławatków polnych... Pomnik według pierwszej kompozycji Wojciecha „Za gwiazdką”. — Myśmy za nią gnali oboje przez życie całe i niedoścignęliśmy jej nigdy. I przyszło mi wyciągnąć rękę aż tam — za światy po to niedoścignione tu szczęście i wyciągam ją...

A Marucha!... Nie, nie dziś jeszcze — ona by straciła zmysły... Jam słaba, bardzo... zwykła biedna dziewczyna tylko... Lecz ona przybyła, aby mię ratować. Nie, nie dziś jeszcze...

Paryż, 6 Marca 1886. Dziewięć miesięcy mija od twej śmierci, dziewięć strasznych. A ja ciągle widzę cię tuż koło mnie, oczy twoje widzę — ostatnie twoje spojrzenie, słyszę słowa pożegnania: „Biedna moja, sama zostaniesz teraz, jedna!”

Sama!...

I ja nie mogłam nic ci pomódz, ulgi ci przynieść żadnej. Wszystko, co mogłam, to być przy tobie w tej ostatniej chwili. Tyś i z tego był tak szczęśliwy. Lecz cóż ci po mnie — niczem nie mogłam dowieść ci miłości mojej. Bo dziwny był nasz stosunek: nie znajdzie się chyba dwoje młodych ludzi, kochających się jak my i spędzających razem godziny całe bez żadnej myśli nawet zdrożnej. I żyliśmy tak sobą, myślą o sobie aż do tej strasznej chwili. Aż przyszła ona i stanęła między nami...

Jam wówczas taką martwą, tak skamieniałą była, żem sobie sprawy z tego co się wokoło mnie działo zdać nie była w stanie — dlatego ja to wszystko przeżyłam — niewiedziałam, nierozumiałam, że cię tracę na zawsze, że patrzę na ciebie już po raz ostatni... I dziś żyję i myślę, i pamiętam — na to, aby cierpieć. Ze łzami zasypiam, z jękiem się budzę. Lecz może ty to wszystko widzisz? wiesz może, jak mi tu źle

bez ciebie i ciebie to dręczy? Przebacz mi — jam teraz słaba...

Paryż, 2. VI. 86. Dziś rok od śmierci twojej mój jedyny, a ja tak to wszystko widzę, jak gdyby to było wczora. Czemu ciebie już niema? Cośmy komu zawinili, że na naszą dolę cierpienia wypadło aż tyle?... Ty przez całe życie nie byłeś nigdy szczęśliwy — w czym twoja wnia? Czy w tem, żeś zabrał ze sobą z nieba to co do naszej nienależy ziemi, żeś od Przedwiecznego wziął ten ideał, to poznanie dobra i piękna, które nie jest dla tej ziemi? I za tę winę, za tę śmiałość cierpiałeś przez życie całe, i paliła cię ta iskra Boża, aż cię spaliła doszczętnie... I oto siedzę tu dziś w tych czterech cichych ścianach sama jedna i straszno mi i rozpaczno. Ah, życie takie jak nasze, jak to, o którym marzyłam zadobre byłoby, za szczęśliwe i dlatego być niemogło... Dlatego siedzę tu dziś sama, przesiedziałam tak z myślami dzień cały dzisiejszy — z myślami czarnymi, jak ta noc co idzie. Cały dzień czuję się dziwnie podnieconą, znerwowaną, Władka niema — boję się sama siebie... Uciekam, uciekam do panny Julii...

24. VI. 86. Poznań. A więc jutro już będę w Warszawie. Dlaczego tak się tego boję i tak bardzo niechcę tam jechać? Dziwne uczucie...

To ostatnia kartka dziennika. Takie było rozwiązanie tej idylli dwu pokrewnych, bo jednaką poezją owianych duchów. Był to prawdziwy dramat: Pędzili za gwiazdką jasną, lśniącą na błękicie rojeń ich wyłęgłe — była to, niestety, kometa tylko. A życie tymczasem toczyło się twardą dla obojga drogą, ostrymi kantami raniąc ciała, zużywając siły mierzone na zamiary jedynie. Nie bez słuszności skarży się na los artystka: czemuż był on tak nieubłagany?

Na wieść o groźnym stanie Grabowskiego rzuca ona nagle wszystko, śpieszy do Lwowa, lecz po to je-

dynie, by zastać ukochanego na łożu śmierci, na progu wejścia w zaświaty. Z tego już progu rzuca on jej ostatnie spojrzenie i ostatnie słowa pożegnania i żalu. Na co jej teraz pieniądze, na co migocąca przed zamgłonym łożem bliska już sława?

To też w trzy lata później widzą ludzie Bilińską bladą, wychudłą, w ciągłej jeszcze grubej żałobie, w niej odtwarza się jeszcze na portrecie własnym w 1887 r., długo po nim jeszcze jej nie zdejmuje. Po kim ta żałoba? Po ojcu? przyjaciółce? Zostałoby to tajemnicą, gdyby ostatnie kartki dziennika niedawały jasnej odpowiedzi.

Toż odtąd nieodzyskuje artystka już nigdy pierwotnych, z jakimi przybyła do Francji kolorów. Uchodzi jednak do niej znowu czarnemi gnana wspomnieniami, nie wraca tym razem sama — stan jej duchowy budzi widocznie obawy otoczenia — w podróży na brzeg Normandyi towarzyszy jej serdeczna jej przyjaciółka — pani Marya Gażycz. Jak widzimy z dziennika artystki, obawy te nie były bezpodstawne. Po paru miesiącach pobytu nad morzem panią Gażycz zastępuje brat artystki Władysław, z którym Anna wraca do Paryża. Tu, korzystając ze zmiany sytuacji materialnej, wynajmuje w tymże, gdzie miała biedny swój pokój, domu pod 27 rue de Fleurus pracownię, w której zostanie do końca swej kariery.

Nie jest jednak jeszcze w stanie powrócić do przerwanej pracy. Później dopiero, po ponownej podróży do kraju, wstępuje nazad do Akademii Julian'a. Nie jako zwykła uczennica już jednak, lecz jako „Massière“ czyli kierowniczką pracowni: zarządza nią, daje wskazówki i temata, wybiera modele, w potrzebie zastępuje profesora. Robi to tym razem nie z potrzeby — z wdzięczności raczej dla pana Julian, który kiedyś, widząc jej talent, a odgadzając trudne

położenie, już po pierwszym semestrze samorzutnie zaproponował jej zwolnienie od wszystkich opłat.

I znowu z całą gorączką cierpienia pogrąża się Bilińska w pracy. Do konkursów w pracowni staje już jednak niedługo: wycofuje się z nich dobrowolnie niechcąc zagradzać drogi kolegom i koleżankom, w ostatnich bowiem zawodach regularnie zabiera wszystkie medale.

W tym to czasie i nastroju rodzi się słynny jej, darowany później Sukiennicom, „Portret Własny”, który odrazu zwraca na nią oczy świata całego. W każdym dotknięciu pędzla jest to arcydzieło. Lecz pogarda z jaką artystka patrzy na życie, na świat, na siebie samą odzwierciadla się w tym portrecie. Jakże różnym jest on od pastelowego autoportretu w stroju ukraińskim, zakupionego w roku 1888 przez Grosvenor Galery w Londynie! Po trzech latach smutku rok tryumfalnego pochodu zaczyna wracać artystkę do życia.

W tym jakoś czasie miałem szczęście, czy nie-szczęście, bo niewiem dotąd, poznać Annę Bilińską. Byłem wtedy biednym studentem, emigrantem politycznym zresztą. Lecz to sprawy prywatne. Wracam znowu do przedmiotu.

Tym razem mówić o artystce będzie nie ona już sama: dziennik obejmujący cztery najwięcej pouczające lata jej życia, bo lata kształtowania się, studjów, zmagañ i marzeń kończy się z rokiem 1886 — smutek zamyka jej usta. Lecz mówić już ona niepotrzebuje: nie jest już nadal prywatną, do siebie tylko należącą jednostką — Paryż, Francya, Anglia, świat cały dopowie za nią to: czego przez wrodzoną skromność z pewnością sama powiedzieć by się nie ośmieliła. Świat ten entuzjastyczny jest i zapalny, jak jednostki. Raz wzruszony, hojną dłonią sypie laury pod nogi tak niedawno nikłej polskiej dziewczyny. Anglicy

nawet, tak mało wzruszeniom podatni piszą recenzje, listy prywatne, hymny, sonety. Cóż mówić o Francuzach, Włochach, Polakach, choć oceny tych ostatnich długo, bo aż do zaćmienia gwiazdy owiane są dziwną jakąś rezerwą.

Przytaczać wszystkich odezów prasy niemam tu możności, ani zamiaru — niepodobna podać je tu bodaj w streszczeniu — zakres tej książki, jak zresztą i dobra wola czytelnika niepozwolą na to. Zbiór wycinków prasy z reprodukcjami i fotografiami główniejszych przynajmniej prac artystki tworzy olbrzymi foliał w formie albumu, który w r. 1920 złożyłem w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Znajdzie je tam każdy, kogo karjera artystki bliżej interesować może. Tu przebiegniemy odezwy te szybko, wrywając z masy luźne tylko, lecz dla talentu artystki i jego rozkwitu więcej charakterystyczne ustępy, zdążając zresztą za rydwanem Bilińskiej, który raz uruchomiony toczy się z niepohamowanym impetem.

Już w r. 1885 i 6 ma artystka w Salonie Paryżkim jak i na innych wystawach pochlebną krytykę. Prace to jednak jeszcze studenckie, pierwsze nieśmiałe kroki w przedśionku szerokiego świata. Rok 1887 dopiero stanowi epokę przełomową. Jej „Portret własny” wybija odrazu w murach renomy olbrzymi wyłom, przez który wkracza do twierdzy Bilińska, stając naraz w głównym dowództwa jej sztabie. Wszystkie oczy odtąd zwrócone są na tę młodą dowództwa siłę, a ona szybko kroczy pp szczeblach przy poklasku tłumów, nie idzie już — jest niesiona w zawrotnym tryumfalnym pochodzie, zaledwie nadąża zgarniać laury sypane pod jej stopy na każdym chwilowym przystanku. Tak objeżdża Francję, Anglię, Polskę, Niemcy, Amerykę nawet, renoma rośnie, potężnieje, rozbrzmiewają hymny i sonety do „Wschodzącej gwiazdy”.

Słucha ich ona zaskoczona nieco, zdumiona prawie, lecz się nimi nie upaja — zostaje sobą — skromną, zadumaną, rozważną — unieść się pysze nie daje. Nie rusza się ze swej pracowni w Paryżu — celu swych dążeń niedościgła jeszcze, pracuje dalej wytrwale. Nieprzeszkadza to jej bynajmniej być dobrą Polką, dobrą koleżanką, dzielną i pożyteczną częścią Kolonii Polskiej w Paryżu. Każda myśl polska, każde szlachetne dążenie oddźwięk znajduje w jej sercu, gotowy przyczynek w hojnej jej dłoni. Ubiera się i żyje skromnie, mimo to „Środy” jej skupiają dobór Kolonii Polskiej w Paryżu i stają się miejscem pielgrzymki dla znawców sztuki, sprawozdawców, korespondentów pism całego świata. Napływają zamówienia, rośnie fama — trudno jest artystce oderwać się od pracy. Parę tylko razy, zmęczona, udaje się na wypoczynek i studja nad ocean (La Rochelle, Oleron) do Bretanii (Benodet, Beg-Meil) lub do znajomych na wieś w okolicy Lyonu gdzie u pp. Martin, Tavernier, Vadon, Lacour i innych zostawia niemało prac swoich, raz także dla wykonania zamówień znanego amerykańskiego mecenasa sztuki — pana Corning Clark na promiesięczny pobyt do Berlina. Nielubi Berlina, lecz niezna go dobrze i jest go ciekawa. Cieszy się na tę podróż, którą przedsięwzięje w końcu r. 1890. Poznaje tam wybitnych przedstawicieli kolonii polskiej, jak pp. Skórzewskich, pp. Kościelskich. Interesuje ją bardzo postać p. Kościelskiego — lidera ówczesnego stronnictwa polskiego w parlamencie niemieckim, odgrywającego wówczas dużą rolę polityczną. Słucha z zajęciem przygodnych dyskusyj politycznych i na swój sposób wyciąga z nich horoskopy, bo szeroki umysł Bilińskiej zajmują nawet zagadnienia polityki.

Z Berlina pozostał portret Józefa Hofmana, dziś własność prawdopodobnie jednej z galeryj Nowego

Świata, jakoteż posępny, mglisty lecz prawdziwie zimowy widok Unter du Linden, należący dziś do p. Inżyniera Rozpędowskiego z Warszawy.

Pozatem artystka żyje w swej pracowni na rue de Fleurus 27, pracuje łatwo, szybko, a zawzięcie, bo dziś oprócz pracy i sztuki nic jej, zdaniem jej, nie zostało. To też z furty domu tego wychodzą na świat szeroki coraz nowe studia, pejzaże, widoki morskie, kwiaty, portrety, obrazy rodzajowe, akwarelle, pastele, płótna uchylające zasłonę z coraz nowych niepodejrzewanych stron talentu Bilińskiej — wszystkie doskonalsze od już znanych, wszystkie wywołujące nowe salwy pochwał, zdumienia zachwytu. Jednego tylko brak dotąd, brak wciąż jeszcze—tego, czem artystykę najhojniej obdarzyły nieba, ku czemu ciągnie ją oddawna twórcza jej, poetyczna natura, Zachęca oddawna wieszczka dotychczasowych mentorów pobudka, czem zwycięża wszystkich na wszystkich konkursach — kompozycyji nie widać dotąd, zostają w szkicach, w pracowni, progów jej nieprzekraczają jeszcze. Czy smutek wysuszył źródło myśli i natchnienia, czy nawał prozaicznych zamówień na drugi plan ideały odsuwa czasowo, czy skupia się artystka, marzenia swe upostacia, grupuje, uplastycznia — do lwiego znowu gotuje się skuku, do nowego, jak mówiła przyjaciółka Klimcia, gotuje się skuku pantery? Czy zdąży na czas?

Bo tam na ulicy gawieź się niecierpliwi, domagać się zaczyna, wiedząc, że ma z czego — szemrania już słyhać, krzyki nawet. Ulubieńców bodaj kapryśny tłum nieoszczędzi. Wolff tylko jeden, uzurpatorski król krytyki i główny jej żniwiarz niepisze dotąd. Milczeń niemoże—podaje tedy krótkie tylko wzmianki — w galeryi jego niema dotąd nic Bilińskiej i nie będzie nigdy. Niedba bowiem o krytykę artystka, niedba nawet o Wolff'a. Waliszewski nawet —

wróg jej i dyffamator obok kłamliwej odezwy jedyny zgrzyt w chórze pośmiertnych hymnów stanowiącej, przyznać jej tę nad innymi wyższość musiał, pisząc w kraju z 21 kwietnia 1893 r: „Była to dusza niepospolicie szlachetna i harda, gardząca reklamą, jak nią nikt już prawie dzisiaj gardzić niepotrafi. Szkoda jej, wielka szkoda.“ Nemo.

A więc krytyki te, te hymny i pochwały, ten tryumfalny pochód samoistne były i odruchowe wprost istotnie, mimo obojętności na nie artystki neustawały, trwały dalej i niecierpliwiał się tłum, bo czekał, bo mu Bilińska dała do tego prawo.

Jakże pochlebnie brzmią te słowa w tak niechętnych jak pana Nemo ustach!

Lecz wróćmy na ulicę — do gwaru, do krzyków tłumu:

Gil Blas, Paris 8 Mais 1885 r.

„Wczorajsze zebranie w Salonie było „very-select“. Między osobami podziwającemi ładny portret pani. V. M. pendzła panny Anny Bilińskiej wzmiankujemy: hrabinę P. księżną G. hrabinę de S. R. markizę de S. księżną de La R...“ Le Diable boiteux.

Świt, Warszawa 1885 r.

„Najwięcej i najwyborniej wyrobioną w technice malarskiej jest niewątpliwie panna Anna Bilińska doznająca obecnie uznania w Paryżu. Odróżniającym p. B. przymiotem było malowanie zwłaszcza jak na kobietę śmiałe i dzielne... Niejeden mężczyzna mógł by tej młodej artystce pozazdrościć pewności ręki, poprawności rysunku i plastyczności przedmiotu. W pracach nadeszłych z Paryża widzimy wyrobienie posunięte do ostatnich granic... Do jednej tylko rzeczy tęskni-

my: do kompozycji, do których swego czasu okazywała skłonność i dobre usposobienie. Panna Bilińska w Paryżu doznała wyjątkowego powodzenia: po otrzymaniu w roku zeszłym medalu srebrnego w pracowni Julian'a w tym roku w tejże pracowni została nauczycielką."

Wojciech Gerson.

Warszawskij Dniownik, Listopad 1886 r.

„Omiał nie zapomniałem o prześlicznym szkicu utalentowanej młodej artystki Anny Bilińskiej. Szkoda wielka, że na wystawie niezjawiła się cała kolekcya akwarellowych jej szkiców. Wyróżniają się one godną uwagi siłą kolorytu i śmiałością ruchów pendzla."

Talma.

Univers Illustré, Paris 7 Mai 1887.

„Jakaż to twarz inteligentna, jak ten portret dobrze uchwycony!"

Gyp.

Moniteur des Arts, Paris 13 Mai 1887.

„Odmalowała się w sposób szeroki, olśniewający i portret ten jest wspaniałem malowidłem".

Em. Cardon.

Courrier du Soir, Paris 14 Mai 1887.

„Jest to subtelna harmonja tonów szarych i gorących o wielkiej potędze i wdzięku przejmującym."

F. Gaïda.

Office de Publicité, Bruxelles, 15 Mai 1887.

„Panna Bilińska, nieznaną dotąd, nienależy jeszcze do nieśmiertelnych. Portret jej jest obja-

wieniem prawie — tak jest potężny i naturalny.
Brawo, po trzykroć brawo, Mościa Panno!"
Barrye.

Galignani's, London 18 Mai 1887.

„Jest tu i inny jeszcze portret, gdzie talent artysty wywołuje wrażenie zdumiewające. Malowany przez Polkę — Pannę Annę Bilińską. Tu potężne dotknięcie łączy się z pełnym poczuciem koloru, dzięki którym poznajemy prawdziwych artystów.

Le Gaulois, Paris 16 Mai.

„Panna Bilińska, kierowniczką jednej z naszych renomowanych pracowni jest malarzem poważnym, prostym, dobrym chłopcem i zapalonym pracownikiem. Całe jej życie, wola cała skoncentrowały się w jej oczach — olbrzymie oczy pełne światła i błysków; reszta rysów schodzi na plan drugi — bezcielesna prawie; źrenice geniuszu — i to wszystko. Zalety kolorystyczne zdumiewające, rozmach szatański”.

Tout Paris.

Gil Blas, 16 Mai 1887.

„Przechodzimy do młodej Polki, panny Anny Bilińskiej, odmalowanej i to odmalowanej znakomicie przez nią samą. Swoboda przypomina Franza Halsę... Malowidło chociaż bardzo potężne i bardzo zdrowe trąci jeszcze szkołą. Niech artystka puści wodze wstrzymywanemu widocznie polotowi — a przyszłość do niej należy.”

Grimset.

L'Artiste. Paris, Juin.

„Niewiem, co zrobi panna Bilińska, lecz wydaje mi się ona potężnie i wspaniale obdarzona

od natury. Natura to oryginalna, samorzutnej świeżości pełna i której miejsce jest w przedniej straży."

Rensonville.

Le Temps, Paris 5 Juin 1887.

„Patrzcie na pannę Bilińską... wykazuje ona wielką dzielność pędzla. Młoda Polka siedzi sobie w czarnej sukni, w swym małym fartuszkumalarskim, uczesana jak Bóg dał... Lecz malowidło to szerokie i wypadła ona na nim dobrze bez upiększeń i starań. Sędziowie nagrodzili medalem piękny jej wysiłek. My życzymy jej, by zachowała nadal swobodę i szczerłość pędzla."

Mantz.

La Revue de Blanc et Noir, Paris, Juin.

„Bardzo lubię portret Anny Bilińskiej... Rysunek ścisły przypomina Holbeina, bardzo jest on prosty, a jednocześnie bardzo piękny. Długo się stoi na miejscu podziwiając to płótno."

François Burnand.

L'Artiste, Paris Aout.

„...Twarz inteligencji pełna. Wskazuje na temperament o rzadkiej energii, mający na usługi rękę pewną i silną; na znajomość absolutną i głęboką wszystkiego, czego można się nauczyć jako rzemiosła; wskazuje na coś wyższego jeszcze: na umysł badawczy, ciekawy, zapalnie, passyonowanie wytrwały — wążący się bez wątpienia na wszystko i zdolny wskazywać drogę."

Ponsonaille.

Tintamare, Paris 11 Juin.

„Kobiety mają wyborne dzieła w Salonie tegorocznym. Jako przykład wezmę portret autor-

ki podpisany Anna Bilińska, przed którym Mistrz Floquet wzniosłby raz jeszcze okrzyk: „Niech żyje Polska! Pani.“

Quolibet.

Patrie, 10 Juin 1887. Paris.

„Panna Bilińska odmalowała siebie taką, jaką jest bez najmniejszej myśli pochlebstwa. A jednak urok tej twarzy, dwojga wyrazistych oczu jest taki, że przechodzień zatrzymuje się przed obliczem tej kobiety... Elle n'est pas belle — elle est pire...“

M. de Themine.

Bluszcz, Warszawa, 15 Czerwca 1887.

Nowiny Paryzkie.

„Da hab' ich ein Mann!“ Mam człowieka, mam artystę, a tym artystą jest panna Anna Bilińska — kobieta i Polka... Jest to jedno z tych dzieł, które zostaną. Jeden z najlpszych obrazów na całej tej ogromnej wystawie... jedno ze znakomitszych dzieł sztuki polskiej naszego wieku i tu nie wyjmuję nikogo, a przecie jest to tak proste, tak skromne.“

Gazeta Polska, Warszawa 15. VI. 1887.

„Obok Matejki najwięcej zajmuje się krytyka Anną Bilińską, oddając jej wielkie pochwały za własny jej portret po mistrzowsku, jak piszą, wykonany.“

Kurjer Warszawski, Czerwiec 1887.

„Natura to bujna, porywcza, zapalna, poszukująca prawdy, w nią tylko wpatrzona i idąca do niej pomimo wszystko...“

Gomulicki.

Bluszcz, Warszawa, 13 Czerwca 1887.

„W liczbie laureatów ze wzruszeniem usłyszałem imię tej tak zdolnej, zacnej, intelligentnej Polki, panny Anny Bilińskiej. Są ludzie, których powodzenie miłe jest wszystkim, bo zasługa ich i wartość są tak wielkie, jak wielką jest skromność ich i to uczucie godności, które ich podnosi do takiej wyżyny, gdzie już nic dotknąć boleśnie ich niemoże... Chociaż nie my to jej daliśmy tę nagrodę i rozgłos, ale w swej zacnej i jasnej duszy musiała ona uczuć ten głos rodzimy, który z zapałem przyklaskiwał jej powodzeniu na tej wielkiej scenie Paryzkiej, która, niestety, sama tylko rozdaje i ustala reputacje i wziętość artystów...”

Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne.

Anna Bilińska (urywek z życiorysu).

„...Jedynej nagrodzonej z pośród naszych mistrzów i towarzyszków pendzla w tegorocznym Salonie Paryzkim, oraz Dyplomem Honorowym na 1-ej Ogólnej Wystawie Sztuki Polskiej w Krakowie... Portret podbił odrazu zarówno surowych sędziów, jak krytykę i publiczność... czytano z tej twarzy, że przybyła zdaleka do tej stolicy sztuki aby nauczyć się pracować i podbić. Takie podboje składają dłoń do okłasku, którego też śmiałej szermierce nieposkąpiono... Nieodrazu Kraków zbudowany. Trzeba by o przysiąc fałdów i bez wytchnienia pracować ołówkiem i pendzlem, często o chłodzie i głodzie... W ciągu tych studyów nawiedzały artystkę zmartwienia — strata osób drogich, zawsze jednak praca okazała się najlepszą lekarką. Artystka nasza ma obecnie drogę przed sobą otwartą...”

P.

Kłosa, Warszawa, 28 Lipca 1887.

„Nazajutrz, kiedy pisma Paryzkie ogłosiły laureatów, towarzysze pendzla zasypali ją kwiatami, nadesłali setki kart wizytowych i listów z powinszowaniem... Od nieznanomych nawet otrzymywała dowody współczucia; mam przed sobą wycinki z 42 pism z zaszczytną wzmianką o jej pracy, między temi Angielskie, Włoskie... Towarzyszki pendzla i dłuta podziękowały artystce w imieniu kobiet oddających się sztuce; my dziękujemy w imieniu Narodu, któremu przynosi zaszczyt, zniewalając sobie tak wysokie uznanie cudzoziemców.”

Sew. Duchńska.

La Revue Normande et Parisienne.

La Distribution (Salon de 1887).

„...Przychodzi następnie kolej na dwie damy — malarki, na które czatuje w przejściu wyjątkowo faworyzowana dziś galanteria francuzka. Wymieniłem panie Rongier i Bilińską, talent których mówi sam za siebie i które wkrótce przy poklasku ogólnym rzucić się miały w objęcia rozczulonych professorów — cenionych malarzy Luminais i Tony Robert-Fleury.

Ten ostatni wzruszony widocznie na wspomnienie pękłego obrazu swego z Warszawy, tak drogiego dla Prezydenta Floquet... i dla wszystkich, a szczególnie na apel miłej Polki — uczennicy swej... Czy może być coś więcej naturalnego?”

Eug. Bellanger, artysta malarz.

L'Evènement, Paris, 3 Juillet 1887.

„...Sukces padł na... p. Bilińską. Owacya,

jakiej była przedmiotem, przerodziła się w zasłużony tryumf."

E. Hochedé.

The New York Herald, 12 March. 1888.

The coming star (Gwiazda wschodząca).

„Panna Anna Bilińska ma schwycony z życia portret znanej filantropki Lyońskiej, pani Martin. Niepodobna powiedzieć zawiele o dziełach panny Bilińskiej. Jest ona niewątpliwie gwiazdą na artystycznym horyzoncie."

Courrier du Soir, Paris 27 Fevrier 1888.

„Spostrzegłszy „Murzynkę“ panny Bilińskiej, otrzymałem cios w serce. To jest uczucie, którego się doznaje na widok piękna sztuki tryumfującej. Trzy wielkie „B“ wyszły ze słynnej Akademii Julian'a pod postacią trzech młodych dziewcząt — gwiazd malarstwa prawdziwych: Baszkirtzeff, Rossyanka — zmarła przy pracy; Breslau, Szwajcarka... Bilińska, która również jest Gwiazdą Polarną..."

Modana.

L'Evenement, Paris, 5 Mars 1888.

„...Murzynka p. Bilińskiej jest w przepyszonym tonie, grube i zmysłowe wargi mają koloryt jagody krwawiącej... Inne studyum, piękny pastel i trzy akwarelki wiosennej świeżości świadczą o wielkim talencie Artystki, której mistrzowskiego portretu niezapomnieliśmy.

Hochedé.

The Daily Chronicle, London 15 September 1888.

„Panna Bilińska, której portret na naszej ze-

szłorocznej wystwie Royal Academy wywołał jak przypominamy sobie masę komentarzy, prezentuje się dziś w studyum „Murzynki”.

American Register, 22 Juni 1888.

„Panna Bilińska, młoda artystka, Polka była do tego czasu nagrodzona medalem już dwukrotnie.

Kunst Kronik, Wien, 15 September 1888.

„Jej znakomity talent, pewność jej ręki, potężne pociągnięcie jej pendzla więcej zwyciesko wykazać się niemożły...”

Citoyenne, Paris, Novembre 188.

„Panna Bilińska — młode cudo, której próbne pociągnięcia są pociągnięciami mistrza...”

Lorgnette.

Kurjer Warszawski, 23 Marca 1888.

„Naszą rodaczkę spotkał nowy tryumf na Wystawie, nadesłany bowiem przez nią portret francuskiej hrabiny robi istotne „furore”... Życie towarzyskie naszych artystów koncentruje się w „Środach” panny Bilińskiej. Stałymi uczestnikami tych zebrań są tu: Władysław Mickiewicz z żoną i córkami, Duchińska i w. in. Śpiewa się tu, gra, gawędzi o sztuce i zapomina o obczyźnie przynajmniej chwilowo.

Bilińska znany u was „Portret Własny” ofiarowała Muzeum do Krakowa.”

L'Art et la Mode, 22 Juin 1888, Paris.

„Panna Bilińska zwraca uwagę szlachetnością wykonania w portrecie damy w podeszłym wieku,”

L'Indépendant de Seine et Marne 25 Mars 1888.

„A artystką, która wielkimi krokami dąży do sławy jest Anna Bilińska...”

Charles Hutin.

National Zeitung, Berlin, 9 Aug. 1888.

„W całości, ułożeniu jak i wykonaniu, w doborze kolorów i ich blasku pewna nieokiełznana energja bez półśrodków.”

K. X.

Wystawa Grosvenor Gallery w Londynie.

The Daily Telegraph, London, 20 September 1888.

„Bardzo wysoką nagrodę należy przyznać pani, czy pannie? Annie Bilińskiej za śmiały układ, oddanie nastrojów i małowniczych kostjumów, za jej plastyczność i świetne zalety kolorystyczne w pięciu nadesłanych pracach — wszystkich godnych uwagi ze względu na siłę pendzla i głębię tonu.”

Morning Post, London, 20 October 1888.

„Świetne i pełne wyrazu pastele pani (zamężna, czy panna niewskazane w katalogu) Anny Bilińskiej. Rozmaitość stylu i typów. Najwięcej godne uwagi „Góral Karpacki, „Młoda Polka (portret własny Artystki w stroju ukraińskim) i „Młody chłopak polski”.

Lady's Pictorial, London, 10 Novemre 1888.

Podaje reprodukcje wszystkich wystawionych w Grosvenor Gallery prac Bilińskiej, z których kilka, między innymi świetny autoportret artystki w stroju ukraińskim zostają przez Galerję zakupione.

The Graphic, London, 27 September 1888.

„Kilka studyów bardzo zręcznej polskiej ar-

tystki p. Anny Bilińskiej przykuwają uwagę siłą wyrazu i świetnością kolorytu. Jej własny portret zatytułowany „Młoda Polka” uderza nas jako najlepszy z nich, lecz wszystkie pełne są życia i malowane potężnie.”

Rok 1889.

Wystawa Blanc et Noir w Paryżu.

Le Feu Follet, Paris, Mai.

„Kąt pracowni” akwarella przez pannę Annę Bilińską. Drżące to, połyskujące kolorami — tysiące reflexów oddane wiernie.”

Bournant.

La Revue des Baux Arts, Paris 15 Mais 1889.

„Bez biały” panny Bilińskiej jest symfonią tonów szaro-perłowych, srebrno-białych, cieniów przezroczystych, hamowanych światła, symfonią niepodobnej do oddania finezyi i doskonałości.

Po nich niechcę już widzieć nic.”

Ponsonaille.

The Queen, London, 23 Febr. 1889.

„Panna Bilińska występuje z czarującą symfonią białych i neutralnych tonów w „Bzie”. Pokazuje też portrety i studia pastelowe, z których najgłówniejszą jest dziewczyna w szaro-niebieskiej japońskiej sukni... piękne marzące oczy i prześlicznie modelowany bjust. Chłopiec grający na fujarce doskonały jako wyraz i koloryt”.

Wystawa Lyońska 1889 r.

Passe Temps, Lyon 22 Fevrier 1889.

„Portret kobiety wiekowej” ... podpisany An-

na Bilińska, Polka. Niech żyje Polska! krzyknąłbym z p. Floquet."

Lucien.

Nouveliste de Lyon, 14 Mars 1889.

„M-me M... Nieznacie jej? Idźcie ją zobaczyć w tym wielkim fotelu, w którym umieściła ją panna Bilińska... a będziecie wiedzieć o niej wszystko: stanowisko, godność charakteru i wysokie zalety jej dobrej i pracowitej rasy”.

L'Express, Lyon, 22 Lutego 1889.

„Idźmy prosto do wspaniałego portretu starej damy. Podpisany Anna Bilińska... Jeżeli jest w tegorocznym Salonie „un clou” to jest nim ten portret.”

Progrès de Lyon, 28 Lutego 1889.

Podaje długi opis portretu pani Martin pendzla Anny Bilińskiej, mówiąc między innymi: jest rzeczą pewną, że nieczęsto widzieliśmy na wystawach naszych dzieła tej doniosłości, jakiej jest płótno panny Bilińskiej. Co więcej. Szuka się w tym portrecie, w szczegółach, w dodatkach czegośkolwiek godnego pożałowania, czegośkolwiek podatnego dla krytyki — próżna praca, rozpacz wprost bierze — wszystko tu jest bez zarzutu.”

Salon Paryzki 1889 r.

Paris 1 Mai 1889.

„Brak mi miejsca dla wypowiedzenia wszystkiego dobrego, jakie mam na myśli odnośnie do dwu nadesłanych znakomitych dzieł panny Anny Bilińskiej.”

Laurent.

La Cocarde, Paris 1 Mai 1889.

„Panna Bilińska — portret hrabiny de Ve-aureal. Wspaniała i istotnie arystokratyczna w pięknym ciemno-zielonym płaszczu axamitnym.“

Hochedé.

Moniteur des Arts, Paris, 15 Mai 1889.

„Panna Bilińska utrwala rosnącą reputację artystki, która od pierwszych występów zmusiła zwrócić na siebie uwagę powszechną.“

Cardon.

Journal des Artistes, Paris 12 Mai 1889.

„Mały portrecik młodego człowieka strzelającego z pistoletu tak pełen decyzji i stanowczości, że wróży dobrą przyszłość malarce... i modelowi, jeżeli chodzi o pojedynk“.

Le Figaro, Paris, 30 Avril 1889.

„Panna Bilińska ma w tej sali piękny portret; konstatuje to z przyjemnością tem większą, że będziemy się gniewać za chwilę.“

Albert Wolff.

Courrier des femmes Artistes 15 Juin 1889.

„Jeżeli młody człowiek przedstawiony przez pannę Bilińską jest tak dzielny strzelcem, jak jego malarka kolorystką — on także nazbiera medali.“

J. Alenson.

The Daily Telegraph, London, 30 April 1889.

„Panny Bilińskiej portret damy w axamitnym ciemno-zielonym płaszczu malowany w sposób podziwu godny.“

na którą Bilińska, wobec braku działu polskiego, do utworzenia którego niedopuszcili oficjalnie wpływy Rossyjskie, niechcąc być zaliczoną do Rossyjan dzieła swe wysyła na oddział Międzynarodowy. Wobec olbrzymiej masy nadesłanych z całego świata odwiecznych i współczesnych dzieł sztuki, recenzje prasy o każdym z nich poszczególnie, gdzie były one, ograniczyć się musiały do minimum.

Wystawa ta przynosi artystce medal srebrny i tytuł „Hors Concours”, który na oficjalnych wystawach Francji jak Salon Paryzki i wystawy międzynarodowe zwalnia od oceny sędziów i daje prawo nadsyłania ilości prac nieograniczonej—czyli stawia ją w rzędzie najsłynniejszych mistrzów sztuki. Równocześnie jednak stawia ją po nad konkursującymi czyli pozbawia możliwości otrzymywania dalszych nagród, wyższych już bowiem niema dla niej, prócz chyba Medalu Honorowego, przyznawanego nieregularnie raz na rok mistrzom wszechświatowej sławy w podeszłym już wieku nie za pojedyncze ich dzieła jednak, lecz jako uwieńczenie dostojnej ich karyery.

Od tej chwili wyryte oficjalnie imię Bilińskiej połyskuje złotemi zgłoszkami ze szczytów Parnasu. W malarstwie mieć ona może równych tylko — wyższych mieć niebędzie.

La Nouvelle Revue, Paris 1 Juin 1889.

„Dział Międzynarodowy gromadzący ludzi bez ojczyzny, lub tych, których ojczyzna nie jest reprezentowana, nie jest bynajmniej byle jaki. Posiada on portret pędzla Anny Bilińskiej.

Thiébault-Sisson.

The Daily News, London 15 October 1889.

„Ulicznik” przez pannę Bilińską nieda się prześcignąć żadnemu z obrazów znajdujących się w tej galeryi.”

Rok 1890.

Journal des Artistes, Paris 9 Mars. 1890.

„Wracamy do pejzażu z „Zachodzącém słońcem”, który panna Bilińska nazywa skromnie „Szkic”, a który jest cudnem marzeniem oddanem ręką mistrza... Bardzo piękny portret hr. de Franqueville przez pannę Annę Bilińską.”

Contan.

Le Temps, Paris 5 Mars. 1890.

„Zachód słońca” — małe płótno pełne powietrza i światła, w którym przyjemnie nam odnaleźć giętki talent panny Anny Bilińskiej.”

H. L. R.

The New York Herald, 24 February 1890.

„Panna Bilińska, artystka polska, która jest jedną z najlepszych malarek w Paryżu, wystawia dwa płótna; jedno—szkic pobieżny krajobrazu z Boyardville — „Zachód Słońca” o precudnym efekcie, drugie—pełen życia portret jakiegoś dżentlemana.”

Salon Paryzki 1890 r.

Citoyenne, Paris, Juin 1890.

„Inne płótno podpisane genialnym szponem należy do panny Anny Bilińskiej, mistrzyni słowiańskiej, której talent zdaje się robić lwie skoki, jeżeli nie wznosi się na skrzydłach orła do wielkich natchnień. Jest to zdumiewające, przygnia-

tające, Michał-Aniołowskie powiem, rzeźbione raczej, niż malowane... Jeszcze jedno uderzenie skrzydeł, wielka artystko, a sięgniesz może po Medal Honorowy, który sędziowie winni są tobie, a z pewnością po nieśmiertelność, którą obdarzy cię przyszłość!..“

Lorgnette.

The Galignani Messenger, London 16 Mar. 1890.

„Panna Bilińska... zręczna malarka polska odtworzyła jednego z najwięcej obiecujących młodych rzeźbiarzy amerykańskich, siedzącego u stóp szkicu kolosalnego dzieła. Chociaż jako wykonanie jest to rzecz znakomita, jest nią jednak w nieskończenie jeszcze wyższym stopniu jako kompozycja.“

The Chicago Tribune 1890 r. podaje długi artykuł zatytułowany „Arcydzieło“. Portret George'a Grey'a Barnard'a, przez Annę Bilińską“, w którym mówi między innymi:

„Panna Anna Bilińska, słynna malarka polska umiała połączyć ideał z rzeczywistością... Chociaż Polka, należy do szkoły francuskiej i cieszy się Europejską sławą. Praca ta przyniosłaby zaszczyt każdemu portreciście na świecie... Głęboki, mocny, jasny wyraz oczu przypomina wyraz Św. Jana Andrea del Sarto.“

Na pochwałach krytyki, odznaczeniach nie kończy się jednak. Czar talentu artystki sięga głębiej. Z prasy, ze znawców na szerszą przenosi się publikę, fascynuje nawet tak, zdawałoby się, opancerzonych na wzruszenia Anglików, dowodem czego listy od nieznanomych Angielskich, Szkockich wielbicieli, domagających się fotografii przynajmniej dzieł młodej Polki,

dowodem sonety pisane przez entuzjastycznych admiratorów, ostatnią stronę jednego z których zatytułowanego, „The Young Sculptor” a napisanego w nastroju wywołanym tymże portretem Geo Barnard'a w tłumaczeniu wolnem z dziennika Angielskiego pozwolę sobie tu przytoczyć:

*„Wybrańcy sztuki, dzieci jednego plemienia,
Wy jedni dar ten macie z Wszchemocnego łaski:
Ty—chwycić w lot poranków nieuchwytne brzaski,
Ty — zakląć duch anioła w martwy złom kamienia”.*
M. Sears Brooks.

The Chicago Tribune w sprawozdaniu o tym portrecie z Salonu paryskiego zatytułowanem „A Master piece” (arcy dzieło) rozpisuje się bardzo obszernie, porównyując znowu wyraz oczu do wyrazu Św Jana Andrea del Sarto, zachwyca się kompozycją, która mogła być tak ujęta tylko przez istotnego mistrza, jakim jest „słynna polska artystka, która, chociaż Polka, należy do szkoły francuzkiej i zażywa sławy Europejskiej”. Dodając przytem: „indywidualna opinja sprawozdawcy niema znaczenia, ma je tylko jako jedna z wielu i dlatego, że pozwoli artystce cudzoziemce dowiedzieć się, jak wysoko czcimy ją jako kobietę i jak chylimy czoło przed artystką”. Podpisano: Bessie H. Woolford.

Rok 1890 kończy się całą seryą wystaw. Coraz nowe galerye, wystawy, miasta, kraje nadsyłają zaproszenia swe, żądania nawet artystce. Bilińska starczy wszystkiemu. Grenoble, Roanne, Monachjum, Londyn, Ameryka, zaopatrzone są w jej prace, cała kolekcya widoków, kwiatów, obrazów olejnych, akwarell, pasteli przynosi nowe żniwo zachwytów, odznaczeń. Monachjum nazywa ją „die geniale Polin”, Akademia Królewska — The Royal, Academy w Londynie, do

której pierwsza z cudzoziemek otrzymuje prawo wstępu, przyznaje jej medal; we wszystkich rodzajach sztuki dzielny jej pendzel staje do zwycięskich zapasów o mistrzostwo, które głosi już prasa obu półkuli.

Rok 1891.

otwiera podwoje Międzynarodowej Wystawy Sztuki w Berlinie, na którą napływają arcydzieła wszystkich mistrzów świata i w której, dzięki niez mordowanym zabiegom cesarzowej niemieckiej — córki Wiktoryi Angielskiej, Francya poraz pierwszy od wojny 1870 r. przełamuje swą niechęć, postanawiając wziąć udział oficjalny. Wszystkie narody świata są na wystawie reprezentowane. Jest i dział polski. Bilińska występuje na nim tak imponująco, że zdumiewa przyjaciół i wrogów. Sukces jej donośnem rozlega się echem po świecie całym i ona jedna tylko z reprezentowanych tam największych malarek świata najwyższą tej wystawy otrzymuje nagrodę w postaci medalu złotego.

Siedm wspaniałych prac artystki reprezentuje ją na tej wystawie, między innymi dwa pastele, dwa potężne, olśniewające przepychem koloru, w marmurze, zda się, wykute typy polskie (nabyte, jak sądzę, przez hr. Przeździeckiego i p. Rau z Warszawy). O Nagrodzie jednak zdecydował mistrzowski portret „Damy w Zielonym Płaszczu”, który znawcy stawić są skłonni wyżej nawet nad słynny autoportret artystki z Galeryi w Sukiennicach. Do nagrody przyczyniły się też nie mało dwa mniejszych rozmiarów, narzucone genialnym pendzlem każde w niespełna dwie godziny czasu arcydzieła, były niemi portrety Paderewskiego (własność p. Kościelskiego) i starego wiarusa z 30-go roku Ignacego Kozikowskiego (nabyty przez p. Gąsiorowskiego). Pomimo całej dla nas niechęci Niemców, prace Bilińskiej wywołują podziw w Berlinie. Prasa nie-

miecka, jak i całego świata intonuje z okazji tryumfu tego nowe pochwalne pienia. Angielski dziennik „The Queen” zamieszcza obszerny życiorys artystki z jej podobizną; The Inqueerer, Philadelphia 20. Octob. 1891. w artykule zatytułowanym The Young Polish Artist, po krótkim streszczeniu kariery artystki, ozdobioném również jej podobizną, w te wyraża się słowa: Dzieła panny Bilińskiej zmuszają do specjalnej uwagi w tej właśnie chwili, ponieważ siedm portretów jej pendzla stanowią główną atrakcyę polskiego działu na Berlińskiej wystawie sztuki”. Charakterystyczną jest także wzmianka Dziennika Poznańskiego, którego korespondent trafnie wyraża się o portrecie „Damy w zielonym płaszczu”: jest to czynem artystyczno-historycznym nakreślić z tak wszechpotężną techniką i siłą wyrazu obraz damy wielkiego świata, spojierającej na nas w przeświadczeniu swej wyższości, z obliczem, na którym niedyskretny pendzel wypisał cały tajemniczy romans”.

Wystawa ta gruntuje światową reputacyę genialnej malarki. Listy, propozycye, nawoływania napływają zewsząd. Warszawa jest podniecona, domaga się od Bilińskiej dowodu pamięci. Oto list pani Wołowskiej, Sekretarki Tow. Zach. Szt. Piękn., datowany z d. 6. Lutego 1892 r. za nr. 311:

Szanowna Pani. Mam honor zawiadomić Szanowną Panią, iż „Portret damy” niewiadomej nam z nazwiska nadszedł z Berlina w całości i budzi podziw publiczności i wielkie uznanie dla wielkiego Jej talentu. Jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdyby Sz. Pani nadesłała nam coś z prac swych rodzajowych. Obraz, który nabył K. hr. Przeździecki w Berlinie, wywołuje tu podziw ogólny i miał masę amatorów. Gdyby Sz. Pani nadesłała coś w tym rodzaju, znalazłaby chętnych nabyw-

ców, gdyż massa była ludzi, którzy chcieli nabyć to Jej arcydzieło. Pan K. trwa ciągle w chęci nabycia czegoś, jak również p. G. i inni. Niechże Sz. Pani uszczęśliwi Warszawę i jej mieszkańców i nadeszle nam co wkrótce, a będziemy Jej za to mocno obowiązani. Polecając się łaskawej pamięci, łączę wyrazy...

Zofja Wołowska.

Z powodu tej wystawy, Salon Paryski został w r. 1891 pokrzywdzony nieco — otrzymał bowiem jeden tylko portret Józia Hofmana, zamówiony do Ameryki, jak i portret Geo Barnard'a.

Rok 1892.

sprowadza za to do Salonu Paryskiego oprócz paru większych pasteli obraz zatytułowany „Si j'étais le gouvernement...” a przedstawiający typ stróża paryskiego, odczytującego dzienniki lokatorów.

Prasa chwali, jak zawsze, poczciwi jednak Francuzi przymawiać się zaczynają zlekka o coś innego jeszcze, wyrzucając dyskretnie artystce, że w posiadaniu tak potężnych środków techniki i zasobów ducha niedaje dotąd większych kompozycji, których od niej, wiedząc do czego jest zdolna, czekają, jak się okazuje, z utęsknieniem przyjaciół szczerych, pamiętających losy jej ojczyzny i im współczujących. Nieprzeszkadza to im zresztą domagać się dla artystki jednocześnie zasłużonego podług nich orderu Legii Honorowej. Oto dwie próbki tych reklamacyj:

Libre Parole, Paris, 9. Mai 1892.

„Inna młoda panna — panna Anna Bilińska daje nam znowu próbkę naturalizmu wesołego. Ależ pani,

niech żyje Polska! Miast chwytać nas za serca pięknymi kartami historyi narodowej Pani, zawsze tak silnie działającej na francuską duszę naszą — pani bierze stróża domu... To wesołe, dobre, swobodne i szczere, ale niemożemy pozwolić, by artystka tej miary co panna Bilińska traciła czas na podobne zabawki..."

de Chennevière.

Nie domyśla się pan de Chennevière, jak krytyka jego trafia do serca artystki. Głos ten, to głos jej wewnętrzny, który upewnia ją, że wrodzony popęd jej dobrym jest, słyszy go ona oddawna i pójdzie za nim. Zanim to jednak nastąpi, inny więcej realistyczny Francuz domaga się od rządu gwarancyi już teraz:

Revue Internationale, Paris, 7. Juin 1892.

„Jeżeli bym był rządem Pani, pasowałbym Panią na Kawalera Legii Honorowej“.

Jednocześnie wzbudzają podziw precudne pastele Bilińskiej, jak „Chłop polski“, „Matka z dzieckiem“, „Tors kobiety widziany od tyłu“, gdzie ta sama ręka to żłobi brutalnie w twardym, zda się, granicie, to oddaje nieuchwytném dotknięciem blask, przejrzystość i aromat niejako delikatnej dziewiczej powłoki skórnej, a wszystko to żyje, czuje, myśli, patrzy — zaraz coś powie, zaraz poruszy się z miejsca, by wykonać zamiar, który czytasz w spojrzeniu. „Jeden z najlepszych pastelów Salonu tegorocznego“ — pisze o „Chłopie“ Le Moniteur des Arts 13. V. 1892. — „Artystka tak męska w malarstwie olejnym, pięści aromatycznym prochem pastelu delikatny tors młodej kobiety i aksamitną świeżość naskórka oddaje z subtelnością iście kobiecą“.

Cała serya wystaw prywatnych otrzymuje w tymże 1892 r. nową edycyę przeróżnych prac Bilińskiej, wystawy w Lyonie, w Tours, Galerya Georges Petit w Paryżu, Galerya Desaix na Polu Marsowem zaopatrzone zostają przeważnie w sceny rodzajowe, pastele, widoki morskie, na niektórych z nich poraz pierwszy miast zwykłego podpisu spotyka publiczność podpis Anna Bohdanowicz-Bilińska, lecz zalety zawsze te same też same znajdują pochwały.

„Breton, pisze p. E. M. w „Stephanois“ 12. Marca 1882. — Breton tak długi i tak czarny, jak oczekiwanie samo stoi tam na brzegu morza i czeka. Morze wchodzi prawdopodobnie do butów jego. Lecz morze czeka również — jest jakby polane oliwą. I ja czekam także, i przechodzę od czasu do czasu przed tym obrazem, żeby się przekonać, czy nie zaszło nic nowego!”

Sądzę, że nikt nigdy lepiej nieoddał piórem wrażenia, jakie odniósł od widoków Bilińskiej.

„Jak się tu odczuwa samotność i bezmiar przestrzeni! — wykrzykuje p. E. D. w „Nouveliste“ odnośnie do tego samego, małego rozmiarami i szkicowo tylko narzuconego, lecz potężnego nastrojem widoczku, zatytułowanego „L'Attente“ (Oczekiwanie). O innych, jak „La flue“ (Przyptyw), „La Reflue“ (Odptyw), „La pluie sur la mer“ (Deszcz na morzu), „La levée de la lune“ (Wschód księżyca) piszą, że są to obrazy pełne sentymentu i poezyi, prawdziwe „okna na morze“ zbyt skromnie przez artystkę zatytułowane „szkice“ (pochades).

Nowa wystawa w Akademii Królewskiej w Londynie przynosi nowe, spokojne, lecz niemniej zaszczytne recenzje pism angielskich. „Lady's Pictorial“ reprodukuje większość wystawionych przez Bilińską prac już w roku 1888. Teraz p. Millars w sprawozdaniu z wystawy The Royal Academy pisze: „Jak liczne i wyborne są portrety na tej wystawie, tak niema ani

jednego, któryby celował prawdą i potęgą w tym stopniu, co portret Anny Bilińskiej". „The Bazard” zaś 30. Maja 1892 r. mówi: „Rysy panny Anny Bilińskiej dobrze są znane mieszkańcom Londynu. Zaliczona ona została w poczet Towarzystwa Pastelistów Brytyjskich dla zaszczytu jedynie, gdyż jest Polką z rodu, a Paryżanką ze szkoły, chociaż początkowe nauki pobierała w Warszawie... Była przekonana, że malarstwo w wielkim stylu wyrobi jej uznanie, które wygładzi twarzą drogę jej życia. To dziś dokonane”.

Tak pisała krytyka, tak sądzili ludzie — nie inaczej może myślała i artystka sama: po tylu trudach, po smutkach i zmaganiach tyłu, skroń swoją cierniem dotąd spowitą choć uwieńczoną laurami, oprzeć wreszcie do chwilowego bodaj wypoczynku zapragnęła — miała doń prawo.

Jeden z majowych numerów „Figara” 1892 r. a za nim inne pisma obu półkuli oznajmiły światu ślub Anny-Maryi Bilińskiej z Doktorem Antonim-Edmundem-Stanisławem Bohdanowiczem. Ślub odbył się w Czerwcu tegoż roku w kółku najbliższych znajomych. Świadcami ze strony artystki byli pp. Władysław Mickiewicz i pułkownik Józef Gałęzowski; ze strony narzeczonego dwaj koledzy — Dr. Noel Hallé i Dr. a późniejszy Professor Joachim Albarran.

Jak się to stało, że oddała mi rękę — powiedzieć nieumiem dotąd. Znałem ją od lat już kilku, na „Środach” bywałem stale, myśl przemknęła mi po głowie czasami — myśl śmiała... Ale ja nie byłem jeden w jej otoczeniu — byli lepsi — odpędzałem myśl tę beznadziejnie. Byłem tylko biednym studentem, emigrantem politycznym, gdy ją spotykałem u pp. Mickiewiczów, u Duchieńskich. Później doktorem wprawdzie, pretendować wedle stosunków paryskich o partyę posażną nawet mogłem — nie o Bilińską jednak. Posażną nie była artystka, ale to była Bilińska — zawysokie progi

i nie na moje tylko nogi. Czuję to, wstydzilem się waryackiej tej myśli i odpędzałem ją, choć wracała natrętnie. Dlaczego wracała? Wszak zmienić się nic nie mogło na moją korzyść — ona zaszła już tak wysoko, sięgnąć ledwie myślą mogłem. A byłem dumny, upartym byłem... odmowy znieśćbym łatwo niepotrafił. Po co więc takie szaleństwa. A jednak... myśl wracała — Bilińskiej miałem pełno wszędzie — to mogło się źle skończyć.

Ona nie myślała o mnie, nieprzeczuwała — skądże znowu. Widziałem zresztą niedawną jeszcze jej żalobę, żalobę ciężką, dziwną — po ojcu nienosi się takiej — tam było coś innego z pewnością... Odżywała wprawdzie powoli, pogodniejszą była teraz, niż kiedy ją poznał. Myśleć jednak chyba niemogła o mnie — o nikim może. A gdyby jednak... i strach mię ogarniał i myśl wracała uparta, natrętna... Rozjaśnić zagadkę. Jak?...

Przypadek najzręczniejszym często swatem.

Z Montmorency na Wawel idą zwłoki Mickiewicza. Kolonja polska cała, całe Montmorency, delegacye z kraju, francuskie, wielu Polonofilów z Paryża zgromadzeni na cmentarzu. Rozpoczyna się ceremonja, jedenaście długich, wzniosłych, pięknych mów wygłoszonych ustami Asnyka, hr. Koziembrodzkiego, Renana Ernesta i innych przebrzmiewa nad grobem Wieszcza — przebrzmiewa bez głębszego echa. Moja, najmniej doniosła, to też najkrótsza na posiedniem słusnie wypadła miejscu — mam mówić ostatni. Mam mówić pierwszy raz w życiu zresztą publicznie, mówić od Litwy. Onieśmielony, niepewny siebie muszę jednak — zdecydowało się to już na cmentarzu, ja napisałem tylko mowę — mówić miał kto inny. Wchodzę na estradę, zaczynam. Wkrótce przerwać muszę zdziwiony, zaniepokojony szmerem, głosami wznoszącemi się jedną wzbierającą wokoło mnie falą. Spoglądam

dokoła — tłum płacze — cała ta wielotysięczna massa mężczyzn i kobiet płacze głośno...

Mrowie przebiega mię od stóp do głowy, lecz kończę krótką swą mowę, schodzę z mównicy.

„Coś pan im powiedział?” — rzucili się do mnie z pytaniami nieznający mowy naszej reporterzy Francuzi, coś pan powiedział, dlaczego płaczą?

Byłem w kłopotcie.

Albo ja wiem? Mowa moja niezawierała nic smutnego — przeciwnie, była krótka, lecz jędrna. To nie mowa, lecz nastrój, co płacz wywołał sądzę. Ludzie ci musieli dziś płakać. Niewiem zresztą.

Przystępuje Asnyk, hr. Koziembrodzki, ściskają mi rękę, patrzy na mnie dziwnie nieco szklistém okiem swoim Renan. Anna Bilińska się zbliża — w gorących słowach wieszkuje, wraz z reporterami Francuzami towarzyszy mi na dworzec kolei — jedziemy razem. Jestem odurzony nieco, niejasno zdaję sobie ze swego stanu sprawę. Lecz wkrótce znowu myśl ta szalona: powiedz jej wszystko, powiedz dziś, koniecznie, zapytaj — jutro już zapóźno... teraz, zaraz...

I zapytałem... w drodze z kolei do domu, przed drzwiami już nieomal pracowni.

Nie obraziła się, niezdziwiła się nawet.

Pan może czekać?

Z nadzieją?

Tak..

Ucałowałem jej rękę, zbiegłem ze schodów, wypadłem na dziedziniec — byłem pijany, powietrza mi brakło.

Kazała mi czekać dwa lata.

Przed ślubem powiedziała mi o Grabowskim wszystko — nie miała nic do ukrywania.

A jeżeli niebędzie z tobą szczęśliwa, jeżeli zawiązesz jej drogę, mózg sparaliżujesz i rękę? Co zrobisz? Jak rozerwiesz więzy i uwolnisz ją od swojej osoby?

Nad tem również dwa długie myślałem lata. Nieprzewidziałem, niestety, tego, co pisanem było...

.

Niewzłocznie po ślubie mieliśmy udać się do kraju, do którego ja po dziesięciu latach już jako Francuz poraz pierwszy wracać ryzykowałem i do którego oboje byliśmy stęsknieni. Wszystko zdawało się zapowiadać jak najlepiej na tym tu bezwolnym, bezradnym świecie. Lecz tam gdzieś w mrocznych wertepach Erebu trzy złowrogie dziewice przeznaczenia snuły już swe plany, a nieubłagana Atropos o jedną ze skał nadbrzeżnych Acheronu wygładzić usiłowała zardzewiałe ostrze poszczerbionych nożyc. Niełatwo bowiem śmiertelnikowi porwać bogom źdźbło wiecznego ognia i wbrew zazdrosnej ich woli niecić na ziemi świetne ogniska. A tem widocznie zgrzeszyła Bilińska. Bo w duszy jej drzemały oddawna nieurzeczywistnione dotąd zamierzenia, myśli niewszystkim dane, bo niezawsze z ziemi tej czerpane, choć nieraz widokiem chmurnego nieba roześmianych w słońcu łąk i pól, lub nawet niedoli i zmagających ludzkich zbudzone, a piękno i dobro na celu mające. Myśli te często w formę smętnych dum ukraińskich bezwiednie obleczone i w chmurnym krajobrazie Podola, pod posępem Ukrainy niebem się rozsnuwające, niedawały spocząć artystce. Rozgłos światowy, zawrotny niemal tryumfalny pochód na arenie sztuki, niebyły zdolne uspić, otumanic artystki. Czula ona w duszy niezaspokojone dotąd dążenia, szeptali o nich profesorowie, badawczemu oku których udało się uchylić zasłonę, za którą kryły się zasoby twórczego jej talentu, dopominała się o nie wreszcie krytyka. Po długim przygotowaniu postanowiła Bilińska odezwać się na nawoływanie. Dotychczasowe trudy i wysiłki, zmagania wszystkie zdobyw-

cze w promieniach gwiazdy, która zdawała się przyświecać jej talentowi od pierwszych przejawów jego, uważała ona jako środek tylko, jako narzędzie, którym utoruje sobie dalszą drogę. Teraz dopiero, władając techniką doprowadzoną zdaniem wszystkich do szczytu doskonałości, sięgnie ona wgląd twórczej swej duszy, tajone w niej oddawna, w dziecinnych już niemal latach wysnione i przeczone temata mocarną tym razem ręką do życia powoła, w bogate przez poezję i sztukę tkane ustroi je szaty i w imię piękna, dobra i prawdy na forum świata postawi.

Takie myśli kłębiły się oddawna w bujnej głowie artystki. Podsycali je profesorowie powtarzając, że od niej mają prawo oczekiwać wiele. Wiedziała, czuła prawdę ich słów Bilińska sama, w skromności swej nieodważała się jednak liczyć zbyt na siebie, ambicyj swych posuwać zadaleko może — musiała upewnić się pierwaj co do istotnej swej wartości. Dziś przeszła próbę — wiedziała — miała prawo sięgnąć po laury dla przeciętnych techników już niedostępne.

Salon Paryski 1892 r., pochlebna i życzliwa zawsze, a otwarta jednocześnie i szczeraj, lecz tym razem nadąsana niejako krytyka wystawionego tam „Si j'étais le Gouvernement” przechyliła szalę. Poznała artystka, że czas już, że dłużej zwlekać niema już prawa. Decyzja była powzięta.

Odtąd Bilińska poświęcić się miała kompozycyji, by stopniując wysiłki, przejść ostatecznie do malarstwa historycznego, na które wskazywała jej dyskretnie krytyka i które oddawna pod wrażeniem może częściowo dzieł mistrza Matejki, były jej marzeniem. Szkice były gotowe. Artystka duszą całą, natura czynna, zapalna, wytrwale dążąca do raz upatrzonogo celu niezdolna była zatrzymać się w połowie drogi, przemocą bodaj napotkane na niej trudności usunąć gotowa. Toż mimo ważnej w życiu zmiany — mimo wstą-

pienia w związku małżeńskie niepomyślała o przerwie, o wytchnieniu naprawdę. Plan jej ułożony wspólnie już ze mną, wykonany miał być niezwłocznie i co do joty: oboje wracamy do kraju, jeżeli nie na stały — wątpliwy dla mnie mimo osłony świeżo przybranego francuskiego obywatelstwa, to przynajmniej na dłuższy, bo kilkomiesięczny pobyt, który artystka wykorzystać miała na studia widoków podolskich i podolskiego nieba dla projektowanych kompozycji: „Pogrzeb Dziada“, „Chłopska Dola“ i „Szpieg“, gdy tymczasem ja będę miał możliwość zapoznania się z klinikami Warszawy, z której kiedyś przez Rossyan zostałem wydalony, a może i zdecydować się na pozostanie w niej na stałe, mimo zaczętych prac naukowych w klinice Guyona, o ile czynownicze oko Hurki, Kleigelsa i Broka niedostrzeże podejścia.

W przeddzień niejako ślubu plan ten jednak uleść musiał pewnej zmianie. W ostatniej chwili przypomniała sobie artystka, że do galeryi hr. Milewskiego przyrzekła swój autoportret, który wykończonym być miał najpóźniej w Październiku. Portret ten krzyżował plany. Mijał Czerwiec. Jeżeli uda się zaraz do kraju — niedotrzyma przyrzeczenia. Na parę tedy zaledwie dni przed ślubem wyjazd do kraju zawieszonym zostaje na 3 tygodnie. Wyjedziemy do Dieppe na tydzień, po powrocie do Paryża Anna postanawia wykończyć portret i wtedy ze spokojną już głową wybrać się do kraju.

Projekt ten raz powzięty został niezwłocznie wprowadzony w czyn — częściowo jednak, niestety, tylko. Na przeszkodzie stanął ów nieszczęsny portret. Ze zdwojoną werwą rozpoczęła go artystka po powrocie z Dieppe. Lecz zaczynał się Lipiec, pobyt i forsowna praca w przegrzanej słońcem pracowni męczyły niestrudzoną pracowniczkę więcej, niż to okazać chciała. W tymże dziedzińcu, choć w innym budynku,

mieściło się wynajęte po Renanie chłodne, zacienione drzewami, a wskutek tego i wilgotne może nieco mieszkanie moje puste teraz dzień cały, w oczekiwaniu bowiem na ukończenie portretu wróciłem do przerwanej pracy w klinice prof. Guyona, niechcąc obecnością moją przeszkadzać Annie. W tém to mieszkaniu, gdy żar Lipcowy dokuczył jej nadmiarę, szukać była zwykła pod nieobecność moję wytchnienia i ochłody artystka.

Praca postępowała szybko — wyjazd wydawał się bliższym, niż początkowo myśleć było można. Portret w kilka dni był już naszkicowany, podmalowany częściowo, głowa, ta jej myśląca, pogodna, choć blada nieco zawsze głowa, o oczach, w których głębi tlały niegasnące powołania znicze, była prawie skończona, gdy nagle — bezwładna ręka uroniła pendzle...

Ożywczy chłód miłego zacisza, gdzie przychodziła strudzona pracowniczka szukać wypoczynku i ochłody krył zdradne sieci nieugiętego fatum. Nagłe przejścia od żarem ziejącej pracowni do chłodu cieniściego mieszkania obudziły dawny, przed dziesięciu laty przebyty reumatyzm. Wracając pewnego dnia z pracy zastałem Annę we łzach. Nie ból łzy wywoływał — płakała, że nie mogła dłużej malować, że wyznać musiała: od dni już paru sforsowana męczącą pozą noga bolała ją dotkliwie.

Wezwany naprędce rodak i przyjaciel Dr. Loewenhard znalazł nieznaczny obrzęk stopy, gorączkę lekką i, co gorsza, kompensowaną dotąd lecz dawną i poważną wadę serca, z której, niestety, ni chora, ni nikt z rodziny niezdawał sobie sprawy — była ona sekretem lekarza, który leczył artystkę przed 10-ciu laty. Uświadomienie o tem chorej — płonącej świętym ogniem niestrudzonej pracownicy pendzla, na bezowocność, przyznać trzeba, skazane było zgóry, wpływem na system nerwowy szkody może przynieść było

zdolne więcej, niż korzyści. A jednak kto wie... Tak płynęły lata złudnemi pozorami zdrowia, energii i siły maskując gotową katastrofę.

Przeżyte smutki i cierpienia zachwiać mogły pozory te na chwilę, temperament jednak artystki wyrównać zwykle niedobory zdołał i nikt z rodziny, z otoczenia, ze znajomych niepodejrzewał grozy sytuacji. Nieznałem jej i ja — młody lekarz upatrujący w artystce ideał kobiety nie zaś pacjentkę, związek z którą mógłby być poddany debatom. Związek ten stał się dla mnie nieprzepartą koniecznością — dyskutowanym, podanym w wątpliwości być już nie mógł. Był to zresztą związek polski — wynikiem był skłonności, nie rachuby, gdzie wszystkie atuty i wszystkie możliwości nawet przenicowane i rozważone bywają z góry. Jedno tylko pytanie, mimo szczerego jej wyznania, miałem na ustach wiecznie i nieśmiałem wy mówić go nigdy — jedno tylko — czy zapomniała?...

Wiadomością o chorobie zaskoczony byłem i... przerażony wkrótce: jako lekarz oceniłem całą grozę położenia i... byłem bezsilny. Musiałem patrzeć, wiedzieć, myśleć i niemogłem nic... Do leczenia nawet mięszać się niewolno mi było — uciekałem od konsyljów, które odbywały się bezemnie.

Anna niezdawała sobie sprawy. Parokrotnie, w początkach, korzystając z chwilowej nieobecności mojej, znudzona bezczynnością, a parta niepoahamowaną żądzą dalszej pracy, zrywała się z łóżka, by za chwilę uronić pendzel z bezsilnej ręki.

Pod nieobecność światowej wówczas sławy profesora Potain'a zawezwany prof. Débove wraz z Dr. Loevenhardem a ze zmiennem szczęściem prowadzą leczenie, które inną chorą zdolne byłoby może postawić jeszcze na nogi, bezsilnem okazało się jednak wobec temperamentu Anny: przymusowa bezczynność, niemożność pracy, nieodzowność zupełnego spokoju

trawiły chorą, z każdym dniem silniej rozstrajały nerwy — zabijały artystkę.

Oddawna z utęsknieniem oczekiwany Prof. Potain przybył wreszcie, znalazł, że w tem środowisku, w otoczeniu płócien i narzędzi pracy niepodobna marzyć o poważnej poprawie. Postanowił też zmianę stanowczą w tym względzie, decydując wyjazd do Warszawy.

Późno już, niestety, było widocznie. Podróż, mimo wielkich z mojej strony obaw i mimo trudności, jakich przyczyną była panująca podówczas w Niemczech i Rosyi cholera, odbyła się względnie znośnie. Ożywać zdawała się chora, spoglądając z okna pociągu na mijane krajobrazy, zachwycała się kolorytem jesieni. Po przyjeździe jednak do Warszawy, mimo wysiłków czterech przyjaciół-lekarzy: Prof. Baranowskiego, Doktorów Dunina, Pawińskiego i Sommera rozstrój nerwowy, a z nim i beznadziejny stan serca potęgowały się z dniem każdym. Sześć długich, ciężkich miesięcy walczyła z przeznaczeniem artystka — sześć miesięcy katuszy. Ah, co ja przeżyłem wtedy!...

Patrz, czy ta ręka będzie kiedy wstanie kierować pędzlem? Taka ręka?... mówiła mi przez łzy biedna Anna, wyciągając wychudłą, mimo obrzęku, bladą, bezkrwistą, przezroczystą rękę.

Ah, gdyby mi został pastel bodaj jeden! oddałabym już olejne..." wzdychała innym razem. „Nie, nie! niepodobna — wybór byłby nad moje siły!“ dodawała po chwili z wybuchem płaczu.

Nieprzewidywała na szczęście, z jaką szaloną siłą słaba ta, wynędzniała ręka targała mém sercem, gdy ja, mąż-lekarz, wiedząc wszystko, bezsilny — musiałem się uśmiechać!

Jak wytrzymałem te wstrząśnienia — sekret to mojej na wszelką wówczas próbę organizacyi. W późniejszym jednak okresie, mimo wysiłku, objawów rozstroju nerwowego własnego opanować i ukryć nieby-

łem już w stanie, a oznaki jego zaniepokoiły biedną chorą, nowej dodając jej troski. Wtedy jeszcze bronić mię usiłowała przedemną samym, rady mi dając, napędzając do szukania rozrywek i zmiany myśli. Ja bowiem żadnych już wtedy nie miałem złudzeń, wiedziałem wszystko, wiedziałem napewno i, wiedząc, śmiać się musiałem, o szaleństwo!...

Niepodejrzała, na szczęście, stanu swego biedna Anna — mimo oczywistości łudziła się do końca. I za to jedno niech będą Wszechmocnemu dzięki.

Dźwiękiem też krew w żyłach ścinającym rozbrzmiał w fatalny ów dzień głos jej, dwukrotnie powtarzający imię moje, jakby wołaniem grozy, rozpacz — było to pierwsze i ostatnie. Skoczyłem do niej... i nic już potem... I opadła bezsilna głowa... Cisza po tem wołaniu nastąpiła martwa, mroząca — i trwa dotąd... i te oczy patrzą na mnie jeszcze...

Sam z nią byłem — byłem już bez niej...

Dał mi ją Bóg, lecz niedoceniłem daru—i poszła...

Krzyk ten rozpacz niósł w sobie koniec cierpień i koniec wszystkich wysiłków i dążeń szlachetnych — po nim została tylko martwota...

Warszawa uczciła godnie zwłoki artystki — wyległa cała.

Na czwarty dzień, gnany przez Hurkę, jechałem do Francji, skąd wkrótce do Meksykańskiej zdążyłem Kalifornii wśród Czerwonoskórych szukać źdźbła współczucia, którego Moskałom zabrakło.

Na Polach Elizejskich w Paryżu, w Salonie Sztuki w kwietniu tegoż roku zjawiła się młoda dziewczyna

o bladej twarzy, w czarnym stroju, czarnym cienistym kapeluszu, z białą tylko na szyi kokardą. Smutna była i wszyscy patrzyli na nią ze współczuciem. Sama przyszła tylko, jedna — innych tym razem nie było obrazów Bilińskiej. Strój tej dziewczyny, jak i układ cały owiany był żałobą: ta, czyjego pendzla dziełem był portret tej młodej osoby, była daleko — była już między ziemią a niebem .

Wkrótce na ramie obrazu zawisł posepnie szmat krepy.

Anny Bilińskiej nie było...

A teraz pytanie: czy to, co tu dotąd powiedziane daje pojęcie, kim była Bilińska? Kim była jako człowiek, jako Polka, jako artystka?

Sądzę że tak. Dziennik jej, jej listy, pośmiertne odezwy prasy dostateczną, zdaje mi się, dają odpowiedź na dwa pierwsze pytania; krytyka, recenzje pism i prace pozostałe po niej — na resztę.

Był to umysł niepospolity, jasny, krytyczny, szerokie ogarniający horyzonty, dusza wrażliwa, szlachetna, wzniosła — prymitywna niejako dusza wysoką uszlachetnioną kulturą, bo takie tylko prymitywne, bogate w zasoby dusze pod oschłym często dotknięciem kultury zachować całą swą młodość, świeżość i wydajność są zdolne. Był to duch tych stepów, wśród których artystka światło ujrzałaienne i od których zapożyczyła dech ich potężny, całą ich dal bezmierną i całą podniosłą a smętną poezję.

Polką była. Każdy cel polski liczyć mógł zgóry na udział jej i przyczynek. Oburzała się, gdy ktoś z kolegów celowo, czy wskutek zaniedbania nie zaznaczał na wystawach zagranicznych dostatecznie swej od na-

rodów zaborczych odrębności. Nielubiła Waliszewskiego, gdyż pisał pochlebnie o Katarzynie II. Żal czuła do Leona XIII za order udzielony Bismarckowi. Ćwiczyła się gorliwie w strzelaniu z pistoletu i doszła w niem do znacznego udoskonalenia — stąd obecność w pracowni owego Flober'a, który posłużył przynajmniej do nastraszenia Apasza. „U nas jeszcze będzie powstanie” — odpowiedziała mi ze znaczącym spojrzeniem, gdy pewnego razu zapytał o cel tych ćwiczeń. Nie odważyłem się nawet uśmiechnąć — odpowiedzią byłem rozbrojony.

Kim była jako artystka — odpowiedź trudniejsza dla mnie. Znawcą nie jestem. Prócz opisów wrażeń przygodnych korespondentów prasy, prócz znajomości autorki i dzieł jej — źródeł żadnych nie posiadam — nikt bowiem dotąd niezadał sobie trudu bliższego poznania dzieł tych i ich oceny, choć w swoim czasie była to bezwątpienia największa artystka świata (kobieta). Zastrzedz się tedy muszę — dyletantem jestem.

Pewnego jednak razu na wyspie Oleron Bilińską, zajętą błyskawiczem na jej sposób narzucaniem na płótno widoczku morskiego, otoczyła grupa rybaków, przypatrując się z ciekawością rodzinom olejnego obrazka. Podobało się to im, chwalili, półgłosem robili nieśmiałe uwagi.

„Oho, ozwał się naraz głośniejszy jeden, gdyby to nasze słupki nadbrzeżne tak były grube — nigdyby nam morze niezabierało łódek!”

Uśmiechnęła się Bilińska. Spostrzegła, że słup przeznaczony do przyczepiania łodzi, a który właśnie jednym pociągnięciem pędzla w piasek nadbrzeżny swego morza wkopała, wypadł istotnie za potężny nieco. I poprawiła przedmiot krytyki.

To mnie ośmiela. Spróbuję i ja tedy. Ocena jednak moja może mieć wartość uwag zostającego pod

wrażeniem zjawiska wieśniaka — dalej nie idą pretensje moje.

Różnie mówili krytycy współcześni. Niejednokrotnie porównywali Bilińską z Holbeinem, z Franzem Halsem, z Andrea del Sarto.

Jeżeli sięgać już tak daleko, to faktem jest, że jej potężne, śmiałe, często jakby od niechcienia rzucone, szkicowe dotknięcie pędzla w mniejszych szczególnie, szybko wykonywanych portretach, głębia cieniów i wyjątkowa wprost zdolność chwytania życia, charakteru, w lot, na gorącym że tak powiem uczynku, zbliżają ją do Halsa. W żyłach jednak Bilińskiej płynie krew karmazynowa. Ztąd też zalety Halsa umie ona połączyć z wytwornością, dystynkcyą i szlachetnością Velasqueza. Mimo to siłą, brutalnością w potrzebie pędzla przypomina nieraz Bonnat'a, gdy czystością rysunku nieustępuje profesorowi swemu Bougereau, choć pozatem niczem go nieprzypomina. Bo zresztą nie naśladuje nikogo — za potężny to talent. Posiada technikę, pozwalającą jej ważyć się na wszystko — to też bawi się pędzlem, pokazuje, że gdy zechce, potrafi to co i inni, ślepą naśladowniczką jednak nie zniży się być niczyją — ma własną indywidualność, własny duch twórczy, który na naśladownictwo jej nie pozwala — jest sobą. Kobieta jest jednak, toż harmonją, bogactwem kolorytu, subtelnością odcieni bije wszystkich, kłam zadaje nawet odwiecznej maxymie o niewdzięczności w malarstwie szarych tonów, ich właśnie nierzadko cieniowaniem niesłychanie wywołując efekta (patrz jej portrety własne, jej kwiaty, jej chmurne widoki morskie). Na palecie swojej wszystkie ma granity i puchy wszystkie i wszystkie przezrocza. Tu mocarną dłońią żłobić zda się w twardej kamieniu lub spiżu, (patrz Wieśniak Polski, portret Geo Barnard'a) tu lekkim podmuchem owiewa kwiatów delikatne listki lub dziewiczych powłok

przezrocza, tu zdumiewa siłą kontrastów, tam pieści, roztkliwia symfonią nieuchwytnych odcieni i tonów — igra z duszą widza, przykuwa, rozczula zachwyca. A we wszystkim uwydatnia się duch jej twórczy, przegląda z pozy, z wyrazu, z oczu modeli, z obłoków chmurnego nieba, z drgań atmosfery zachodów i brzasków. Dlatego Anglicy odnajdują w oczach jej modeli cechy obrazów Andrea del Sarto, dlatego w portrecie stanęła tak wysoko — nikt jej nie prześciga.

Cecha jej główna jednak, zasadnicza, wyróżniająca ją najwyraźniej od wszystkich, w portrecie uwydatnić się może mogła z mniejszą dla widza jasnością — model w portrecie gra główną bądź co bądź rolę. Cechą zaś główną Bilińskiej był jej nastrój, jej poezja. Uwydatnić się one mogą w pełni tam, gdzie model schodzi do podrzędniejszej roli, służy jedynie do uplastycznienia sentymentu, myśli autora jak to ma miejsce w pejzażach, widokach morskich, kompozycjach zresztą. Pejzaże też jej, widoki morskie były niejako objawieniem. Zwała je skromnie „Pochades“ (szkice, próbki). Rzadko, nigdy prawie nie planowała, nie obmyślała ich z góry. Uderzył ją nagle podczas przechadzki nastrój jakiś — chwyciła pendzel i momentalnie, zanim widok zdołał się zmienić przenosiła go na płótno, w pośpiechu znacząc często tylko główny, środkowy lub boczny pas jego, resztę utrwalając w pamięci dla późniejszego dopełnienia. Trwało to często 10 — 15 minut zaledwie i już wszystko w naturze było inne. Rzadko też wracała dwa razy do tego samego tematu. Nie mówiła: ładne drzewa, ładne chmury, piękny księżyc — mówiła wymaluję las, zachód słońca, wschód księżycy, deszcz na morzu, czyli wszystko, co na to się składa — nastrój. Nienazywała też widoków tych inaczej, jak „pochades“, lecz próbki te, te notatki były prawdziwymi „Im-

promptus" — dziełami sztuki, gdzie w całej pełni i świeżości uwydatniał się duch artysty, nastrój, gdzie oddzielnie brane drzewa, woda, słońce, xiężyc zaledwie często były naznaczone, bo podrzędna tylko każde z osobna grały rolę, gdyż chodziło o całość, o jej wrażenie. Prostemi notatkami jednak widoki te nie były również — były to rzeczy skończone. Niechby spróbował ktoś dodać tam coś, zmienić, wykończyć — rzecz to nie do pomyślenia. Dlatego dąsała się nieraz krytyka, że arcydzieła te nazywa tak skromnie, dlatego pisała, że są to „cudne marzenia, symfonje tonów, okna na morze, na zachody słońca, na wschody xiężyca" — poezya.

I były tém one. Pejzażami w utartem znaczeniu słowa nie były wcale, nie były zdjęciami drzew, chmur, morza — miały coś więcej. Nie były też tworami Monachijskiej szkoły, gdzie natura małą gra rolę. Owszem, natura ta, prawdziwa, szczerą zawsze była główną ich podstawą, tylko owiana twórczym duchem, pod kątem widzenia twórczyni oddana. Toż mimo swej skromności uderzały widza, przejmowały go poezją artystki, przykuwały na miejscu i marzyć mu z nią kazały — zdziwionym był, nie spotkał dotąd takich — oryginalne były, silne, a tak proste.

„Breton tak długi i tak czarny jak oczekiwanie samo stoi tam na brzegu morza i czeka — pisze p. E. M. w dzienniku Stephanois o jednym z tych pejzaży. — Morze czeka również... i ja czekam i wracam od czasu do czasu przed ten obrazek, żeby zobaczyć, czy nie zaszło coś nowego!"

Podobne wrażenie wywiera pies siedzący we drzwiach kabiny z parasolką artystki w zębach tyłem zwrócony do widza, w rozplakane wpatrzony niebo, — oczekujący aż deszcz minie.

Patrząc na widoczek Portu w La Rochelle, przedstawiający skupione jak stado wystraszonych ptaków

i przytulone do muru pod osłoną wieży nadbrzeżnej łódki rybackie, czujesz zdaje się jak drżą z przerażenia te łódki, choć burza daleko jeszcze. Niepokój i trwoga udziela się tu patrzącemu z taką siłą, że usłyszysz, zda mu się, lada chwila znamienny świst wichru, ujrzy grzbiet spieniony rozhukanej fali, która runie z furją na nieszczęsne łódki. Takież wrażenie trwogi wywołuje pejzaż morski „Groźne niebo” własność Zygmunta Bohdanowicza.

Skały nadmorskie Bilińskiej (parę zaledwie exemplarzy) to epopeje, Noce nad Morzem, Wschody Xiężycy (również dwa tylko — własność dr. Bohdanowicza) — to nokturny. Wiele z nich pozostało bez podpisu, niestety.

Nie w widokach jednak tylko uwydatnia się ów nastrój z taką przejmującą siłą. Spójrzmy na portret panny R... w żałobie (własność hr. Milewskiego), na Portret Własny (Sukiennice), na ostatni Portret Własny niedokończony w Zachęcie (własność dr. Bohdanowicza), na portrety: hr. de Veauréal (Paryż, Saint Cloud), Geo Barnard'a (własność p. Corning Clark'a, Ameryka), pani Martin (Tarare pod Lyonem) pani Vadon (własność tejże, Chateau de Carillon à St. Nizier par Pouilly s. Charlieur, Loire), portret rodziny hr. de Franqueville (Melun pod Paryżem), Portret Własny w stroju Ukraińskim, pastel (własność Grosvenor Gallery, London), Żałoba, pastel (tamże) Matka z dzieckiem, pastel (własność hr. Przeździeckiego w Warszawie), Chłop Polski, Pastel (wł. p. Rau, Warszawa), Głowa Chrystusa (ofjarowana Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, dziś Galerya Mielżyńskich podobno). „Da mi un Soldo”, studjum, (wł. D-ra Bohdanowicza), Ulicznik, Studjum (galerya Stefana Elissiewa, Petersburg), Holownik, studjum (wł. p. Jerzego Goldschmidt-Antoine Poznań, studia: Inkwizycya, Wyświecanie, Pogrzeb Dziada, Chłopska Dola, Szpieg,

(własność D-ra Bohdanowicza) i cały szereg innych studyów, których 14 wraz z 8 medalami i jednym orderem artystki złożyłem w Muzeum Narodowem, kilka innych, jakoteż pozostałych parę medali w Tow. Zachęty Sztuk P. w Warszawie.

Prace te różnią się od wspomnianych wyżej widoczków — produkcyi ostatniej epoki sposobem wykonania, jak różnią się nim i zainaugurowane w ostatnich już czasach w celu, zdaniem mojem, uwydatnienia nastroju z większą jeszcze siłą małe rozmiarami i 2 lub 3 zaledwie godziny pozy wymagające portrety. W ten sposób, sądzę, zapewnić artystka pragnęła nietykalność raz ujętego nastroju. Tak przyszły na świat portrety: Paderewskiego (wł. p. Kościelskiego), Wiarusa Kozikowskiego z 1830 r. (wł. p. Gąsiorowskiej), Xiężny Gh... i D-ra B... (dwa ostatnie wł. D-ra Bohdanowicza). Są to wszystko małe arcydzieła, trzy pierwsze szczególnie, z których portret Paderewskiego wykonany w dwa seanse po godzinie każdy, Kozikowskiego w trzy.

Warunkiem nieodzownym prac tego rodzaju widoków w stopniu wyższym niż innych, jest szybkość. Szybkość jednak niewystarcza sama. Aby pozwolić sobie na takie rzeczy, trzeba posiadać technikę Bilińskiej, jej poczucie kolorów, jej błyskawiczną zdolność chwywania natyry i jej poezję. W nich też najbardziej, zdaniem mojem, ujawnia się poetyczna natura Bilińskiej, przez nie przegląda cała jej dusza, choć przegląda ona z każdego jej płótna, z każdego szkicu, z każdego najdrobniejszego bodaj rysunku, których zostawiła tyle. Była ona par excellence malarzką nastroju.

Niedarmo też Anglik w sonecie swoim zwraca się do artystki ze słowami:

*„Ty, której z wyjątkowej Wszechmocnego łaski
Chwytać w lot nieuchwytnie dano ranków brzaski”...*

i grać nimi na duszach Anglików nawet, jak na strunach posłusznej harfy, niepokoić, przerażać, kołysać, zachwycać, kazać tęsknić i boleć i czuć się nierozzerwalną natury obserwowanej częstką.

To też dróg swych daleko nieszukała Bilińska, niemyślała natrafić na nie przypadkiem w impressywnizmach, independentyzmach, inkoherentyzmach, kubizmach i innych schyzmach, które się właściwie rodziły wtedy. Wiedziała, że są to tylko środki, środeczki, zbyt często służące do pokrycia beznadziejnej nieudolności. Szła drogą prostą. Słusznie też powiedział później Czesław Jankowski: „jak śpiewała Gabryela, jak pisała Konopnicka — tak malowała Bilińska”. Niepytała czy jest zdolną — wierzyła, czuła, wiedziała o tem, siły mierzyła na zamiary, pytała tylko, czy dosyć już umie. Bo myśl jej szersze obejmowała horyzonty, głos wewnętrzny pędził ją dalej. Wreszcie bogato uzbrojona we wszystko, co technika i praca dać mogą, sięgnąć postanowiła po urzeczywistnienie od lat wyśnionych marzeń. I wybrała się w drogę. Śmierć brutalna, bezlitosna, głupia, stanęła na jej drodze...

* * *

Wyjątki z niektórych odezw pośmiertnych.

Biesiada Literacka, Kwiecień 1893 r.

Czemuż życia ludzkiego niepodobna okupić, jak się cłem okupuje towar zagraniczny, jak się okupuje podróżny napadnięty przez opryszków. Hojny moglibyśmy dawać okup śmierci, która zabiera nam osoby

drogie, a dla ogółu pożyteczne. Nietargowalibyśmy się o cenę, gdyby szło o taki charakter, tak silną wolę, taki zapał i wiarę w to, co piękne i szlachetne, jakie posiadała s. p. Anna Bilińska, artystka malarzka, żona D-ra Bohdanowicza. Nie o jej wielkim talencie chcę mówić — była ona głośną wśród nas i zagranicą... przypominam sobie artystkę tak żywo, jakbym ją miał przed oczyma siedzącą na krześle w naszej redakcyi. Inne tylko miała ubranie, lecz jak na obrazie skromne, powszednie, niczem niewyróżniające się od szarego tłumu... W tem ubraniu pospolitem śmiało stanęła wśród wielu pań odzianych we wszystko, co podnosi piękność kobiety i zachwyca oczy gustownym zbytkiem. Oczy publiczności, zwiedzającej Salon Paryzki, prześlizgnąwszy się po portretach arystokratek i plutokratek, zatrzymały się na portrecie biednej artystki i, wraz z sędziami, koronę konkursową jej przyznały... Ujmowała odrazu spojrzeniem szczerem, twarzą pogodną. Przybyła do naszej redakcyi dla wręczenia fotografii i rzeźby Marcinkowskiego przedstawiającej Zosię z Pana Tadeusza. Zawiązała się rozmowa. Gdym artystkę zapytał, czy się nie boi w Paryżu sama, zdala od rodziny, bez opieki — śmiejąc się wzruszyła ramionami i z dziecięcą naiwnością spytała: „Czegóż ja się mam bać?” a zaraz poważniej dodała: „przecie pracuję”.

W pracy była jej broń cała przeciw wszelkim niepowodzeniom... Patrząc dziś na jej arcydzieła malarskie, powiadam: to artystka! a wówczas słuchając jej, powiedziałem sobie: to kobieta!

Czyś to pan kupił moją dziewczynę z grzybami?” zapytała, powstając z krzesła i podając mi rękę...

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

Dziękuję panu, żeś zauważył pracę moją elementarną...

Ale która zdradzała już talent pierwszorzędny -- dodałem bez pochlebstwa.

Czy pierwszorzędny, to niewiem, ale niezamarnuję tego, co mi Bóg dał. Dziękuję panu za protekcję.

Roześmiałem się, bo na żart wyglądało to podziękowanie.

Niech pani nie żartuje z biedaka, który zdobyć się może tylko na kupowanie obrazków bardzo tanich.

Ale dałeś mi pan dużo pociechy w samotni mojej, gdym się dowiedziała, że obrazek kupiony nawet bez targu o cenę.

Była bardzo niską...

Dla mnie jednak bardzo wysoką... obrazek z nieśmiałością oddałam na wystawę Tow. Z. S. P. Pozwoli pan, żebym dziewczynkę moją jeszcze kiedy zobaczyła, ona mi wiele przypomni...

Uścisnęła mi rękę... pożegnaliśmy się — do widzenia. Ale już nigdy jej nie spotkałem.

I dziewczynka, którą chciała jeszcze raz zobaczyć, już się swej mistrzyni niedoczekala!

Sęp.

Tygodnik Illustrowany, 15 kwietnia 1893 r.

W dn. 8 b. m. zmarła w mieście naszym młoda, pierwszorzędnym talentem obdarzona malarka.

Obrazy jej, głośne u świata, rozstawiły malarstwo nasze zagranicą, talent niepowszedni rozległej skali wiódł ją na wyżyny artystycznej twórczości, dostępne dla niewielu.

Dzieląc się dziś z czytelnikami naszymi tą żalobną wiadomością, tą wielką stratą... w dniu jej pogrzebu, hołdu i sławy dobrze zasłużony wieniec składamy na jej Powązkowską mogiłę.

Szanowny Panie Redaktorze.

Chciałbym znaleźć się w liczbie tych, którzy pragną uczcić pamięć zawczasie zgasłej Anny z Bilińskich Bohdanowiczowej. Annę Bilińską poznałem w Paryżu. Widziałem, jak o głodzie zdobywała potrzebne wiadomości... Zawsze skromna, wymagała od siebie dużo i coraz więcej. Była to dusza wielkiej mocy, obdarzona nieograniczonym zapałem i miłością prawdziwej sztuki. Dla niej wyrzekła się wszelkich wygód, często zapominając o koniecznych potrzebach życia.

Jak zwykły robotnik Paryzki późnym dopiero wieczorem, zmęczona, sterana wracała do swej pracowni przy ulicy de Fleurus. Mimoto była zawsze pogodna i niełatwo było nieraz odgadnąć, z jakim trudem zdobywać musiała chleb codzienny.

Talent jej potężniał stopniowo... Szkoda jej, bo pewne strony doprowadziła do doskonałości. W portretach zwłaszcza przewyższała wielu malarzy, uważanych powszechnie za najlepszych... tem większa cześć należy się od nas tej prawdziwej męczennicze i kapłance sztuki.

Józef Chelmoński.

Kurjer Warszawski, 12 Kwietnia 1893.

...Bilińska... brała jedno za drugim odznaczenia... Wreszcie na Wystawie Powszechnej w r. 1889 medal 2-ej klasy. Jest to najwyższa nagroda, o jaką artyści ubiegać się mogą... Paryż nie był jej jedynym polem zwycięstw, gdyż zdobywała medale i na różnych międzynarodowych wystawach sztuki... imię jej było najpopularniejsze i każda młoda panienka, która z bijącym serduszkiem postanowiła obrać sobie malarstwo jako poważny cel życia, każda niemal szepta-

ła jeden i ten sam frazes: „pragnę dojść do tego, co Bilińska”...

Aby dojść do takich rezultatów, trzeba było posiadać zjednoczone: prawdziwy talent z silną wolą, i hartem ducha, jakie rzadko w kobiecie napotkać można.

Przy tych cechach charakteru posiadała obojście łagodne i słodycz prawdziwie kobiecą. Bez cienia zarozumiałości, z całym zaufaniem przysłuchiwała się i prosiła o uwagi kolegów znacznie mniej zaawansowanych. Żadnej pretensyi do modnego emancypowania się! Stała się sławną artystką, pozostając zawsze miłą i bardzo sympatyczną kobietą. Prace wskazywały, że Bilińska znajdowała się w fazie ciągłego udoskonalenia.

...Bilińska nietylko artystką była wybitną. Zdobyla sobie powszechny szacunek, przyjaźń i sympatyę wszystkich... Domu jej w Paryżu nieominał żaden z artystów polskich... W artystycznym kółku była prawdziwie „dobrym kolegą”, uczynna, zawsze chętna do oddania przysługi i okazania pomocy. Gdy szło o jaką sprawę ogólną, do niej się zwracano, wiedząc, że każda poczciwa myśl znajdzie w niej gorliwą orędowniczkę, a gdy chodziło o ulżenie niedoli — dawała trzy i dziesięć razy więcej, niż ludzie, uchodzący za bogatych.

W każdym wypadku umiała zachować takt i powagę, nakazującą szacunek, a połączoną z wyjątkową rzeczywiście prostotą i naturalnością obojścia...

Znika nam postać całkiem wyjątkowa, typ młodej kobiety, która wzorem dla innych być powinna.

Dziś, gdy się ziemia zamknęła nad jednostką tak wszechstronnie od natury obdarzoną, nad kobietą tak wyjątkową, tak zasługującą, aby stać się wzorem, wyszeptajmy: „niech ziemia będzie jej lekka...”

Antoni Austen, art. mal.

Kraj, Petersburg, Kwiecień 1893.

Wcześniej schodzi ze świata, ale też wcześniej stała na wyżynach. Złoty medal zdobyty w Salonie Paryzkim zwrócił na Bilińską oczy całej Europy i uczynił odrazu gwiazdą pierwszej wielkości. Warszawa, jak często zresztą, dowiedziała się z dzienników Paryzkich, że ma genialne dziecko, którym też na wszelki sposób pysznić się począła...

Cokolwiek bądź, wszyscy dziś przyznać muszą, że straciliśmy artystkę znakomitą, talent pierwszorzędny i rzeczywistą „chlubę kraju” — straciliśmy przedwcześnie, w najpiękniejszym rozkwicie sił i zdolności...

Urbanus.

Gazeta Polska, 10 kwietnia 1893.

...Ci tylko, którzy pracowali na niwie sztuki w stolicy Francji, co wiedzą, jakie trudności ma każdy cudzoziemiec w zdobyciu sobie jakiegokolwiek stanowiska, mogą zdać sobie sprawę z przeszkód, jakie nasza artystka zdołała usunąć, z walk, jakie staczać musiała! Wśród massy najrozmaitszych żywiołów artystycznych, wśród wybrednej i wyrafinowanej publiczności — zdobyć może tylko talent i to talent wyjątkowy...

Najlepsze dzieła Bilińskiej pozostaną nazawsze we Francji ukryte w zamkniętych pałacach „du Faubourg St. Germain” lub w wspaniałych salonach mieszkańców „des Champs Elysées.”

Spółeczeństwo, które z łona swego wydało artystkę, zapoznało się z jej działalnością naprzód z rozgłosu jaki wywołały występy jej w Paryżu.

Ze śmiercią Anny Bilińskiej zgasło istnienie poświęcone sztuce czystszej, jasnej...

Ubył nam wielki artysta.

Henryk Piątkowski.

Kurjer Warszawski, 11 kwietnia 1893.

...talentem i wytrwałością zdumiewała niejednego ze swoich towarzyszy, niosąc im zawsze radę i pomoc.

Tracimy w niej również zacną kobietę, która dobrocią charakteru i szlachetnością serca umiała zjednać sobie wszystkich, ktokolwiek miał sposobność znać ją bliżej....

Była to kobieta niepospolitych zalet umysłu i serca...

W uznaniu znakomitego talentu i wzniosłych czynów nie tylko dla kolegów, lecz dla wszystkich potrzebujących pomocy, kreślę tych słów kilka żalu, jaki pozostawia po sobie.

Felix Cichocki, art. mal.

Tygodnik Ilustrowany, 22 Kwietnia 1893.

Dwa lata temu w dniu otwarcia Międzynarodowej Wystawy w Berlinie biesiadowaliśmy wesoło w osób półtorasta w wystawowym parku. Towarzystwo rozbiło się na 'koła... W grupie, w którą mnie los rzucił nieręczę, czy były dwie osoby jednej narodowości. Już sam rej wodzący język francuzki znamionował, że utworzyła się pstra międzynarodówka. Dwie sale wypełnione pracami naszych artystów sprawiły najdoskonalsze wrażenie. Mówiono o nich wiele... Przez długą chwilę latały z ust do ust w grupie naszej nazwiska Matejki i Brandta, Bakałowicza i Chełmońskiego, Siemiradzkiego i Kowalskiego i —jakoś wracały wciąż w kółko.

A Bilińska!... wyrwał się ktoś nagle donośnym głosem.

Spojrzałem w tę stronę ciekawie. Opodał, oparty o drzewo, w kapeluszu miękkim wciśniętym na siwe kręcące się włosy, poły uroczystościowego fraka rzu-

ciwszy niedbale przez ręce w kieszenie wtłoczone stał Munkacsy.

A Bilińska... powtórzył i urwał, jakby czekał na przewidziane wrażenie.

Pamiętam, jakby to było wczora i tę momentalną ciszę i to nagłe ze wszech stron podchwycenie tego nazwiska, i zapal mówiących, i dosadność komentarzy i — moje własne zdziwienie.

Więc znali ją naprawdę ci panowie, ci koledzy? Więc istotnie ta słaba kobieta siłą jedynie talentu, pracy i żelaznej woli wybiła się z tego tłumy, co przecie nie tak łatwo daje drogę bądź komu? To jedno krótkie nazwisko wzięte gdzieś z Paryzkiej pracowni ustami, doprawdy, do pochwał nieskoręmi przyszło tu do nas jak gość i rozstąpiono się przed niem i miejsce mu natychmiast uczyniono, a tak zaszczytne, tak pochlebne, że oto dziś jeszcze, gdy o Bilińskiej pomyślę, to mi chwila ta na myśl przychodzi, jak wspomnienie miłe nad wyraz.

Życie dało Bilińskiej sławę. Wiele to, czy mało — nikt dotąd w imieniu wszystkich nierozstrzygnął. Czy ów promień sławy, który na jej imieniu pozostanie nazawsze, zadosyć uczynił za ciężką walkę o byt powszedni, za zapasy bohaterskie ze sztuką zanim ujarzmić ją zdołała ręka niewieścia?

...Piękna to postać tej umarłej w kwiecie lat kobiety, tak szczerze, serdecznie żałowanej, z czcią taką złożonej do mogiły — tak piękna, że uroku jej w oczach naszych nawet ów wawrzyn zasłużenie zdobyty nieprzysparza...

Zbyt wybitnym był talent Bilińskiej, aby mógł pójść w czyją bądź szkołę. Dojrzał i wytrawił się tylko... Już w r. 1887 daje Bilińska Portret Własny do Paryzkiego Salonu i zdobywa zań medal klasy drugiej, to jest najwyższe odznaczenie, bo idące bezpośrednio przed Medalem Honorowym...

Od tej właściwie chwili zaczyna świat artystyczny międzynarodowy liczyć się z Bilińską. Pojawienie się każdego jej odtąd dzieła notowane jest skrzętnie, a wystawy wszelkie stoją przed nią otworem...

Żadnego wywyższenia się, żadnej pozy: sama borykając się z życiem idzie wciąż naprzód i naprzód... Liczy na siebie jedynie, na własną wytrwałość i energję. Prostota, szczerość i energja, znamionujące dzielną tę kobietę odbiły się wybitnem piętnem na jej malarskim talencie... Talent Bilińskiej był przedewszystkiem męzkim. Drobiazgowego rozwodzenia się nad szczegółami w obrazach jej ani śladu, niepewności, koncesyj, paktowania z rozmaitymi względami nieznała Bilińska. Maluje silną i pewną dłonią. W dziedzinie sztuki naszej ma między kobietami dwa tylko pokrewne duchy: Żmichowskiej i Konopnickiej. Jak śpiewała Gabryela; jak pisze Konopnicka — tak malowała Bilińska. Twórczych i syntetycznych umysłów między kobietami mało... Sądząc z prób niektórych, oraz z zapewnień ludzi blisko Bilińskiej stojących stało przed nieodżałowaną artystką otworem pole kompozycyj na szeroko zakrojonych skalę; niepospolity ów talent rwał się do wielkich, skomplikowanych dzieł malarskich, łączących w sobie objawy arcyzmu z objawami niepowszedniej potęgi ducha. Ztąd, zdaje mi się, wyszło skłanianie się jej do pejzażu... do obejmowania coraz szerszego zakresu... aby, zapanowawszy techniką nad całą przyrodą, dać następnie wyraz indywidualności własnej w obszernej kombinacji różnorodnych motywów...

Sięgnąwszy okiem po całej dziedzinie malarskiej, dojdziemy aż do Róży Bonheur, nienatknąwszy się nigdzie na taką artystkę z Bożej łaski, jaką była Bilińska.

Ciekawą byłaby zbiorowa kolekcja dlatego, że znalazłyby się wśród niej i szkice i studia, i rozpo-

częte dopiero prace. Dla rozwijających się malar-
skich talentów korzystnym byłoby przyjrzeć się dro-
gom, po których szedł tak wyjątkowy talent, jak Bi-
lińskiej, a nam odsłoniłaby może inne jeszcze strony
tej nieposzredniej artystycznej indywidualności...

Czesław Jankowski.

Tak, wyjątkowy ten, zaiste talent szedł po dro-
gach trudnych, lecz prostych, niezawodnych—torował
je sobie. Jak daleko zaszedłby po nich? Czem, jako
kompozytorka mogła być Bilińska?—Odpowiedzieć na
to można westchnieniem tylko. Pozostawione szkice
odpowiedź dają w części na to pytanie — pełnej dać
niemogą jednak. A szkoda wielka, gdyż jak pisali
Francuzi „była to natura śmiała, zapalna, wytrwała,
odważyć się na wszystko zdolna — przeznaczona do
wskazywania drogi — temperament przedniej straży.”

Szła dzielnie, śmiało — paliła etapy, pnąc się
bez wytchnienia na coraz wyższe szczeble, aż przy
poklasku ogólnym stanęła u szczytu i w oczach ca-
łego świata krwawiącą od znoju dziewiczą ręką biało-
amarantowy sztandar na nim zatknęła. Lecz było to
dawno i... zapomniano o tém.

Dr. Bohdanowicz.

Małków 11 Sierpnia 1924 r.

DODATEK

Uwagi Bilińskiej nad dziełami sztuki i zabytkami spotykanymi w podróży

8. II. 1882. Monachium. Rzut oka na miasto. Śliczna powierzchowność. Pałac kryształowy — brama grecka — dorycka. Bazylika zamknięta. Stara Pinakoteka — pobieżny rzut oka. Galerya Schack — Spitzweg—światłocień. Zimmermann—wertepy; Schwind—obrazy fantastyczne.

Najlepsze obrazy nowożytnej szkoły niemieckiej. Böcklin: 1) Burza, jeździec na szarym koniu; 2) W skałach — pasterz i kozy uciekają przed siedzącym satyrem; 3) Widok (cyprysy); 4) Kobieta i potwory morskie; 5) Młody chłopak grający na organkach — w cieniu (dwa słowa nieczytelne); 6) Dwa widoki nadmorskie; 8) Z czasów greckich; 9) Sielanka; 10) Zamczysko; 11) Starzec modlący się na skałach pod krzyżem; 12) Zamek w ruinach.

W tej galeryi najznakomitsze dzieła Böcklina.

Spotkanie p. Ejsmunta, który oprowadza nas po malarskich ulicach Schwantalerstr i Muzeum Schwantaler, Ober Polinger (restauracja polska).

10. II. 82. Glyptoteka. Spotkanie pp. Hoene. Canova. Faun Skopasa. Thorwaldsen. Rzeźby egipskie. Potem pałac królewski. Kunstverein zamknięte. Po obiedzie idę sama do Muzeum Kaulbacha, gdzie mnóstwo jego robót i rysunków.

12. II. 82. Niedziela. Kościół św. Michała — muzyka klasyczna. Bazylika — wspaniała świątynia, posadzka kamienna dla higieny pokryta deskami. Zwiedzanie Akademji malarzy z panią Krassowską, Klimcią i p. Ejsmuntem. Pracownia p. Kozakiewicza, p. Świeszewskiego — niema ich samych. Miły Ejsmuntek namawia na bal malarzy. Spotykamy pp. Hoene — umawiamy się iść razem. Wizyta w pracowni p. Strzałeckiego.

13. II. 82. Muzeum Narodowe—zamknięte. Krużganek biblioteki. W bibliotece nic ciekawego. Pinakoteka, szkoły Niemiecka, Francuska. Muszę przestudjować to trochę. Idziemy do pracowni Świeszewskiego — prześliczne krajobrazy. Od niego na Schwantalerstr. do Brandta, lecz niestaje nam odwagi wejść.

Wybór na bal — idziemy o 8½ z pp. Hoene. Prezentacje. Czardasz. Mazur z niemiecką muzyką. Ale wesoło, zabawnie. Kostjумы. Szymanowski — cyganika; p. Axentowicz — Arab; p. Ejsmunt — Krakowianka. Powrót o 3-iej rano. Jesteśmy zadowolone z wieczoru.

14. II. 82. Odpoczynek, rozpamiętywanie balu i uwagi złośliwe. Później Café Union (polska kawiarnia) i oglądanie miasta. Rathaus. Kreuzkirche. Frauenkirche — wspaniały gotyk. Teatinerkirche — kolumny w girlandach od dołu do góry. Kaplica stalaktytów. Heilgeistkirche. Isarter przez Isartenbrücke na prawo Littienst. do Augkirche — pieścidełko gotyk z czerwonej cegły. Przez Olmuherstr. w górę pod murami — piękny widok na miasto. Przez mostek nad drogą żelazną — stary kościółek, obok nowobudujący się gotycki. W pobliżu cmentarz. Z Pfarhofstr. prześliczny widok na Alpy. Pustemi uliczkami na wzgórze z którego widok na Augkirche i domy nad wodą — malownicza miejscowość. Nad brzegiem rzeki wychodzimy na Maximilianstr. Praterstr. Wienerplatz na Jo-

annesplatz i kościół — ładny gotycki ołtarz, za jasny wewnątrz. Spotykamy Wolskiego, Pochwalskiego, Kleczyńskiego. Powrót do domu.

16. II. 82. Café Union, potem Kunstverein — fabryka żołnierzy. Kościół Wsz. Świętych — malowidła na tle złotem Horsca, styl Bazylik romano-bizantyjskich. Wystawa Fleischmanna: Brandt, 1-o Posłaniec; 2-o Powrót z pod Wiednia. Szerner — Kozacy. Kowalski — konie. Kemendji — pojedynek. Kowalski — zima — żyd na bryczce. Chełmoński — przed sezonem. Watter — podwieczorek w ogrodzie. Kohnholtz — morze Śródziemne. Herterich — odpoczynek rycerzy. Streit — mali złodzieje. H. Max — Wdowa (tłomok z rzeczami nieboszczyka). Spotkanie Ejsmuntka i Wodzyńskiego, powrót do domu.

17. II. 82. Pinakoteka Stara. Prześliczne kompozycje Rembrandta, Rubensa, pięć obrazków rodzajowych Murilla. Angelico da Finsorc — śliczny brunet. Objad, kabała, historia sztuki. Wizyta p. Wodzyńskiego. Mówi, że jest na wychowaniu w Monachjum. Przemowa jego nad kuferkiem. Wesołość.

19. II. 82. Pinakoteka. Studjowanie szkoły niemieckiej. Potem jedziemy do pracowni Witkiewicza. W drodze spotykamy Maskenzug i Witkiewicza, bo to karnawał. Dużo ładnych obrazów w pracowni jego. Dał mi prześliczną trójkę koni. Po objedzie Ejsmunt zabiera album — narysuje coś sam i poprosi kolegów.

20. II. 82. Dalsze studjowanie szkoły niemieckiej w Pinakotece. Pracownia panny Wertheim. Objad. Po objedzie idę o 5½ na rysunki wspólne z malarkami monachijskimi — nie tego rysują. Wieczorem wizyta pp. Witkiewicza, Tańskiego, Kleczyńskiego. P. Ejsmunt w stroju krakowskim — bardzo mu w nim do twarzy.

21. II. 82. Stara Pinakoteka — studjowanie szkoły

niemieckiej. Café Union — w Kłosach sprawozdanie Struwego o moim Malarzu Wędrownym.

22. II. 82. Pinakoteka — szkoła niemiecka i po-
bieżnie francuzka. Pan Hirszel, zakup przyborów ma-
larskich. Pracownie Kozakiewicza i Streita. Pracownia
Kurelli. P. Szymanowski mówi nam, że Kowalskiego
zwieźć niemożna — zaczyna nowy obraz. Brandta
wiecznie niema, lecz p. Szerner ułatwia nam obejrze-
nie pracowni. Mrozi nas sztywność jakaś. Axentowi-
cza niezastajemy również. Idę pożegnać p. Wertheim,
zastaję u niej Chinę — p. Mac Dewos. Zwiedzam jej
pracownię. Pan Strzałecki przysłał album z rysunkiem
„Pożegnanie”. Zagadkowy człowiek.

25. II. 82. Wyjazd do Salzburga. Odprowadzają
pp. Ejsmunt, Wolski, Hirszel i Szymanowski.

26. II. 82. Salzburg nad brzegiem rzeki. Przez
Klausthor do kościoła Augustyanów — rozległy wi-
dok — cmentarz. Muzeum zamknięte. Kollegialkirche.
Cyrk Rzymski. Kościół Franciszkanów (gotyk z rene-
sanssem, portal romański. Kunstverein — trafiam na
sessyę. Makart — portret damy (studyum); Sommera
śliczne pejzarze (zachód słońca w górskiej okolicy
i nadchodzący deszcz). Kościół św. Piotra (pomnik
Heidna i ołtarz św. Ruperta). Obok cmentarz — ka-
pliczki kute w skale z wieków V i VI. Katedra na wzór
św. Piotra w Rzymie.

28. II. 1882. Wiedeń. Kościół św. Szczepana —
misterna ambona, brak czasu na resztę. Kościół Fran-
ciszkanów. Wystawa Kunstlerhaus. Piękny, olbrzymi
obraz Munkacsy'ego — Chrystus przed Piłatem. Z in-
nych obrazów najlepsze pejzaże Sidorowicza. Dobry
Dzieduszycki.

Kunstverein. Dużo ładnych obrazów. Najwięcej
szkiców i studjów Munkacsy'ego: studia naturalnej
wielkości do Chrystusa przed Piłatem, studyum głowy

Chrystusa powtórzone cztery razy, za każdym razem inaczej. „Jesień” allegorya Ambroso.

Konsulat, Szukanie mieszkania, potem Muzeum Oryentalne. Indyjskie naczynia drewniane, czarne nabijane srebrem (jak Chińskie złotem). Deseń drobny pływizowany. Naczynia z gliny szarej. Najokazalsze zbiory Chińskie i Japońskie.

Albertina. Michał Anioł — rysunki własnoręczne: 1-o Herkules i młodzieniec; 2-o Wąż miedziany; 3-o Grupy z Sądu Ostatecznego 4-o Rycerz na koniu (seppa), 5-o Szkice piórkiem. Reprodukcye Michała Anioła (malowidła i rzeźby z Kaplicy Syxtyńskiej). 1-o Stworzenie Ewy; 2-o Stworzenie Świata; 3-o Wąż miedziany; 4-o Mojżesz; 5-o studia, szkice, Wąż oplatający ludzi; 6-o Dawid i Goliat; 7-o i 8-o Judyta w dwu odmianach; 9-o Części kaplicy Syxtyńskiej a) Jeremjasz, b) Joel, c, d, e, Persica, f, Delphica (Sybilla). Kopje rysunków Michała Anioła do Kaplicy Syxtyńskiej. Zdjęcie z Krzyża, Pieta we Florencyi. Madonna w Manchester. Rafael (staloryty); Madonna z wuałem, Chrystus upada pod krzyżem. Tycyana — Wniebowzięcie, Dominichina—komunja św. Jeremjasza. Corregio — Madonna (nienaturalna — niepodoba mi się). Murillo — Mojżesz dobywający wodę ze skały. Rafael — Tryumf Goliata (odrębny rodzaj kompozycji). Julio Romano. Szkoła Rzymska.

Hals: Rycerze w knajpie. Własnoręczne rysunki pod szkłem: Mieris: Chora w łóżku; Cornelius Vischer: głowa; Nicolaus Berchem: widoczki (lekko tuszem i ołówkiem); Jordaens: Dwa Satyry (podobieństwo do Rubensa); Mabuse — bardzo ciemny papier, białe połyski, Dürer: Hołd trzech króli (piórkiem), Apostoł.

Wystawa Schnell et Sohn:

Czachórski — dziewica z różą. Brandt — Potyczka (najlepszy na tej wystawie) Achenbach — Amster-

dam. Sohn — Oświadczyzny. Wolski Stanisław — Kozacy i dziewczyna. Wieczorem Graben i Ringi. W domu czytanie.

8. III. 1882. Galerya obrazów w Akademi. Kustosz Polak p. Penter. Otrzymuję pozwolenie kopjowania. Z wielu wybranych przezemnie jeden tylko obraz Gude'go można kopjować. Robię kontur.

10. III. 82. Od 8 do 1 lub 2-ej maluję w Akademi. Jakiś Niemiec malarz chwali mój sposób malowania. Kopja moja prawie skończona. Bilet na koncert Sarasatego na jutro. Dziś idziemy do teatru na Fausta. Olbrzymie fotografie Derynżanki na wystawach.

19. III. 82. Belweder. Otwiera się o 10-ej. Rzut oka na Szkołę Włoską i Niemiecką. Z nowożytnych malarzy Niemców nikt niewyróżnia się szczególnie. Perłą całej galeryi — Rejtan Matejki.

20. III. 82. Akademja, gdzie maluję teraz codziennie. Potem Albertina. Szkoła Rzymska, Florencka, Flamandzka z Rubensem.

22. III. 82. Akademja pp. Ejsmunt, Lewandowski. Ten ostatni ma mi pokazać sale rzeźby.

23. III. 82. Café de l'Opéra — dzienniki polskie. W kawiarni p. Grabowski.

Albertina. Jeszcze szkoła Florencka. Rzut oka na Murilla. Po objedzie pracownia Makarta — przepych olśniewający. Kilka pięknych obrazów zaczętych. Dwie piękne strojne panie nad brzegiem morza, nagi Włoszek mały podaje im w kapeluszu kwiaty; Piękna kobieta i dziecko zrywają kwiaty; Judyta — zaczęta ledwo; Portret Sory — szkic. Prześliczna rzeźba Sory w marmurze — Ofelia, darowana Makartowi.

25. III. 82. Akademja. Zwiedzanie klas rzeźbiarskich z p. Lewandowskim. Roboty jego najlepsze z jego klasy. Oddział kompozycyjny Brandt... (nieczytelne).

Albertina. Szkoły Wenecka i Parmeńska.

28. III. 82. Akademyja. Café de l'Opéra. Tłum przed nią z powodu pojawienia się Arcyksięcia Rudolfa. Kradzież portmonetki mojej z 45 florenami. Zwrócenie się do p. Grabowskiego z powodu nieznamomości języka. Stwierdzenie straty i perory p. Grabowskiego.

1. Kwietnia 82. Otwarcie wystawy. Przyjazd Cesarza. Minister Taaffe (wysoki brunet) i mnóstwo dygnitarzy. Najparadniej wyglądają lokaje w wielkich pióropuszcach. Wystawa zawodzi nasze oczekiwania. Kierunek realistyczny szkoły francuskiej, a bardziej jeszcze Hiszpańskiej. Z Polaków zaledwo kilku malarzy nadesłało obrazy.

2. IV. 82. Café de l'Opéra. Dzienniki. P. Grabowski — rozmowa o wystawie, o mistrzach starożytnych, o dziwakach, odludkach etc.

Albertina. Szkoła francuska. Akademyja — zwiedzanie pracowni malarskich, rozmowa przez tłumacza — nikt po francusku ani słowa. Wystawa szkiców Matejki.

5. IV. 82. Akademyja. Zwiedzanie Muzeum posągów z p. Grabowskim. Rysuję „Niewolnika” Michała Anioła. Grabowski kaszle, jak stary dziad. Razem idziemy na Wystawę Powszechną. Po bliższem rozejrzeniu się zyskuje ona wiele. Później zwiedzanie grobów w kościołach z powodu zbliżającej się Wielkiej Nocy. Wspaniałe, lecz ustawione bez gustu.

8. IV. 82. Café de l'Opera. Później z p. Grabowskim do handlu fotografii, gdzie oglądamy Wereszczagina: „Apoteoza wojny” i „Zapomniany”. Akademyja. Pan Grabowski długi czas spędza w pracowni mojej. Wychodzi wreszcie przypuszczając, że niezręcznie mieć świadków przy malowaniu szkiców do kompozycji „Bez roboty”, którymi jestem zajęta. Wieczorem Rezurrekcyja u św. Szczepana. Kościół po zagaszeniu świateł.

9. IV. 82. Wielkanoc. Kościółek polski Św. Ruper-

ta—wspomnienie kraju—ta sama pobożność, te same fałszywe śpiewy ludowe. Kazania Xiędza Czerwińskiego bardzo niezłe i dobrze zastosowanie. Potem kaplica Dworska Burgu — osławiona muzyka zawodzi moje oczekiwania. Schönbrunn, lasek dębowy. Rysuję. Rozmowa. Pan Grabowski zwraca mi album, w którym narysował 1-o Moją apoteozę, 2-o Kołomyjkę i 3-o Żyda. Pokazuje mi niektóre kompozycje — podobne do moich smutne.

11. IV. 82. Akademja. Werniksuję obrazki moje, potem Muzeum Gipsów. Kończę „Niewolnika” Michała Anioła. Zaczynam rysować Sansovina i „Dawida” Donatella. Tłukę aniołków—przerażenie moje. Szwajcar zbiera szczątki — chce mi się płakać.

28. IV. 82. Akademja. Gipsy. Rysuję „Gladyatora” Canovy. P. Lewandowski, p. Kin, potem p. Grabowski, który prosi mię o fotografię. Przyrzekam za rok, jeżeli będzie jeszcze pamiętać. Idziemy na Wystawę Powszechną. Działy: Francuzki, Hiszpański, Skandynawski, Austryacki, Węgierski. Objad w Restauracji Polskiej pod Królem Sobieskim na Opolzergasse. Wracając jestem w nadzwyczaj muzykalnem usposobieniu — wyśpiewuję na głos, co mi przychodzi do głowy — z powodu dżdżu w tej niebrukowanej części ringów niema nikogo prócz Klimci.

29. IV. 82. Café de l'Opéra. Później Galerya Lichtenstein. Pierwsza sala — plafon malowany, kolumnada perspektywiczna. Portrety van Dycka, Rubensa, jego kompozycje allegoryczne — nieszczególne i niezrozumiałe. Potem Wystawa Powszechna — jeszcze oddziały Francuzki, Węgierski, Włoski. Robię notatki. Pr. Benedikt wysyła nas do wód do Roncégnu. Wyjazd wkrótce.

13 Maja. 1882. Wspaniałe widoki okolic Treviso, da którego przybyliśmy wczora. Pod oknami hotelu naszego szumi rzeka. O 7-ej rano wychodzę na

miasto. Rozmowa z Włochami. Piękne typowe twarze. Wązkie lecz czyste uliczki. Sprzedaż ryb na placu otoczonym drzewami i wodą — Piazza Rinaldi. Kobiety w czarnych koronkowych mantyljach na głowie. Nowy ratusz, katedra. W kaplicy na prawo „Zwiastowanie” Tycyana, freski Pordenona. Najświętsza Panna i św. Seb... Girolamo da Treviso. Pomnik biskupa Zanetti Tullia Lombardo. Ławki inkrustowane. Kościół San Nicolo — gotyk, wewnątrz po 6 filarów gładkich z każdej strony, sufit wiązany drewniany. Kościół św. Stefana. Lecz idę obejrzyć miasto, potem akwarelka i wyjazd.

Castelfranco — stare mury, wieże, zamek.

Przesiadanie w Citadella. O 9-ej w Borsano. Wesoly Włoch w omnibusie. W Borsano schodzimy na kolację w oberży św. Antoniego — mnóstwo Włochów w kapeluszach, grają w karty. Umowa o powóz do Roncegno (40 lirów). Katedra, obrazy.

Il Bossano. Przez bramę północną na plac. Ogród, bardzo malownicze cyprysy. Stara baszta. Rysuję ją. Dzielną jeździec. Muzeum zamknięte. Piazza Teraglia — rozległy widok na rzekę Brentę i Alpy. Dom w którym urodził się Bonamico. Porta (wyraz nieczytelny). Wyjazd do Roncegno.

W drodze do Wenecyi.

31. Maja 1882. Padwa. Przez bramę Codalungo. Napastowanie przez Ciceroni (przewodnicy). Kościół Eremitani — kapł. św. Jakuba — freski Montegni i uczni Se... (nieczytelne). Płaskorzeźba Pisano (terrakotta). W kaplicy na lewo (w zakrystyi) św. Jan Chrzciciel Guida i pieta Canovy. Ulica S. Bartolomeo, kościół San Gaetano — czworograniasty, marmurowy, bardzo ładny. Ztamtąd wracam na ulicę św. Antoniego wałami, przez ponte Corbo. Rzut oka pobieżny.

Kościół św. Justyny — olbrzymi, wspaniały, 3. nawy, w bocznych ołtarzach presbyteryja mozajkowe, kilka ołtarzy marmurowych; w wielkim ołtarzu Męczeństwo św. Justyny Veroneza. Stalle rzeźbione z 1552 r. — prześliczne. Sceny ze starego i nowego testamentu. Z prawej strony w kaplicy rzeźba marmurowa XVII. w. Parodi'ego i pieta. Przed fasadą przez całą jej długość dwanaście stopni z kamienia bez ozdób. Ołtarze boczne i kapliczki bardzo gustowne.

Kościół św. Antoniego — bazylika XIII w. plan N. Pisano, wykończony w XV w. Dodano wówczas 7 kopuł (słowo nieczytelne) jak u św. Marka w Wenecyi. Długi wewnątrz 91. metrów, szeroki 45. metrów. Dwie kropielnice z XVI w. W kaplicy 1-ej prawej płaskorzeźby w bronzie Donatella — sceny z życia św. Antoniego. Kaplica św. Felixa — oryginalna architektura, freski z XIV w. przez J. d'Avorso. Naprzeciw kaplica św. (nieczytelne) podług planu Sansovina — cztery kolumny na przedzie, między arkadami święci. W głębi 9. wypukło-płaskorzeźb z życia św. Antoniego, z których czwarta Sansovina, 6-a i 7-a Tulia Lombarda, 9-a Antonia Lombarda. Cała kaplica marmurowa, jasna, dwa kandelabry srebrne z podstawami marmurowymi podług Falconetto — freski XIV. w., ściany pokryte obrazami wotów. Pomnik przed ołtarzem — trupia głowa wyglądająca z pod draperyj z czarnego marmuru. Za wielkim ołtarzem w głębi — kaplica z rzeźbami — może skarbiec, gdyż ołtarza niema.

Dziedziniec klasztorny zbudowany w czworobok, z arkadami, freski ucznia Giotta. W nawie bocznej pomnik Caterino Corneliano Giusta b. artystyczny. W chórach dwanaście płaskorzeźb bronzowych XV w. przez Vellano — ucznia Donatella — i Riccio. Portret św. Antoniego (ma być podobny). Płaskorzeźby przy wielkim ołtarzu i ambona Donatella. Kandelabr bron-

zowy 3 m. 30 cmt. wysoki — męszanina postaci pogańskich i chrześcijańskich — przez Riccia. Krucyfiks brązowy Donatella. Rzeźby marmurowe Giros — Compogna.

Chłodno w kościele jak w lochu.

Wychodząc kupuję medalionik.

Obok żołnierze uczą się grać. Ta cicha, niewyraźna muzyka dodaje uroku, gdy się jest w pewnym oddaleniu. Miasto bardzo czyste.

Muzeum Civico.

Riccio Briosco — majolika. Danielett i Pietro — filozof — terrakotta malowana. Romanino — koronacja N. Panny — znakomite, do złudzenia wypuklenie Bello — dwa obrazy: ojciec i córka — dużo wyrazu, malowanie złe. Zanoni — dwie rzeźby dzieci.

Znowu kościół św. Antoniego — solenne nabożeństwo.



